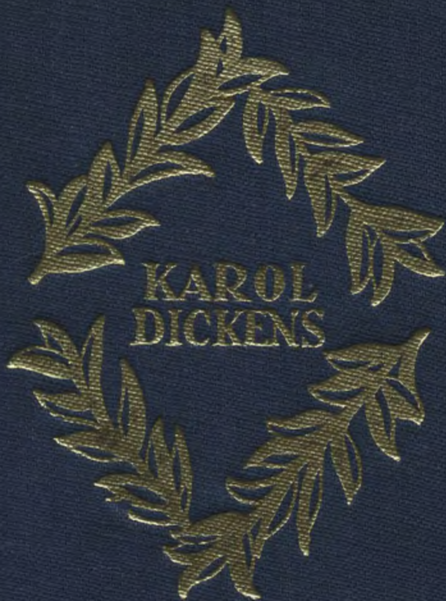
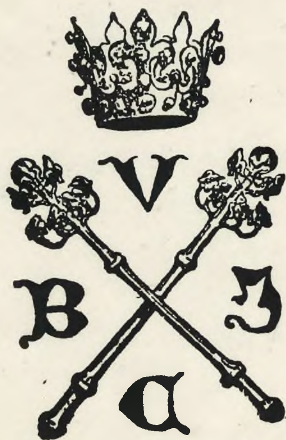

KAROL
DICKENS


V
B
I
C

DZIEŁA KAROLA DICKENSA

KAROL DICKENS

DZIEŁA

ZE SŁOWEM WSTĘPNEM
ANDRZEJA TRETIAKA
PROF. UNIWERSYTETU WARSZAWSK.

OLIWER TWIST

W. Tarnowska

OLIWER TWIST

POWIEŚĆ

TOM III

WARSZAWA

WYDAWNICTWO GUTENBERGA



Drukiem Zakładów Graficznych „Bibljoteka Polska" w Bydgoszczy

Rozdział dwudziesty dziewiąty

zawiera wstępne opowiadanie o mieszkańcach domu, do którego schronił się Oliwer.

W dość obszernym pokoju, umeblowanym wygodnie, po staroświecku, bez przesadnej nowoczesnej wytworności, siedziały przy smacznie i obficie zastawionem śniadaniu dwie kobiety. Giles, ubrany czarno od stóp do głowy, usługiwał im przy stole.

Stał pomiędzy stołem a kredensem wyprostowany jak świeca, z głową podniesioną do góry i pochyloną nieco na jedną stronę, z lewą nogą wystawioną naprzód, prawą ręką założoną za kamizelkę, podczas gdy lewą, trzymającą tacę, opuścił nadół i spoglądał tak, jak zwykle spogląda człowiek, który ma pełną świadomość swoich zasług i swojej godności.

Jedna z kobiet, siedzących przy stole, była już w podeszłym wieku, trzymała się jednak prosto, jakby chcąc swoją postacią dostroić się do sztywności zajmowanego przez nią krzesła.

Ubrana czysto i starannie, miała na sobie suknię staroświeckiego kroju; była ona wprawdzie ozdobiona dodatkami podług wymagań ówczesnego smaku, lecz ozdoby te przecież uwydatniały jeszcze więcej typ lat dawnych.

Siedziała poważnie, trzymając ręce złożone przed sobą na stole, a oczy, pełne jeszcze blasku, miała utkwione w swoją młodą towarzyszkę.

Młodsza z kobiet rozpoczęła dopiero wiosnę życia; była w tym wieku, w którym byliby aniołowie, gdyby Bóg dla swych własnych celów zechciał wcielać ich w ludzkie kształty. Mogła mieć zaledwie lat siedemnaście; postać jej była tak smukła i wytworna, tak miła i powabna, tak kształtna i piękna, że zdawało się, iż ziemia nie może być miejscem jej pobytu, a prozaiczni mieszkańcy ziemi nie mogą stanowić dla niej odpowiedniego towarzystwa. Bystrość umysłu, która przebijała z jej głębokich niebieskich oczu i szlachetnie zakreślonego czoła, zdawała się pochodzić z innego świata i nie licować z jej młodym wiekiem. Na jej twarzy o zmiennym wyrazie wesołości i słodyczy igrały tysiączne blaski, a nigdy cień żaden nie powstał. Przedewszystkiem zaś uśmiech pogodny, pełen radości był stworzony jakby dla ogniska domowego, dla jego spokoju i szczęścia.

Spożywając śniadanie, podnosiła często oczy na staruszkę i odrzucała figlarnie wtył włosy, zaczesane gładko nad czołem. W jej spojrzeniu było tyle bezgranicznego przywiązania i naturalnego wdzięku, że błogosławione duchy, spoglądając na nią, musiały chyba się uśmiechać.

Brittles już od godziny pojechał do miasta, nieprawdaż? — spytała starsza pani po chwili milczenia.

— Już od godziny i dwunastu minut, proszę pani! — odpowiedział Giles, spoglądając na swój srebrny zegarek z czarną dewizką.

— Taki jest zawsze powolny — zauważyła staruszka.

— Brittles był zawsze powolnym chłopcem, proszę pani! — potwierdził Giles.

Ponieważ zaś Brittles był już takim od lat trzydziestu, przeto nie uległo prawie wątpliwości, że usposobienie jego pozostanie zawsze takie same.

— Zdaje mi się, że on się coraz bardziej opuszcza — rzekła staruszka.

— Największą jego wadą jest to, że zabawia się zwykle z innymi chłopcami, jeżeli ich gdziekolwiek spotka — dodała dzieweczka z uśmiechem.

Giles uważał za stosowne zmusić się także do dyskretnego uśmiechu, lecz w tej chwili przed bramą od ogrodu zatrzymał się dwukołowy powozik i wyskoczył z niego otyły mężczyzna, który podbiegł ku drzwiom domu, niesłychanie szybko, a w tajemniczy sposób dostał się do wnętrza i wpadł do pokoju z takim pośpiechem, że omal nie wywrócił stolika ze śniadaniem i samego pana Gilesa.

— Nigdy o czemś podobnem nie słyszałem — zawołał. — Ach, droga pani Maylie... na Boga! Taki wypadek... i to jeszcze wśród nocnej ciszy!... Nie, o takiem zdarzeniu nie słyszałem nigdy.

Otyły jegomość, witając temi słowy obie panie, uścisnął ich ręce i, przysunąwszy sobie krzesło, zaczął je wypytywać, jak się czują.

— Musiałyście się panie śmiertelnie przestraszyć... — mówił. — Dlaczego nie przysłały panie do mnie? Na Boga! Mój służący byłby przybył tutaj w jednej chwili. I ja również. I mój asystent byłby szczęśliwy, gdyby był mógł paniom usłużyć. Każdy nawet... jestem tego pewien... Droga pani!... Tak niespodziewanie i w dodatku w nocy!

Lekarza poruszyła widocznie najbardziej ta okoliczność, że napad był dokonany niespodziewanie i w nocy, jak gdyby bandyci mieli zwyczaj odbywać swoje wyprawy w dzień i na kilka dni przedtem zawiadamiać pocztą mieszkańców o swojem przybyciu.

— A pani co, panno Różo? — zapytał lekarz, zwróciwszy się do panny. — Ja sądzę...

— O, ja się także mocno przelękłam... — przerwała mu Róża — ale na górze leży biedny człowiek i ciocia prosi pana bardzo, żeby go pan odwiedził.

— Oczywiście — podchwycił lekarz. — To twoja sprawka, Giles, jak mi mówiono?

Giles, który ustawiał gorączkowo filiżanki, zarumienił się mocno i bąknął, iż rzeczywiście miał ten zaszczyt.

— Co? Zaszczyt? — zawołał lekarz. — No, no... nie wiedziałem o tem... Może być, że to jest taki sam zaszczyt postrzelić złodzieja w kuchni, jak zabić swego przeciwnika na dwanaście kroków? Wyobraź sobie, że on wystrzelił w powietrze, a ty odbyłeś pojedynek, panie Giles.

Giles, który uważał, że takie zlekceważenie wypadku jest zamachem, dążącym do umniejszenia jego chwały, odpowiedział z godnością, że nie należy do niego sąd o całej sprawie, o jednem przecież wie z pewnością, a mianowicie, iż strona przeciwna nie żartowała zupełnie.

— Gadaj na zdrowie — zawołał lekarz. — Gdzie on jest? Zaprowadźcie mię do niego. Powracając od chorego, wstąpię tu raz jeszcze, droga pani Maylie. Czy to jest to małe okienko, przez które się wsunął... co? Nigdybym w to nie uwierzył.

Rozprawiając tak przez całą drogę, szedł za Gilesem po schodach na górę.

W tem miejscu należy czytelnika objaśnić, że pan Losberne, chirurg z sąsiedztwa, znany powszechnie na dziesięć mil wokoło jako „pan doktór", był człowiekiem niezmiernie wesołym, a przytem tak dobrodusznym i zacnym, że chyba równego mu pod tym względem trudno byłoby znaleźć na świecie. Otaczano go też wielką sympatją, i chętnie wybaczano mu niewinne starokawalerskie dziwactwa.

Pan Losberne bawił u chorego dłużej, niż sam się tego spodziewał, co też zdziwiło wielce obie panie. Kazał przynieść sobie z powoziku płaską, szeroką skrzyneczkę, często dzwonił na służbę, która szybko z góry nadół biegała, z tego wszystkiego można było łatwo wywnioskować, iż na górze dzieją się ważne rzeczy.

Nakoniec powrócił do pokoju; w odpowiedzi na ciekawe pytania obu pań, przez chwilę spoglądał na nie tajemniczo, zamknąwszy starannie drzwi za sobą.

— Nadzwyczajne zdarzenie, pani Maylie! — rzekł nakoniec, opierając się o drzwi plecami, jak gdyby chcąc je zatarasować.

— Spodziewam się przecież, że niema żadnego niebezpieczeństwa? — spytała staruszka.

— To nie byłoby nic nadzwyczajnego w podobnych okolicznościach — odpowiedział lekarz — ale sądzę, iż istotnie niebezpieczeństwa niema. Czy panie widziały tego złodzieja?

— Nie — odparła staruszka.

— I nic panie o niem nie wiecie?

— Nie.

— Proszę mi wybaczyć — wtrącił Giles — ale ja właśnie chciałem paniom opowiedzieć o nim, gdy nadjechał pan doktór Losberne.

Faktem jest, iż Giles nie mógł początkowo zdobyć się na to, by powiedzieć paniom, że postrzelił tylko chłopca. Jego męstwo było podnoszone pod niebiosy i ciężko było rozstać się ze zdobytemi laurami, które oczywiście zwiędłyby odrazu w obliczu faktów.

— Róża chce zobaczyć tego człowieka — odezwała się pani Maylie — ale ja nie chciałam o tem słyszeć.

— Hm! — rzekł lekarz — jego powierzchowność nie jest bardzo odrażająca. Czy miałaby pani co prze-

ciwko temu, gdybym prosił, żebyście go odwiedziły razem ze mną?

— Jeżeli to jest potrzebne — odpowiedziała staruszka — zgadzam się chętnie.

— Sądze, że potrzebne — rzekł lekarz. — Jestem nadto najgłębiej przekonany, żebyście panie później mocno żałowały, gdybyście go nie odwiedziły. On jest teraz zupełnie spokojny i ma się dość dobrze. Proszę, panno Różo!... Pani pozwoli? Daję słowo honoru, że panie nie narażają się na żadną przykrość.

Rozdział trzydziesty

dotyczy wrażenia, jakie Oliwer wywarł na tych, którzy go odwiedzili.

Powtórzywszy jeszcze kilka razy solenne zapewnienie, że widok złoczyńcy sprawi im do pewnego stopnia przyjemną niespodziankę, doktór wziął pannę Różę pod jedną rękę, drugą podał pani Maylie, i obie z galanterją poprowadził po schodach na górę.

— A teraz — szepnął lekarz, ujmując jak najostrożniej za klamkę od drzwi — proszę powiedzieć, co panie o nim sądzicie? Prawda, że nie jest ogolony, mimo to jednak nie wygląda strasznie. Proszę się chwilkę zatrzymać... naprzód zobaczę, czy jest przygotowany na takie odwiedziny.

Wyprzedziwszy obie panie, zajrzał do pokoju i skinąwszy na nie, żeby udały się za nim, zamknął natychmiast drzwi za niemi, zbliżył się do łóżka i odsunął zasłony.

I oto, zamiast ohydnej postaci ponurego złoczyńcy, ujrzały małego chłopca, dziecko prawie, osłabionego i wyczerpanego cierpieniem, pogrążonego w głębokim śnie. Zraniona ręka, już należycie opatrzona i obandażowana, spoczywała na wątłej piersi; głowę miał pochyloną na drugie ramię, które zakrywały prawie całkiem włosy, rozsypane na poduszcze.

Poczciwy lekarz trzymał wciąż w rękach odsuniętą zasłonę i spoglądał w milczeniu na chorego.

Tymczasem Róża, usiadła na krześle tuż przy łóżku, i delikatnym ruchem odgarnęła włosy z twarzy Oliwera, przyczem nachyliła się nad nim i gorąca łza spadła z jej oczu na czoło chłopca.

Oliwer poruszył się i uśmiechnął przez sen, jakby ten dowód litości i współczucia wywołał w jego duszy jakiś przyjemny sen o miłości i uczuciu, których nigdy jeszcze dotąd w życiu nie zaznał. Podobnie zdarza się niekiedy, że słodkie dźwięki muzyki, szmer strumyka, płynącego w samotnem miejscu, miły zapach kwiatu — budzą w nas jakieś mgliste wspomnienia wydarzeń, których nie doznawaliśmy nigdy w życiu, a które są jakby cieniem lepszego, minionego już istnienia, których świadomą wolą wywołać nie możemy.

— Co to znaczy? — zawołała staruszka. — Niepodobna, żeby ten mały chłopczyna miał być wspólnikiem zbrodniarzy?

— Występek — rzekł z westchnieniem lekarz, zapuszczając zasłonę — posiada wiele różnorodnych schronień; któż z pewnością może powiedzieć, że nie kryje się on nieraz poza pięknemi formami?

— Ale w tak młodym wieku — zaprzeczała Róża.

— Droga pani! — odparł lekarz, potrząsając posępnie głową — śmierć i zbrodnia nie są koniecznie udziałem starszego wieku. Bardzo często ludzie młodzi i piękni stają się jej ofiarami.

— Ale doktorze! Czy podobna nawet przypuścić, żeby ten miły chłopczyna miał być dobrowolnym wspólnikiem wyrzutków społeczeństwa? — zapytała Róża.

Lekarz wstrząsnął głową w ten sposób, jakby chciał powiedzieć, że to nie należy do rzeczy nie-

podobnych; poczem, ze względu na obecność chorego, zaprowadził panie do sąsiedniego pokoju.

— Przypuśćmy nawet, że ten chłopiec jest zepsuty — ciągnęła dalej Róża — ale trzeba o tem pamiętać, że jest bardzo młody; że może nigdy nie zaznał miłości matki, rozkoszy rodzinnego domu, że nędza, głód, nieludzkie obejście, zmusiły go do stosunków z ludźmi, którzy popchnęli go do zbrodni. Ach, ciociu! Najdroższa ciociu! Zaklinam cię na miłość Boga, weź pod uwagę to wszystko przedtem, nim pozwolisz zawlec go do więzienia, które odbierze mu wszelką sposobność do poprawy. Ach, ciociu! Pamiętaj jeszcze o tem, że ja też mogłabym była tak błąkać się po świecie bez niczyjej opieki i pomocy, gdyby nie twoja dobroć i twoje serce, które nie pozwoliły mi nawet odczuć zbyt boleśnie straty rodziców. Zważ to ciociu i, jeżeli mnie kochasz, ulituj się nad tym nieszczęśliwym, dopóki pora...

— Moja droga! — odpowiedziała staruszka, przyciskając płaczącą dziewczynę do piersi — czy myślisz, że pozwoliłabym mu wyrządzić najmniejszą krzywdę?

— Wiem, że nie! — podchwyciła Róża z pośpiechem!

— Oczywiście — rzekła staruszka — moje życie jest już na schyłku, i Bóg jedynie tyle będzie mógł mieć nade mną miłosierdzia, ile ja go drugim okażę. Co mam uczynić, aby go ocalić, doktorze?

— Proszę mi pozwolić chwilkę pomyśleć, droga pani — odpowiedział lekarz.

To rzekłszy, włożył ręce do kieszeni, przeszedł się kilka razy po pokoju, zatrzymując się od czasu do czasu, podnosząc na palcach i marszcząc brwi okropnie. Kilkakrotnie wykrzykiwał:— „Już mam!“ albo: „Nie, nie mam jeszcze“ — wkońcu,

po wielu gestach i marsach, zatrzymał się przed staruszką i rzekł co następuje:

— Zdaje mi się, że będę mógł uratować tego chłopca, jeżeli pani da mi nieograniczone pełnomocnictwo nastraszenia cokolwiek Gilesa i małego Brittlesa. Giles jest poczciwym człowiekiem, starym sługą, wiem o tem; i pani znajdzie tysiące różnych sposobów, aby go później uspokoić i wynagrodzić w dodatku za.... celność strzału. Czy zgoda?

— Jeżeli niema żadnego innego sposobu uratowania tego dziecka... — westchnęła pani Maylie.

— Niema, pani, niema! — zapewnił lekarz. — Daję na to słowo.

— A zatem ciocia daje panu zupełną władzę — rzekła Róża, uśmiechając się przez łzy — proszę jednak, abyś się pan z tymi poczciwymi ludźmi nie obszedł bardziej surowo, niż wymaga tego konieczna potrzeba.

— Jak widzę, to pani sądzi — podchwycił lekarz — że nikt na świecie nie posiada równie dobrego serca, jak pani. Otóż pragnąłbym bardzo, w interesie całej męskiej młodzieży, aby pierwszy z jej przedstawicieli, noszący się z poważnemi względem pani zamiarami, znalazł ją o równie łaskawem usposobieniu, jak w tej chwili. I pragnąłbym sam być tym młodzieńcem, gdyż wówczas pozyskałbym szczęście, z którego oczywiście nie omieszkałbym należycie skorzystać.

— Doprawdy, że z pana takie same stare dziecko, jak z Brittlesa — rzekła Róża, zapłoniwszy się po uszy.

— Niewielka to zbrodnia! — odparł lekarz, śmiejąc się serdecznie. — Wracając jednak do naszego chłopca, to główny warunek naszej ugody przedstawię dopiero teraz. Chłopiec obudzi się za godzinę

lub dwie najdalej, a chociaż temu twardogłowemu agentowi powiedziałem na dole, że nie można chłopca niepokoić bez narażenia jego życia, to jestem jednak przekonany, że my możemy z nim bezpiecznie pomówić. Zatem taki warunek: chłopca wybadam w obecności pań i jeżeli moje badania wykażą, że jest on rzeczywiście nawskroś już zepsutym i złym chłopcem (co jest więcej niż możliwe), to w takim razie zostawimy go własnemu losowi, i ja od wszelkich obowiązków względem niego zostanę zwolniony.

— Ależ tak być nie może!... — zawołała Róża.

— Ależ tak być musi!... — powtórzył z naciskiem lekarz. — Cóż, czy zgoda?

— On nie może być zbrodniarzem — upierała się Róża — to niepodobna!

— Tem lepiej! — odparł lekarz — a pani tem śmielej może przystać na moje warunki.

Nakoniec zawarto ugodę, poczem wszyscy usiedli i czekali na obudzenie się Oliwera z wielką niecierpliwością.

Doktór Losberne jednak źle obliczył chwilę przebudzenia się chorego, gdyż godzina mijała za godziną a Oliwer wciąż spał głęboko. Dopiero gdy wieczór zapadł, poczciwy lekarz przybył do pań z wiadomością, że chłopczyna obudził się i na tyle przyszedł do siebie, iż może rozmawiać. Chłopiec jest bardzo chory — mówił — i osłabiony upływem krwi, tak jednak prosi gorąco o pozwolenie wyjawienia pewnej rzeczy, że on, lekarz, uważa za właściwe zgodzić się na to, a nie czekać do rana.

Konferencja trwała długo. Oliwer opowiedział wszystkie przygody swego krótkiego życia, przyczem z powodu braku sił i dotkliwego bólu musiał często swoje opowiadanie przerywać.

Dziwnie uroczystym był widok tego wątłego chłopca, złożonego w słabo oświetlonym pokoju cho-

robą i opowiadającego cichym głosem o długim szeregu cierpień i katuszy, zadanych mu przez złych ludzi.

Zaiste, gdybyśmy pamiętali o tem, że każda ludzka krzywda, każda nasza niesprawiedliwość względem bliźnich, wznoszą się do nieba, niby czarne gęste chmury, aby oskarżyć nas i karę Bożą ściągnąć na nasze głowy; gdybyśmy pamiętali, że rozpaczne głosy skargi i cierpienia żadną potęgą stłumione być nie mogą, niktby nie odważył się gwałcić przykazania Boże, krzywdzić bliźniego, dręczyć go i zadawać mu cierpienia...

Tej nocy kobieca ręka poprawiła poduszki pod głową Oliwera; wdzięk i cnota czuwały nad nim. Chłopiec czuł się spokojny i szczęśliwy i mógłby umrzeć bez szemrania.

Gdy Oliwer skończył swoje zwierzenia i usnął, doktór Losberne otarł oczy, zroszone łzami, wyrzekając na osłabienie wzroku — poczem udał się nadół, aby zabrać się do pana Gilesa. Nie znalazłszy Gilesa w przedpokoju, wpadł na myśl, że lepiej będzie mógł wykonać swój zamiar w kuchni i tam też podążył.

W kuchni, w tej Izbie Niższej Parlamentu sług domowych, zgromadzone były wszystkie służące, znajdowali się też Brittles, Giles, druciarz, (którego, ze względu na usługi, oddane tej nocy, zaproszono uroczyście na ucztę) i agent policyjny.

Ten ostatni miał wielką laskę, wielką głowę, wielkie rysy twarzy i wielkie buty na nogach; wyglądał przytem tak, jak gdyby wlał był już w siebie wielką ilość piwa, co rzeczywiście miało miejsce.

Wypadki ubiegłej nocy były oczywiście tematem rozmowy. Gdy doktór wszedł do kuchni, Giles przedstawiał właśnie obszernie swoją przytomność umysłu, Brittles zaś, trzymając w ręku kubek z piwem,

potwierdzał zgóry wszystko, co jego przełożony zamierzał powiedzieć.

— Siedźcie sobie — rzekł doktór, kiwnąwszy ręką.

— Dziękuję panu — odezwał się Giles. — Panie nakazały mi poczęstować służbę piwem, a ponieważ nie lubię samotności i jestem usposobiony towarzysko, więc przyszedłem tutaj, aby razem z nimi moją część wychylić.

Brittles bąknął coś niezrozumiałego, chcąc zapewne wyrazić, iż całe towarzystwo czuje do pana Gilesa wielką wdzięczność za jego łaskawą obecność; pan Giles zaś spojrzał na wszystkich z nadzwyczajną powagą, jakby pragnął dać im do zrozumienia, że tak długo z nimi pozostanie, jak długo oni będą się zachowywali odpowiednio.

— Jak chory się miewa? zapytał Giles.

— Jako tako! — odpowiedział lekarz. — Ale obawiam się, mości Giles, czy nie popełniłeś głupstwa?

— Spodziewam się jednak — rzekł Giles wystraszony — że pan nie chce przez to powiedzieć, że chłopiec umrze? Jeżeliby to miało nastąpić, straciłbym humor i spokój na całe życie. Nie odważyłbym się nigdy zabić dziecka, nigdy, nawet... nawet... naszego Brittlesa... Nigdy, panie... za żadne skarby świata!

— Tutaj nie o to chodzi! — przerwał lekarz tajemniczo. — Giles, czy jesteś prawowiernym chrześcijaninem?

— Tak jest, panie; przynajmniej tak mi się zdaje — wyjąkał Giles, zbladłszy jak chusta.

— A czem ty jesteś chłopcze? — zapytał lekarz Brittlesa, zwróciwszy się nagle do niego.

— Boże, zmiłuj się nade mną! — jęknął Brittles, zachwiawszy się na nogach. — Ja jestem tem samem, co i pan Giles...

— Powiedzcież mi więc obaj — rzekł lekarz uroczyście — tak, obaj, czy jesteście gotowi złożyć przysięgę, że ten chłopiec na górze jest tym samem chłopcem, którego tej nocy wsunięto przez okienko do sieni? Śmiało mówcie!

Doktór Losberne, znany w całej okolicy, jako najlepszy człowiek w świecie, zadał im to pytanie tak srogim głosem, że Giles i Brittles, oszołomieni piwem i wrażeniami, przerazili się nie na żarty i spoglądali na siebie z osłupieniem.

— Proszę dobrze uważać na ich odpowiedź, panie policjancie — rzekł lekarz, kiwając uroczyście palcem i dotykając nim czubka swego nosa. — Od tego wiele zależy.

Agent policyjny zrobił najmędrszą minę, na jaką go tylko stać było, i ujął swoją urzędową laskę, która dotąd spoczywała bezczynnie w kącie.

— Chodzi o ustalenie tożsamości osoby — objaśnił lekarz.

— Tak jest!... Nieinaczej! — bąknął agent, kaszląc gwałtownie, jako że chcąc dokończyć piwo, zakrztusił się nim porządnie.

— Uważajcie — ciągnął lekarz. — Rozbójnicy napadają w nocy na dom i w całem tem zamieszaniu i ciemności kilku ludzi widzi przez chwilę jakiegoś chłopca, otoczonego kłębami dymu palnej broni. Nazajutrz rano do tego samego domu przychodzi jakiś chłopczyna, a owi ludzie chwytają go natychmiast dlatego, że ma przypadkiem obwiązaną rękę, przez co go nawet bardzo łatwo mogli o śmierć przyprawić — i chcą potem przysięgać, że ten chłopiec jest złodziejem. Teraz zachodzi pytanie: czy zbieg okoliczności usprawiedliwia tych ludzi? A jeżeli nie — co ich za to czeka?

Agent pokiwał poważnie głową i rzekł, iż kara ich za to czeka bardzo wielka — szubienica, jeśli nie co gorszego.

— Pytam się was raz jeszcze — zagrzmiał lekarz — czy jesteście gotowi zeznać pod przysięgą tożsamość chłopca?

Brittles spojrzał trwożliwie na Gilesa, a Giles trwożliwie na Brittlesa; agent policyjny przyłożył rękę do ucha, aby lepiej słyszeć odpowiedź, druciaż i służące pochylili się naprzód w tym samym celu, lekarz spoglądał groźnie na wszystkich. Naraz dał się słyszeć turkot powozu, a w chwilę potem dzwonek u bramy ogrodowej.

— To oni! — zawołał Brittles, oddychając z widoczną ulgą.

— Co za „oni"? — zawołał lekarz niespokojnie.

— Policja z Londynu — odpowiedział Brittles, biorąc świecę. — Ja i pan Giles posłaliśmy po nią dziś rano jeszcze.

— Co? — wrzasnął lekarz.

— Tak jest, proszę pana — potwierdził Giles. — Wysłaliśmy zawiadomienie przez pocztyljona i dziwiliśmy się, że ich dotychczas nie było.

— Czy tak?... Czy tak?... A więc... niech was piorun trzaśnie z waszemi... powolnemi pocztami! — zawołał lekarz i odszedł.

Rozdział trzydziesty pierwszy.

Niebezpieczne położenie.

— Kto tam? — zapytał Brittles, uchylając lekko drzwi, i, nie spuszczając łańcucha, zasłonił ręką świecę.

— Otwórzcie! — zawołano z zewnątrz. — Policja z Londynu, którą wezwano dziś rano.

Brittles, ucieszony mocno tem zapewnieniem, otworzył natychmiast drzwi na oścież i spostrzegł

przed sobą okazałego człowieka w futrze, który wszedł do sieni, nie rzekłszy ani słowa do nikogo, i zaczął wycierać buty o słomiankę z taką obojętnością, jakby był mieszkańcem tego domu.

— Proszę cię, mój człowieku, każ tam komu, by odebrał konia od mego towarzysza — odezwał się wreszcie agent bezpieczeństwa. — Siedzi w gigu. Czy nie macie tutaj wozowni, do której możnaby gig na krótki czas wstawić?

Brittles odpowiedział twierdząco i wskazał przytem przyległy budynek. Agent wrócił do drzwi ogrodowych i pomógł swemu towarzyszowi wstawić gig do wozowni, podczas gdy Brittles przyświecał im przez cały czas z największem uszanowaniem.

Uporawszy się z koniem i powozikiem, wrócili razem do domu, a wszedłszy do przedpokoju, zdjęli z siebie futra, czapki i ukazali się we właściwej postaci.

Ten, który pukał do drzwi, był silny, barczysty, średniego wzrostu, lat około pięćdziesięciu; włosy miał krótko przystrzyżone, czarne, połyskujące, faworyty zachodzące do połowy twarzy, twarz okrągłą i bystre oczy. Jego towarzysz był rudy, kościsty, w palonych, wysokich butach; twarz miał nieprzyjemną, nos zadarty do góry.

— Powiedz twojem panu, że przybyli Blather i Duff, czy słyszysz? — rzekł starszy z przybyłych do Brittlesa, gładząc sobie włosy i kładąc parę kajdan na stole. — A, dobry wieczór, panu! Czy nie mógłbym pomówić z panem na osobności?

Ostatnie słowa były zwrócone do pana Losberne, który właśnie wszedł do przedpokoju.

Lekarz kazał służącemu oddalić się, wprowadził obie panie i zamknął drzwi za sobą.

— Oto jest pani tego domu — rzekł, wskazując panią Maylie.

Blather ukłonił się, a gdy zaproszono go, by raczył usiąść, położył kapelusz na ziemi i, przysunąwszy sobie krzesło, skinął na Duffa, aby uczynił to samo.

Duff, nieprzyzwyczajony widocznie do lepszego towarzystwa, albo przynajmniej nie czujący się w niem swobodnie — jedno z dwojga — usiadł niezgrabnie na krześle, wykonawszy wprzód cały szereg gimnastycznych ruchów, i ostatecznie, z pewnem zmieszaniem, wsadził do ust gałkę od laski.

— Pomówmy zatem o nocnym rabunku — rozpoczął Blathers. — Jakże się to wszystko stało?

Losberne, któremu widocznie zależało na tem, aby jak najwięcej zyskać na czasie, opowiedział wszystko z najdrobniejszemi szczegółami, a Blathers i Duff przysłuchiwali mu się z wielką uwagą i tylko czasem porozumiewali się z sobą oczyma.

— Nie mogę powiedzieć nic pewnego — odezwał się nakoniec Blathers — dopóki nie zobaczę samej roboty. Zdaje mi się jednak — chociaż stanowczo tego nie twierdzę — że tego napadu nie dokonał żaden zieleniak. — Cóż ty na to, Duff?

— I ja jestem tego zdania — odpowiedział Duff.

— Tłomacząc słowa „zieleniak" na język odpowiedni dla pań, sądzę, że nie pomylę się, twierdząc, iż chcieliście panowie powiedzieć, że tego napadu nie popełnili złodzieje miejscowi? — rzekł Losberne z uśmiechem.

— Nieinaczej, proszę pana — potwierdził Blathers.
— Czy to już wszystko, co dotyczy tego napadu?

— Wszystko — odparł lekarz.

— Co się dzieje z chłopcem, którego słudzy rano schwytali? — zapytał Blathers.

— Ech, głupstwo! — rzekł lekarz. — Jeden ze służących wbił sobie ze strachu do głowy, że ten chłopiec należał do złodziejskiego zamachu... Ale to jest czyste szaleństwo i nic więcej!

— Przypuszczenie jednak prawdopodobne... — zauważył Duff.

— Słusznie, zupełnie słusznie — potwierdził Blathers, pochwalając skinieniem głowy uwagę kolegi poczem zaczął się bawić kajdankami, jak parą kastanietów. — Gdzie jest ten chłopiec? Cóż on o sobie mówi? Skąd się tutaj znalazł? Przecież nie spadł chyba z nieba?

— Zapewne, że nie! — odpowiedział lekarz, rzucając szybkie spojrzenie na obie panie. — Znam jego całe życie, ale o tem pomówimy później. Zdaje mi się, że naprzód zechcecie panowie zwiedzić to miejsce, przez które złodzieje chcieli dostać się do domu, nieprawda?

— Nieinaczej — rzekł Blathers. — Najlepiej będzie, rozpatrzymy naprzód miejsce, a potem przesłuchamy służbę. Tak postępuje się zwykle w podobnych wypadkach.

Przyniesiono światło; Blathers i Duff w towarzystwie miejscowego policjanta, Brittlesa i Gilesa — słowem wszyscy udali się do małej komórki na samym końcu sieni, i wyjrzeli przez okienko; potem wyszli na trawnik i zajrzeli przez okienko; potem wzięli świecę, i przy jej blasku obejrzeli okiennice; potem przy świetle latarni zbadali ślady stóp na ziemi; wreszcie, przy pomocy wideł, przetrząsnęli krzaki.

Po dokonaniu tego wszystkiego, wrócili do domu; Giles i Brittles musieli przedstawić jak najdokładniej przebieg swoich przygód z ubiegłej nocy. Opowieść powtórzyli sześć razy, przyczem w pierwszej redakcji nie mogli się zgodzić w jednym tylko szczególe, a w ostatniej zaś znalazło się tych sprzeczności dwanaście. Po wysłuchaniu ostatniej relacji, Brathers i Duff wyszli z pokoju i mieli z sobą długą naradę; była ona tak uroczysta i tajemnicza, że wo-

bec niej konsylja najznakomitszych lekarzy w najważniejszych kwestjach zawodowych wydałyby się wprost fraszką.

Tymczasem w drugim pokoju doktór Losberne przechadzał się gorączkowo, miotany wielkim niepokojem, a pani Maylie i Róża spoglądały na niego z trwogą.

— Słowo daję, nie wiem, co począć? — rzekł nakoniec, zatrzymując się nagle.

— Mnie się zdaje — odezwała się Róża, że najlepiej będzie szczerze i otwarcie opowiedzieć tym panom przygody Oliwera; to go najbardziej uniewinni.

— Wątpię, droga pani! — rzekł lekarz, potrząsają głową. — Jestem pewny, że nie uniewinniłoby go nietylko w oczach agentów śledczych, ale nawet sądowych urzędników wyższego stopnia. Któż on jest, spytaliby. Zbieg, włóczęga. Pozory są przeciwko niemu, a historja jego życia jest bardzo niewygodna.

— Ale pan mu przecież wierzysz, doktorze? — przerwała Róża.

— Wierzę — odpowiedział lekarz — chociaż wszystko razem jest bardzo dziwne. Mimo to, uważam, że opowiadanie nie nadaje się zupełnie dla czynnego policjanta.

— Dlaczego? — zapytała Róża.

— Dlatego, moja piękna inkwizytorko — odpowiedział lekarz — że, patrząc na nią ich oczyma, jest w niem wiele brzydkich kawałów... On tylko o tem przekonać ich może, co jest w niem najbrzydszego, ale nie o tem, co w niem jest pięknego. Ci ludzie chcą wiedzieć: jak i dlaczego, i liczą się tylko z realnemi faktami. Z jego zeznania okazuje się, iż przebywał czas niejaki ze złodziejami; że raz nawet zawleczono go do urzędu policyjnego pod zarzutem,

że jakiemuś panu wyciągnął chustkę z kieszeni. Z domu tego pana zostaje przemocą porwany i zawleczony w miejsce, którego nie umie wskazać i o którego położeniu nie ma najmniejszego nawet wyobrażenia. Do Chertsey przyprowadzili go ludzie, którzy mimo jego oporu i prośby wsuwają go przez małe okienko do domu, będącego celem ich rabunku. I właśnie wtedy, kiedy zamyśla on budzić mieszkańców, to jest dokonać czynu, który usprawiedliwiłby go w oczach wszystkich, właśnie wtedy, ten nieokrzesany, niedorzeczny Giles wpada i strzela do niego. Tak jakby chciał naumyślnie mu przeszkodzić w tem, co miało być dla niego dobrem. Czy panie zdają sobie sprawę z tego wszystkiego?

— Owszem, zdajemy sobie sprawę — odpowiedziała Róża z uśmiechem, wywołanym gwałtownością doktora — ale nie widzę w tem nic takiego, coby mogło chłopca potępić.

— Oczywiście, że nie, oczywiście — podchwycił lekarz — wiem, wiem! O, błogosławione, szeroko na świat patrzące oczy płci pięknej. Widzą one zawsze tylko jedną stronę każdej rzeczy, czy to złą, czy dobrą, a przedewszystkiem tę, która się im naprzód przedstawi.

Powiedziawszy to, doktór Losberne wsadził ręce do kieszeni i zaczął znów przechadzać się gorączkowo po pokoju.

— Im więcej nad tem myślę — rzekł po chwili — tem głębszego nabieram przekonania, że cała sprawa powikłałaby się bardzo, gdyby policja dowiedziała się o prawdziwych kolejach losu Oliwera. Jestem przekonany, że nie uwierzonoby mu wcale. A gdyby nawet chłopiec nie ucierpiał wskutek tego w danej chwili, to już samo rozpowszechnienie wiadomości, że przebywał w złych miejscach, wśród nikczemników i zbrodniarzy, mogłoby przeszkodzić

szlachetnemu zamiarowi pań wyprowadzenia chłopca z niedoli i niebezpieczeństw.

— Cóż więc poczniemy? — zawołała Róża. — O, mój Boże! Dlaczego oni posłali po tych ludzi?

— To prawda — potwierdziła pani Maylie. — Ja im wcale tego nie polecałam i nigdybym na to nie pozwoliła.

— Wiem o tem bardzo dobrze — rzekł pan Losberne, siadając z rozpaczliwym spokojem. — Musimy teraz wszystko znieść śmiało i cierpliwie. Cel nasz jest szlachetny, i to musi nas usprawiedliwić. Chłopiec ma gorączkę, nie można więc badać go i wypytywać. To coś dla nas znaczy. Musimy tę okoliczność wyzyskać!... Proszę wejść!

— Nie ulega wątpliwości, moi państwo — rzekł Blathers, wróciwszy z Duffem do pokoju i starannie zamknąwszy drzwi za sobą — nie ulega wątpliwości, powtarzam, że rabunek nie był zmówiony.

— A co pan nazywasz zmówionym rabunkiem? — zapytał lekarz niecierpliwie.

— Rabunek nazywamy zmówionym wówczas, łaskawa pani — rzekł Blathers, i zwrócił się do pani Maylie, jakby chcąc okazać współczucie za niewiadomość w tej materji i wyrazić jednocześnie pogardę doktorowi — wówczas, gdy służba domowa jest ze złodziejami w zmowie.

— Nikt naszej służby nie posądza o coś podobnego — zauważyła pani Maylie.

— Wiem o tem, łaskawa pani — rzekł Blathers — ale coś podobnego mogło się zdarzyć.

— Mogło — potwierdził Duff.

— Naszem zdaniem — ciągnął Blathers poważnie — to sprawa doświadczonych bandytów miejskich, gdyż wszystko było obmyślane po mistrzowsku.

— Bardzo sprytnie było obmyślone — potwierdził Duff ulegle.

— Do tego należało dwuch łotrów — mówił dalej Blathers — którzy mieli ze sobą małego chłopca; o tem można przekonać się łatwo, biorąc pod uwagę rozmiary okna. Tymczasem nic więcej powiedzieć nie możemy. Pragnęlibyśmy teraz zobaczyć owego chłopca, który znajduje się na górze.

— A możeby panowie posilili się czemkolwiek, pani Maylie? — wtrącił szybko doktór Losberne z rozjaśnioną twarzą, jak gdyby nowa myśl przyszła mu do głowy.

— Ach, prawda! — zawołała Róża. — Będzie wszystko natychmiast gotowe, jeżeli panowie sobie życzą.

— I owszem, dziękujemy bardzo — rzekł Blathers, przesuwając rękawem po ustach. — Nasze zajęcie jest bardzo ciężkie... Niech łaskawa pani nie zadaje sobie wiele fatygi... ot, co jest pod ręką...

— Co panowie pozwolicie — zapytał doktór Losberne, pomagając Róży przy kredensie.

— Parę kropel gorzałki, proszę pana, jeżeli to państwu nie sprawi trudności — odpowiedział Blathers. — Z Londynu spory kawał drogi, a przy takiem zimnie, łaskawa pani, jakie dziś mamy, kieliszek wódki jest prawdziwie zbawiennem lekarstwem.

Blathers zwrócił się z tą uwagą do pani Maylie, która przyjęła ją nader uprzejmie. W czasie tej wymiany zdań doktór Losberne wymknął się chyłkiem z pokoju.

— Ach — mówił pan Blathers, ujmując kieliszek nie za nóżkę, ale stawiając go podstawką na dwuch palcach lewej ręki i unosząc w ten sposób wgórę — wiele już podobnych kawałków miałem w swojej praktyce.

— Naprzykład napad nocny w Edmonton... — wtrącił Duff, chcąc przyjść z pomocą pamięci towarzysza.

— To było właśnie coś w tym rodzaju — potwierdził Blathers. — A sprawca tej sztuczki był Conkey Chickweed.

— Ty zawsze tylko jego masz na myśli! — zaprzeczył Duff — ja zaś utrzymuję, że ten napad urządziła rodzina Petów, a Conkey do tego nie należał.

— Mylisz się, kolego — upierał się Blathers — a czy przypominasz sobie, jak Conkey okradł samego siebie? To był dopiero figiel! Najznakomitszy romans nie wywołał takiego hałasu.

— Co to właściwie było? — zapytała Róża, która starała się usilnie utrzymać dobry humor niepożądanych gości.

— Była to, łaskawa pani, sztuczka złodziejska, przedziwnie pomyślana — odpowiedział Blathers. — Ten Conkey Chickweed...

— Conkey, to znaczy Nosacz, proszę pani — wtrącił Duff. —

— Ależ panie o tem z pewnością wiedzą, nieprawdaż? — ofuknął go Blathers. — Zawsze musisz mi przerywać... Otóż ten Conkey Chickweed, łaskawe panie, utrzymywał szynk przy drodze do Battlebridge, a przy nim miał piwnicę, w której odbywały się walki kogutów, zapasy bokserów i tym podobne sporty. Wszystko odbywało się bardzo przyzwoicie, gdyż sam nieraz tam byłem. Wtedy jeszcze Conkey nie był zawodowym złodziejem. Otóż pewnej nocy skradziono mu trzysta dwadzieścia siedem gwinei, zaszytych w płóciennym worku. Skradziono w nocy z jego sypialni. Jakiś nieznajomy z czarnym plastrem na oku miał to złodziejstwo popełnić. Ukrył się on wieczorem pod łóżkiem Con-

keya, a potem, zabrawszy pieniądze, wyskoczył z pierwszego piętra przez okno. Szybko się z tem uwinął, ale i Conkey nie był leniwy... Obudzony skrzypnięciem otwieranego okna, zerwał się z łóżka, wystrzelił z pistoletu, alarmując tym sposobem całe sąsiedztwo. Powstał wrzask, ludzie się zbiegli, a poszukując złodzieja, przekonali się, że Conkey musiał go zranić, gdyż znaleźli ślady krwi, które szły do odległego płotu i tam dopiero ginęły. Złodziej umknął jednak ze swoją zdobyczą, i wskutek tego zdarzenia nazwisko Conkeya zostało umieszczone na liście bankrutów. Wszyscy litowali się nad nim, bo zbankrutował nie z własnej winy. Robiono różne składki, loterje i Bóg wie co jeszcze, żeby pomóc biednemu człowiekowi, który, ubolewając nad swoją stratą, przez kilka dni błąkał się po ulicach i wyrywał sobie włosy z taką rozpaczą, że sądzono, iż albo oszaleje, albo też sobie w łeb palnie. Pewnego dnia wpada nagle zdyszany do urzędu policyjnego, pragnąc pomówić na osobności z inspektorem; po niejakim czasie inspektor dzwoni, każe przywołać do siebie Jema Spyers — Jem dyżurował wtedy — poleca mu iść z Conkeyem do jego domu i pomóc mu w ujęciu łotra, który go okradł... — Ja go widziałem, panie Spyers — zapewnił Conkey — przedwczoraj rano przeszedł koło mego domu. — Dlaczegożeś nie wypadł z domu i nie chwycił go za kołnierz? — zapytał Spyers. — Na jego widok straciłem przytomność do tego stopnia, że wykałaczka byłaby mię powaliła na ziemię — odpowiedział biedny człowiek — ale jestem pewien, że go schwytamy, gdyż on tej nocy, pomiędzy dziesiątą a jedenastą, znów tamtędy będzie przechodził. — Spyers zabrał z sobą kilka sztuk potrzebnej bielizny i grzebień, na wypadek gdyby mu kilka dni na złodzieja czekać przyszło, udał się do mieszkania Conkeya Chickweeda i usiadł

w izbie szynkownianej pod oknem, poza małą, czerwoną zasłoną, z kapeluszem na głowie, gotów zaraz wybiec z domu, gdyby tego zaszła potrzeba. Późno w nocy Spyers zapalił fajkę, gdy wtem Chickweed wypada z sąsiedniej izby, wrzeszcząc na całe gardło: — Oto jest! Oto jest! Łapajcie złodzieja! Mordercę — i pędzi na ulicę. Jem Spyers zrywa się i pędzi za nim. Pędzą obydwaj co siły, Chickweed wciąż wrzeszczy, jak opętany. W jednej chwili zbiera się tłum ludzi, przyłącza się do nich, wrzeszcząc również: — Chwytajcie złodzieja! — Chickweed wyprzedza wszystkich, pędzi jak szalony. Naraz zwraca się w boczną ulicę tak nagle, że Spyers traci go z oczu. Po chwili wraca stamtąd zdyszany, Spyers przypada do niego i pyta: — Gdzież złodziej? — Niech go piorun trzaśnie! — odpowiada Chickweed — znów przepadł bez śladu.

Wydało się to wszystkim bardzo dziwne. Ale cóż było robić? Złodziej uciekł i basta. Porozchodzili się wszyscy do domów, a nazajutrz od wczesnego rana Spyers znów zajął swoje miejsce pod oknem, upatrując owego wysokiego złodzieja, z czarnym plastrem na oku. Siedząc tak z wytrzeszczonemi oczami, spać mu się zachciało. — Zaledwie jednak zdrzemnął się, gdy Chickweed zaczął wrzeszczeć: — Oto jest! Oto jest! — Znów z szynku wypadają, pędzą, a ludzie za nimi. Odwalili dwa razy tyle drogi, co dnia poprzedniego, z tym samym rezultatem: złodziej umknął. Taka historja powtórzyła się jeszcze kilka razy, tak, że wkońcu jedni orzekli, że Chickweeda okradł chyba sam djabeł, który go teraz wodzi, inni zaś utrzymywali, że biedny Chickweed dostał pomieszania zmysłów.

— A Jem Spyers co na to mówił? — zapytał doktór Losberne, który tymczasem wrócił do pokoju.

— Jem Spyers — odparł Blathers — przez długi czas nic nie mówił, śledził bacznie Chickweeda, nie dając mu tego poznać. Dowód najlepszy, że się dobrze znał na rzeczy. Pewnego rana zbliżył się do biednego Chickweeda, który siedział za szynkwasem, wydobył tabakierkę z kieszeni i rzekł: — Słuchajno Chickweed! Ja już mam tego, kto ci ukradł pieniądze.

— Macie go już? — zawołał Chickweed. — Ach, drogi panie Spyers, jeżeli będę mógł zemścić się na nim, umrę szczęśliwy. Drogi panie Spyers, gdzie jest ten złoczyńca? — Mój Chickweed — rzekł wtedy Speyrs, podając mu tabakierkę — porzuć te żarty! Przecież ty sam siebie okradłeś. — I tak było rzeczywiście. Zarobił na tem doskonale i nikt nie byłby się tego oszustwa domyślił, gdyby nie był przesadzał w upozorowaniu całej afery — rzekł pan Blathers, wychylił znów kieliszek i zadzwonił kajdankami.

— Bardzo zajmująca historja — rzekł doktór Losberne. — A teraz, panowie, jeżeli łaska, możemy udać się na górę.

— Jeżeli pan sobie życzy — oświadczył Blathers, poczem, prowadzony przez lekarza, podążył wraz z towarzyszem do pokoju na piętrze, w którym leżał Oliwer.

Giles szedł przed nimi ze świecą.

Oliwer wprawdzie przespał się nieco, gorączka jednak wzmogła się i wyglądał teraz gorzej, niż przedtem. Przy pomocy lekarza usiadł na chwilę na łóżku, lecz na wszystkich i na wszystko spoglądał błędnem okiem, nie mogąc sobie zdać sprawy, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje.

— Oto jest ten chłopiec — odezwał się doktór Losberne cichym głosem, w którym czuć było wzruszenie. — Bawiąc się nabitym pistoletem w otwartem polu, tuż za ogrodem tego domu, zranił się przypad-

kiem, a dziś rano tutaj się przywlókł, aby prosić o pomoc. Zamiast tego, został schwytany przez tego jegomościa, który oto ze świecą stoi. Posądził on go najniedorzeczniej w świecie o współudział w napadzie, groził mu i znęcał się nad nim tak, że biedne dziecko wpędził w niebezpieczną chorobę, co mogę jako lekarz poświadczyć.

Blathers i Duff zwrócili oczy na Gilesa, ten zaś, z wyrazem niewymownego przerażenia spoglądał to na Oliwera, to na pana Losberne.

— Spodziewam się, że temu nie zaprzeczysz? — rzekł lekarz, ułożywszy Oliwera z powrotem na poduszkach.

— Ja to wszystko uczyniłem w najlepszej wierze, sir — tłumaczył się Giles. — Zdawało mi się, że to jest ten sam chłopiec, inaczejbym się do tego wcale nie mieszał. Nie jestem człowiekiem bez serca, panie doktorze!

— Za jakiego chłopca go wziąłeś? — zapytał Blathers.

— Wziąłem go za tego samego chłopca, którego złodzieje w nocy mieli z sobą — odpowiedział Giles. — Bo oni mieli z pewnością chłopca do pomocy.

— Czy i teraz jeszcze utrzymujesz, że to ten sam chłopiec — zapytał Blathers.

— Nie rozumiem... — bąknął Giles, patrząc błędnie na pytającego.

— Pytam, czy to ten sam chłopiec, głowo do pozłoty? — powtórzył Blathers niecierpliwie.

— Nie wiem... doprawdy, nie wiem — odparł Giles coraz więcej zmieszany. — Nie mogę na to przysiąc.

— Więc co myślisz? — zagrzmiał Blathers.

— Nie wiem, co myśleć — plątał się Giles. — Nie myślę, żeby to był ten sam chłopiec... wiem nawet

z pewnością, że to nie ten sam chłopiec... Panowie sami wiecie, że on nie może być tym samym chłopcem...

— Czy ten człowiek jest pijany? — zapytał Blathers lekarza.

— Wielki z ciebie cymbał — rzekł Duff, spoglądając na Gilesa z pogardą.

Doktór Losberne badał tymczasem puls chorego; poczem podniósł się z krzesła, na którem dotąd siedział przy łóżku, i oświadczył, że jeżeli panowie urzędnicy mają jeszcze jakie wątpliwości, to niech udadzą się do przyległego pokoju, i przesłuchają Brittlesa.

Poddając się tej propozycji, Blathers i Duff poszli do wskazanego pokoju i tam wzięli w obroty Brittlesa, ten zaś naplótł mnóstwo niedorzeczności i wplątał w niesłychaną gmatwaninę samego siebie i swego przełożonego. Policjanci mogli z jego sprzecznych i chwiejnych odpowiedzi wywnioskować jedynie to, że stał się ofiarą dziwnego złudzenia, tak samo, jak Giles; że owego chłopca, wspólnika złodziei, nie poznałby żadną miarą, bo go w ciemnościach nocy nie widział; że jeżeli utrzymywał, że Oliwer jest tym samym chłopcem, to jedynie dlatego, że Gilesowi tak się zdawało; że wreszcie Giles oświadczył niedawno w kuchni, iż pospieszył się zbytnio z oskarżeniem Oliwera.

Z kolei wzięto pod uwagę kwestję: czy Giles zranił istotnie jednego z rabusiów, zbadano tedy pistolet, z którego Giles strzelał, a gdy wykręcono nabój z drugiej lufy, przekonano się, iż składał się on tylko z prochu i przybitki, bez kuli. Zdumienie było ogromne. Jedynie doktór Losberne nie zdziwił się wcale, jako że sam przed pół godziną wyciągnął kulę z lufy.

Największe zdumienie okazał Giles, któremu zdawało się, że sam pistolet nabił. Odkrycie to ucieszyło go mocno, dotychczas bowiem mniemał, iż istotnie zranił śmiertelnie jakiegoś chłopca i dręczył się tą myślą nad wyraz.

Ostatecznie agenci bezpieczeństwa, nie troszcząc się więcej o Oliwera, pozostawili na miejscu policjanta z Chertsey, a sami udali się na noc do miasta i obiecali powrócić nazajutrz dla przeprowadzenia dalszego śledztwa.

Nazajutrz zaś rozeszła się pogłoska, iż w Kingston uwięziono dwuch ludzi i małego chłopca, aresztowanych wśród bardzo podejrzanych okoliczności; Blathers i Duff udali się natychmiast do Kingston.

Tam przekonali się, że owe podejrzane okoliczności polegały na tem, iż trzy wpomniane osobistości znaleziono śpiące pod stertą siana. Oczywiście jest to wielka zbrodnia, jednak karze się ją tylko kilkodniowym aresztem, a w łaskawych oczach angielskiego prawa, oraz jego nadzwyczajnej łagodności dla wszystkich swoich poddanych, fakt ten nie jest dostatecznym dowodem, o ile niema innych, że śpiący w polu pod stertą siana popełnił kradzież z włamaniem i zasłużył wskutek tego na karę śmierci. I tak Blathers i Duff znów z niczem wrócili do Londynu.

Ostatecznie, po długich badaniach, sędzia gminy zgodził się na to, by wraz z panem Losberne i panią Maylie złożyć policji formalne poręczenie, iż Oliwer w każdym czasie stawi się przed władzą, jeżeli obecność jego okaże się potrzebna, poczem Blathers i Duff, otrzymawszy za swoje trudy kilkanaście gwinei, powrócili do Londynu z nieuzgodnioną co do całej sprawy opinją: Duff skłaniał się do przypuszczenia, że zamierzona grabież była pomysłem

rodziny Pet, Blathers posądzał o to Conkeya Chickweed.

Oliwer tymczasem przychodził powoli do siebie przez troskliwą opiekę pani Maylie, Róży i poczciwego doktora Losberne.

Jeżeli szczera, pochodząca z wdzięcznego serca modlitwa dochodzi do nieba i bywa wysłuchana — czy inna może być wogóle? — to wysłuchane zostało błogosławieństwo, o które błagał dla nich sierota, a które dusze ich napełniały szczęściem i spokojem.

Rozdział trzydziesty drugi.

O szczęśliwych chwilach, jakie Oliwer pędzi wśród swoich drogich przyjaciół.

Choroba Oliwera była ciężka, połączona z dotkliwemi cierpieniami.

Do bólu, spowodowanego złamaniem ręki, dołączyła się silna gorączka, którą wywołały chłód i wilgoć, a która dręczyła go przez kilka tygodni.

Nakoniec choroba przesiliła się, zdrowie zaczęło powoli wracać i niebawem miał już tyle siły, że mógł choć paru rozrzewnionemi słowami wyrazić, jak głęboko odczuwa dobroć obu opiekunek i jak szczerze pragnie, po zupełnem wyzdrowieniu, znaleźć sposobność okazania im wdzięczności i przekonania o tem, że ich miłosierdzie nie poszło na marne a trafiło na grunt podatny.

— Biedne stworzenie — rzekła Róża, gdy Oliwer usiłował pewnego dnia wymówić słowa podzięki, które cisnęły mu się na blade wargi.

— Nieraz zdarzy się sposobność, że będziesz mógł, jeśli zechcesz usłużyć. Pojedziemy wkrótce na wieś, a ciocia życzy sobie, żebyś nam towarzyszył. Spokój wiejski, powietrze świeże i czyste, wszystkie rozkosze wiosny, przyspieszą twoje wyzdrowie-

nie. Skoro siły odzyskasz, możesz nam być pomocą w wielu razach.

— Pomocą! — zawołał Oliwer — jakżebym chciał pracować dla pani. Gdybym chociaż mógł dla pani podlewać kwiaty, pilnować pani ptaszków, biegać od rana do nocy, by uczynić ją szczęśliwą. Ilebym dał za to!

— Nie potrzebujesz nic dawać — uśmiechnęła się pani Maylie — zapewniam cię, że nie omieszkamy korzystać z twoich dobrych chęci. Jeśli zaś chociaż w części spełnisz to, co teraz obiecujesz, to wierz, Oliwerze, sprawisz nam wielką radość.

— Radość, proszę pani — powtórzył chłopiec. — O, jaka pani jest dobra!

— Tak jest, radość — powtórzyła Róża — i to daleko większą niż sobie wyobrażasz, a nawet większą, niż mogę to wypowiedzieć. Już ta myśl, że moja zacna i dobra ciotka wybawiła kogoś z takiej niedoli, jaką nam ty opisałeś, jest dla mnie szczęściem, a będę czuć się jeszcze bardziej szczęśliwą, gdy przekonam się, że ten, którego ona uratowała, stał się godnym jej zaufania i odpłacił jej szacunkiem i miłością. Czyś mnie zrozumiał, Oliwerze?

— Zrozumiałem dobrze, proszę pani — odparł Oliwer z żywością — ale w tej chwili przyszło mi na myśl, że przecież okazałem się niewdzięcznym...

— Względem kogo? — spytała młoda pani.

— Względem zacnego staruszka i jego gospodyni, którzy również wyświadczyli mi tyle dobrego... Sądzę, że cieszyliby się bardzo, gdyby wiedzieli, jak jestem szczęśliwy.

— Zapewne — potwierdziła Róża. — Powiem ci nawet, żeśmy o tem myśleli i pan Losberne obiecał, że zawiezie cię do nich, gdy o tyle przyjdziesz do zdrowia, iż ci podróż nie zaszkodzi.

— Naprawdę, proszę pani? — zawołał Oliwer uradowany. — Nie będę się posiadał z radości, gdy zobaczę znowu ich kochane twarze.

Wkrótce potem Oliwer czuł się tak dobrze, że mógł znieść trudy zamierzonej podróży; upewniwszy się, wsiadł też z doktorem do małego powozu, którego mu pani Maylie chętnie użyczyła, i ruszył w drogę.

Gdy znaleźli się w dzielnicy Chertsey Bridge, Oliwer zbladł okropnie, a z piersi jego wydarł się mimowolny okrzyk.

— Co ci jest, chłopcze? — zawołał lekarz, jak zwykle popędliwie. — Czyś co zobaczył?... Usłyszał?... Odczuł?...

— Ach, panie! — szepnął Oliwer, pokazując przez szybę powozu. — Ten dom... ten dom!

— No i cóż z tego?... Hej, stangret, zatrzymaj się! Cóż ten dom znaczy? Co?...

— Złodzieje zaprowadzili mię do tego domu... — szepnął Oliwer.

— Tam do djabła! — zawołał lekarz. — Hola! Stangret, otwórz drzwiczki!

Zanim woźnica wygramolił się ze swojego kozła, pan Losberne wyskoczył z powozu, podbiegł do opustoszałego domu i zaczął dobijać się do drzwi, jak szalony.

— Kto tam? — zapytał mały, brzydki garbus, otworzywszy drzwi tak nagle, że lekarz omal do sieni nie wpadł i tam jak długi się nie rozciągnął. — O co chodzi?

— O co chodzi? — powtórzył lekarz, chwyciwszy garbusa bez namysłu za kołnierz. — O wiele rzeczy... Chodzi o rabunek.

— Będzie chodziło jeszcze i o morderstwo, jeśli mię natychmiast nie puścisz — zagroził garbus flegmatycznie. — Czy mię rozumiesz?

— Rozumiem — odparł lekarz, wstrząsając nim silnie. — Gdzie jest... jakież to jest to łotrowskie nazwisko? Gdzie jest... aha! Gdzie jest Sikes, złodzieju?

Garbus spojrzał na niego z niewypowiedzianem żdziwieniem i oburzeniem, a uwolniwszy się zręcznie z rąk lekarza, rzucił okropne przekleństwo i skoczył do swej izby.

Zanim jednak zdołał drzwi za sobą zamknąć, lekarz wpadł również do wnętrza. Rozejrzał się bacznie dokoła, lecz nie znalazł nic takiego, coby opowieść Oliwera przypominało.

— A teraz mów — odezwał się garbus, który go z oka nie spuszczał — co ma znaczyć ta gwałtowna napaść? Czy chcesz mię obrabować, albo może zabić?... Mów.

— Czy widziałeś kiedy, żeby ten, kto ma zamiar dokonać kradzieży lub morderstwa, udawał się na miejsce zbrodni powozem, błazeński wampirze.

— Czego więc chcesz, tutaj? — zapytał garbus.— Wynieś się stąd, pókiś cały!

— Wyniosę się, kiedy mi się będzie podobało — odpowiedział Losberne, zaglądając do drugiej izby, która podobnie jak i pierwsza nie przedstawiała najmniejszego podobieństwa do opisu, danego mu przez Oliwera. — A chociaż dzisiaj wyniosę się, to znajdę cię jeszcze, przyjacielu!

— Bardzo dobrze! — odparł garbus z szyderczym uśmiechem. — Jeżeli będziesz mię kiedy potrzebował, to zastaniesz tutaj zawsze. Nie nato mieszkałem w tym domu przez dwadzieścia pięć lat, żebyś ty mię stąd wypędził. Ty mi zapłacisz za tę napaść!

To mówiąc, mały ułomny szatan wygrażał lekarzowi pięściami, tupał z wściekłości nogami.

— Głupio, bardzo głupio — mruknął lekarz pod nosem — chłopiec musiał się pomylić — a głośno dodał: — Cicho bądź, nie wściekaj się.

Rzucił garbusowi sztukę złota i wrócił do powozu. Garbus jednak poszedł za nim aż do drzwiczek powozu, wrzeszcząc na całe gardło i miotając najokropniejsze przekleństwa. Gdy Losberne odwrócił się, żeby dać woźnicy polecenie, zajrzał do powozu i rzucił na Oliwera takie bystre, a przytem tak wściekłe i zawzięte spojrzenie, że Oliwer później przez kilka miesięcy nie mógł go na jawie i we śnie zapomnieć.

Garbus w dalszym ciągu miotał obelgi i przekleństwa, a nawet gdy powóz już odjechał, on stał jeszcze na ulicy, wygrażał pięściami, tupał nogami, rwał sobie włosy z oznakami największej wściekłości.

— Osioł wielki ze mnie! — rzekł lekarz po chwili milczenia. — Czyś o tem nie wiedział, Oliwerze?

— Nie, panie.

— A więc zapamiętaj to sobie na przyszłość — dodał znów po chwili. — Gdyby nawet to miejsce było gniazdem owych łotrów, o których opowiadałeś, cóżbym sam mógł wskórać? A nawet gdybym miał kogoś do pomocy, to i tak nicbym nie zwojował; zdradziłbym się ze swoim nierozsądkiem przed całym światem. Co więcej, łotry, dowiedziawszy się, że są poszukiwani, zatarliby swoje ślady. Tyle już głupstw palnąłem przez swoją popędliwość, mógłbym się raz poprawić!

Faktem było, że pan Losberne całe swoje życie szedł za pierwszym popędem serca, ale musiał przecież to być popędy szlachetne, skoro cieszył się sympatją i uznaniem całego ogółu.

W tej chwili, prawdę mówiąc, był markotny; gniewało go, że zawiodła pierwsza sposobność sprawdzenia opowiadania Oliwera. Ponieważ jednak Oli-

wer nie okazywał żadnego zmieszania i nie plątał się w odpowiedziach na rzucane pytania i odpowiadał z pozorem szczerości i prawdy, przeto lekarz rozchmurzył się i przeszedł do przekonania, że niema podstawy do posądzania chłopca o kłamstwo.

Oliwer znał nazwę ulicy, przy której pan Brownlow mieszkał, wkrótce przeto stanęli na miejscu. W miarę zbliżania się do celu, Oliwer czuł się coraz bardziej wzruszony, serce biło mu coraz gwałtowniej.

— Powiedzże teraz, mój synu — zapytał pan Losberne — w którym domu mieszka twój dobroczyńca?

— W tym, panie — odpowiedział Oliwer, wskazując przez okienko powozu. — Ten oto biały dom. Spieszmy się drogi panie, spieszmy na Boga. Doznaję dziwnego uczucia: wydaje mi się, jakbym miał za chwilę umrzeć.

— No, no! Uspokój się, uspokój! — rzekł lekarz, klepiąc go po ramieniu. — Wkrótce ich wszystkich powitasz, a oni będą bardzo radzi, gdy zobaczą cię w zdrowiu i całości.

— O, spodziewam się tego! — zawołał Oliwer — oni byli dla mnie tacy dobrzy; bardzo, bardzo dobrzy.

Powóz nakoniec zatrzymał się. Nie, to nie był ten sam dom, do którego zmierzali. Jeszcze nieco dalej. Oliwer wyglądał przez okno od powozu ze łzami szczęścia i radosnego oczekiwania w oku.

Niestety — dom był pusty, a na drzwiach widniała karta z napisem:

Do wynajęcia.

— Zapukaj do sąsiedniego domu! — zawołał Losberne, gdy zaś ukazał się odźwierny, zapytał go: — Proszę mi powiedzieć, co się stało z panem Brownlow, który mieszkał tutaj obok, w tym białym domu?

Sługa odpowiedział, że nie wie, lecz pójdzie się zapytać. Niebawem wrócił, oznajmiając, iż pan Brownlow sprzedał wszystkie swoje rzeczy i przed sześcioma tygodniami wyjechał do Indyj Zachodnich. Oliwer załamał ręce i upadł na siedzenie powozu.

— Czy gospodyni wyjechała z nim także? — zapytał Losberne po chwili namysłu.

— Tak jest, panie — odparł sługa. — Pan Brownlow, jego gospodyni i stary jego przyjaciel nawet, pan Grimwig, wszyscy razem wyjechali.

— Wracajmy zatem do domu — rozkazał Losberne stangretowi — i nie popasaj koni, dopóki nie wyjedziemy z tego przeklętego Londynu.

— A do księgarza, drogi panie? — szepnął Oliwer. — Ja znam drogę do niego. Ach, panie, jedźmy, jedźmy do niego.

— Mój synu, dosyć rozczarowań na jeden dzień — odparł lekarz — nie szukajmy ich więcej. Gdybyśmy pojechali do owego księgarza, tobyśmy się z pewnością dowiedzieli, że albo umarł, albo dom mu się spalił, albo też gdzie uciekł. Nie, nie, wracajmy do domu.

Oliwer nie śmiał nalegać, wkrótce też wrócili do domu.

Oliwer odczuł głęboko zawód, jaki spotkał go w Londynie. Oddawna cieszył się myślą, że zobaczy się z panem Brownlow i panią Bedwin, wyobrażał sobie, z jakiem zajęciem będą słuchali opowiadania o jego przygodach; cieszył się, że będzie mógł wyrazić im swoją tęsknotę za nimi, zapewnić ich, że ani na chwilę o nich nie zapomniał.

Obiecywał sobie nadto, że będzie mógł usprawiedliwić się przed nimi ze wszystkiego i wytłomaczyć, jak go podstępnie schwytano i zawleczono do Żyda. Myśl ta dodawała mu otuchy, umacniała wśród najsroższych cierpień i dolegliwości. Teraz, gdy się

dowiedział, że wyjechali daleko, na drugi kraniec świata, może na zawsze, a wyjechali w tem przekonaniu, że on jest kłamcą, oszustem, złodziejem, że tego przekonania nie będzie mógł zwalczyć; teraz uczuł się boleśnie złamanym i przygnębionym. Szczęście przecież, że nowi dobroczyńcy nie zmienili względem niego swego postępowania i tak samo, jak dawniej okazywali mu zaufanie i życzliwość.

Po dwuch tygodniach, kiedy wiosna rozwinęła się w całem swojem bogactwie; kiedy każde drzewko, każda roślinka wypuściła świeże liście i okryła się bujnem kwieciem, rozpoczęto przygotowania do opuszczenia Chertsey na kilka miesięcy.

Srebro, które było tak wielką ponętą dla Żyda, posłano do banku, dom cały powierzono opiece Gilesa i drugiego jeszcze sługi, poczem udano się na wieś, odległą dosyć od Chertsey. Oliwera zabrano ze sobą.

Niepodobna opisać rozkoszy, szczęścia, błogiego spokoju, jakich doznawał wątły chłopczyna w balsamicznej atmosferze zielonych, gęstych lasów, wśród pagórków.

Ludzie, którym całe życie upłynęło wśród nieznośnej wrzawy i gwaru miasta, którzy przez długe lata, nie pomyśleli o zmianie trybu życia, dla których pobyt w mieście stał się drugą naturą, którzy zżyli się z miastem tak bardzo, że pokochali każdą jego cegiełkę, każdy kamień, znajdowany na drodze swoich monotonnych przechadzek: ci ludzie, którym śmierć zaczyna zaglądać do oczu, ci wszyscy uczuwają tęsknotę do wsi, pragną choć krótką chwilę spędzić na łonie natury. A jeżeli uda im się urzeczywistnić to pragnienie, uciec z widowni codziennych trosk i kłopotów, w ustroń wiejską, wówczas ogarnia ich niewysłowiona błogość, czują, jak gdyby wstąpiło w nich nowe życie. Spędzają też całe dnie

wśród uroczego otoczenia zieleni i kwiecia pod jasnemi promieniami słońca, a sam widok błękitu niebios, gór, równin, dolin i lśniącej wody napawa ich takiem szczęściem, że odczuwają w duszy przedsmak spokoju i beztroski przyszłego życia; gdy zaś zbliży się ostatnia chwila, odchodzą ze świata bez obawy, gasną niby owo słońce, które jeszcze przed kilkoma godzinami podziwiali.

Myśli i uczucia, jakie budzą w naszej duszy sielskie widoki, nie należą do tego świata, nie mają żadnej łączności z jego troskami i walkami. Ich wpływ dodatni, kojący, uczy nas pleść świeże wieńce i stroić niemi groby istot ukochanych, oczyszcza nasz umysł i serce z cech ziemskich, skłania do zapomnienia dawnej nienawiści i gniewu, budzi wreszcie w duszy człowieka, choćby umysł jego był tępy i niepodatny do wrażeń, pewną słabą, niejasną świadomość, że myśli te i uczucia są mu znane, że ongiś już bytowały w jego duszy; podobne zaś poczucie zwraca umysł do rozważań przyszłego bytu, wytępiając przytem w duszy chwasty ziemskiej pychy i próżności.

Okolica, w której znalazł się teraz Oliwer, była urocza i, po wstrętnem, zgiełkliwem i brutalnem otoczeniu, wydawała mu się tem rozkoszniejszą. Pod oknami dworka rosły róże i jaśminy, bluszcz wił się po drzewach i ścianach, a kwiaty napełniały powietrze balsamiczną wonią. W pobliżu znajdował się mały cmentarz, na którym nie widać było wcale wysokich, niezgrabnych nagrobków; zapełniały go skromne mogiły, okryte świeżą darnią, pod którą spoczywali poważnie sędziwi mieszkańcy wioski. Oliwer chodził tam często i rozmyślał o marnej mogiłce swojej matki, a to wspomnienie wyciskało mu łzy z oczu; gdy jednak zwracał wzrok na błękit niebios, wówczas doznawał ukojenia; nie myślał o niej, jako o tej,

która leży w ziemi, i płakał za nią ze smutkiem, lecz bez rozdzierającego bólu.

Były to szczęśliwe chwile; dni pogodne, słoneczne, noce bez obawy, iż zostanie wtrącony do hańbiącego więzienia lub zmuszony do przestawania w otoczeniu złych ludzi.

Codzień rano odwiedzał sędziwego staruszka, który mieszkał w pobliżu kościółka i uczył go czytać i pisać, przyczem tak miło z nim gawędził, tyle okazywał mu życzliwości, że chłopiec nie wiedział jak przykładać się do nauki, aby mu przyjemność zrobić.

Potem udawał się zwykle na przechadzkę z panią Maylie i Różą, przysłuchiwał się ich rozmowom o różnych ciekawych rzeczach, lub też, usiadłszy przy nich, słuchał pilnie, co Róża na głos czytała. Przed wieczorem zasiadał w swoim małym pokoiku, wychodzącym na ogród, i przygotowywał zadania na dzień następny. Wieczorem udawał się znów na przechadzkę z paniami, które wypytywały go, czego się nauczył. Wielką przyjemność sprawiało mu, jeżeli mógł znaleźć na łące kwiatek, o którym wspomniały, lub przynieść z domu jaki zapomniany przez nie przedmiot.

O zmierzchu wracali do domu. Róża wtedy zasiadała do fortepianu i grała lub śpiewała dźwięcznym głosem jakąś dawną piosenkę, a pani Maylie słuchała z upodobaniem. Nie zapalano w pokoju światła i Oliwer siadał pod oknem, i słuchał muzyki z najwyższem uniesieniem.

A gdy przyszła niedziela, jak przyjemnie ją spędzano, jak inaczej, niż było to dotychczas udziałem Oliwera.

Rano udawał się do skromnego kościołka, ubranego zielenią. Dokoła świątyni szemrały stare drzewa, świergotały rozkosznie ptaszęta, a przez niskie drzwi napływały z pól, łąk i lasów strumienie balsa-

micznego powietrza, wypełniając przybytek Pański jakby wonnem kadzidłem.

Lud wiejski, czysto i schludnie ubrany, klęczał, modląc się szczerze i żarliwie, śpiewał pieśni religijne, a chociaż głosy tego chóru były niewyrobione, szorstkie, to jednak brzmiały o wiele przyjemniej niż pretensjonalne głosy śpiewaków w tych świątyniach, do których Oliwer dawniej uczęszczał.

Wracając po nabożeństwie do domu, panie odwiedzały wieśniaków w ich chatach, dopytywały się o ich potrzeby, a wieczorem Oliwer odczytywał głośno rozdział Biblji, do którego przygotowywał się w ciągu tygodnia. Czynność tę spełniał z takiem przejęciem, jakby sam był osobą duchowną.

Wstawał Oliwer rano o 6-tej i biegł na pola i łąki, w poszukiwaniu kwiatów. Przynosił ich całe pęki do domu, układał je w wiązanki, któremi ozdabiał stół do śniadania.

Z tej rannej wycieczki przynosił również świeże trawki dla ptaszków Róży; wiedząc, że piękna jego opiekunka lubi niezmiernie skrzydlatych śpiewaków, wyuczył się ich hodowli od pisarza gminy i starannie klatek doglądał.

Załatwiwszy się z ptaszętami, Oliwer z polecenia opiekunek udawał się na wieś, niosąc zwykle zasiłki dla uboższych wieśniaków. Wróciwszy, pracował w ogrodzie, pod okiem wyżej wspomnianego pisarza gminy, który był zarazem zawodowym ogrodnikiem i chętnie uczył pilnego chłopca tego miłego zatrudnienia. Oliwer niezmiernie polubił to zajęcie, to też czynił szybko postępy, zasługując na pochwały Róży, które wielką sprawiły mu radość.

Tak upłynęły trzy miesiące. Czas, w ten sposób spędzany, ludzie uprzywilejowani nazwaliby z pew-

nością szczęśliwym; cóż dopiero mówić o Oliwerze, któremu zdawało się, że dostał się do raju.

Stosunek pomiędzy Oliwerem a jego opiekunkami ułożył się jak najlepiej. One okazywały mu coraz większą życzliwość i sympatję — on odpłacał im się bezgranicznem przywiązaniem, najgłębszą wdzięcznością; z biegiem czasu pozyskał ich zupełne zaufanie tak, że uważały go niemal za członka rodziny.

Rozdział trzydziesty trzeci,

w którym, szczęśliwe dnie Oliwera i jego przyjaciółek doznają niespodziewanego ciosu.

Nadeszło lato. Przyroda zajaśniała cała pełnią swego bogactwa i piękności.

Drzewa, niedawno nagie, przyodziały się w liście i okwieciły wspaniale. — Tryskało od nich bujne życie i zdrowie. Wyciągały swe zielone konary nad spragnioną ziemią, osłaniając ją błogim cieniem. Z tych cienistych, chłodnych ustroni rozciągał się majestatyczny widok na malowniczy krajobraz, skąpany w promieniach słońca. Była to słowem pora roku, w której przyroda okazuje największą siłę, największą dzielność życia. Wszystko wzrasta bujnie, rozwija się, kwitnie i owocuje.

Spokój, jaki panował w przyrodzie i unosił się nad całą okolicą, udzielał się także mieszkańcom letniego domku. Oliwer odzyskał już zdrowie i czerstwość, lecz powrót do sił nie sprowadził najmniejszej zmiany w jego uczuciach do obu opiekunek, co, mówiąc nawiasem, bardzo często się zdarza — wciąż był równie usłużny, wdzięczny, pilny i dobry, jak wówczas kiedy choroba i cierpienia osłabiły go do tego stopnia, że bez ich pieczołowitości nie mógł się obchodzić.

Pewnego pogodnego wieczoru odbyli dłuższą nieco niż zwykle przechadzkę, gdyż dzień był upalny, w nocy zaś księżyc świecił jasno i powiewał chłodny, i orzeźwiający wietrzyk.

Róża tego dnia była jakoś bardzo wesoła, tak, że zajęci żywą rozmową, przekroczyli znacznie granicę zwykłej przechadzki.

Gdy pani Maylie uczuła się znużona, zaczęli zwolna wracać do domu. Po powrocie Róża, zdjąwszy swój słomiany kapelusik, usiadła do fortepianu. Z pod klawiszów wypłynęła melodja dziwnie smętna, która coraz bardziej posępniała, wreszcie zdawało się, że w łkanie rzewne przeszła.

— Co ci jest, Różyczko? — spytała pani Maylie.

Róża nic nie odpowiedziała, tylko silniej uderzyła w klawisze.

— Róża, moja jedyna! — zawołała pani Maylie mocno zaniepokojona, zrywając się nagle ze swego krzesła i nachylając się nad dzieweczką. — Cóż ci jest? Płaczesz? Dziecko kochane, co ci się stało? Skąd te łzy, powiedz?

— Nic mi się nie stało, droga ciociu, — odparła młoda panna — nie wiem, co mi jest, nie umiałabym powiedzieć. Czuję tylko...

— Czy nie jesteś chora? — poddała pani Maylie.

— Nie, nie, nie jestem chora — odpowiedziała Róża, ale mówiąc to drgnęła, wstrząśnięta jakby lodowatym dreszczem — nie jestem chora. Już mi cokolwiek lepiej. Oliwerze, zamknij okno, proszę cię.

Oliwer wypełnił spiesznie polecenie, Róża, chcąc ukryć zdenerwowanie, usiłowała zagrać coś wesołego. Ręce jej opadły jednak bezwładnie na klawisze... Po chwili rzuciła się na niedaleko stojącą sofę, zakryła twarz dłońmi i wybuchnęła płaczem.

— Dziecko jedyne — zawołała pani Maylie, tuląc płaczącą w objęciach. — Nie widziałam cię dotąd nigdy w takim stanie.

— Ciociu droga... nie chciałam cię niepokoić, walczyłam z sobą, dopóki mogłam, ale już sił mi brak... Obawiam się... zdaje mi się, że jestem istotnie chora...

Tak było rzeczywiście; pani Maylie i Oliwer przekonali się o tem, gdy światło wniesiono do pokoju. Twarz dzieweczki, niedawno rzeźka i pogodna, zmieniła się do niepoznania: to bladła, to znów oblewała się purpurą, a zwykle łagodne, spokojne oczy zapłonęły nerwowym blaskiem.

Oliwer, który spoglądał na panią Maylie z przerażeniem, zauważył, że i ona jest w najwyższym stopniu zatrwożona; ponieważ jednak widział, że usiłuje ukryć swoją obawę, więc i on starał się ją naśladować.

Pani Maylie zdołała nakłonić Różę, żeby się udała na spoczynek. Młoda panna, złudzona pozornym spokojem obojga, czuła się lepiej, i odchodząc do swojej sypialni, zapewniała ich, że jutro wstanie zupełnie zdrowa.

— Spodziewam się — rzekł Oliwer do pani Maylie, gdy wróciła do jadalnego pokoju — że to nic takiego... Panna Róża wyglądała wieczorem bardzo źle, ale...

Staruszka skinieniem ręki nakazała mu milczenie, usiadła w najciemniejszym kąciku salonu, i milczała czas jakiś. Wreszcie przemówiła drżącym głosem:

— I ja myślę również, że to nic wielkiego, mój Oliwerze. Byłam z nią przez wiele lat bardzo szczęśliwa, nazbyt może szczęśliwa i kto wie, czy teraz dlatego właśnie los mię nie zacznie prześladować. Mam nadzieję jednak, że nie to mię czeka.

— Co takiego? — zagadnął Oliwer?

— Największe nieszczęście, jakie na mnie spaść może — odparła pani Maylie — strata ukochanego dziewczęcia, które tak długo było moją radością i pociechą.

— Ach, niech Bóg zachowa i broni! — zawołał Oliwer przerażony.

— Amen, moje dziecko! — zakończyła staruszka, złożywszy ręce.

— Niebezpieczeństwo nie może być tak wielkie — mówił Oliwer — wszak przed dwiema godzinami była zupełnie zdrowa.

— Ale teraz czuje się bardzo źle i w nocy choroba z pewnością się pogorszy... Droga moja, droga Różyczko! Cobym ja bez niej poczęła...

Sędziwa pani była doprowadzona do takiej rozpaczy, że Oliwer, chociaż sam przejęty bardzo, usiłował wszelkiemi sposobami dodać jej otuchy i prosił, żeby uspokoiła się ze względu na pannę Różę.

— Niech pani nie traci nadziei — mówił, tłumiąc łzy, które cisnęły mu się do oczu. — Panna Róża jest taka młoda, taka dobra, tyle pociechy i radości koło siebie rozlewa... Ja jestem pewien... nieinaczej... bardzo pewien, że ona nie umrze — ze względu na panią, która równie dobra jesteś dla wszystkich, i dla własnego szczęścia, i dla pociechy tych wszystkich, którzy ją otaczają. Bóg nie dopuści do tego, żeby umarła tak młodo.

— Przestań! — przerwała pani Maylie, kładąc dłoń na jego głowie. — Ty rozumujesz po dziecięcemu. Słowa twoje jednak przypomniały mi mój obowiązek. Zapomniałam o nim na chwilę, lecz myślę, że mi to będzie wybaczone, bo jestem już stara, widziałam w mem życiu wielu chorych i umierających i wiem, co znaczy ból rozstania z najdroższymi. I życie przekonało mię jeszcze, że młodzi i dobrzy nie zawsze pozostają z tymi, którzy ich kochają.

Ale to powinno stanowić naszą pociechę: Bóg jest sprawiedliwy i poucza nas w ten sposób, że poza grobem istnieje dla chorych i cnotliwych świat lepszy, do którego przejście trwa chwilę tylko. Niech się dzieje wola Boska. Kocham Różę bardzo, Bóg jeden wie, do jakiego stopnia.

Oliwera zdziwiły słowa staruszki. Zdołała ona zwalczyć swoje przygnębienie, podniosła głowę, mówiła poważnie i ze spokojem. I zdziwił się jeszcze bardziej, gdy przekonał się później, że nie była to zmiana chwilowa. Pani Maylie, skazana na trudy czuwania przy chorej, zachowywała spokój i rozwagę, i wszystkie wypływające stąd obowiązki spełniała sumiennie i pogodnie. Dziwiło go to, ponieważ był bardzo młody i nie mógł wiedzieć, do czego w trudnych okolicznościach zdolne są natury silne i hartowne.

Nastąpiła ciężka noc i okazało się, że przewidywania pani Maylie były słuszne: stan Róży pogorszył się znacznie — zapadła w silną gorączkę.

— Musimy być teraz energiczni, Oliwerze, i nie poddawać się rozpaczy — rzekła pani Maylie, kładąc palec na ustach i patrząc na niego badawczo. — Ten list trzeba jak najprędzej wysłać do pana Losberne. Najlepiej będzie zanieść go do miasteczka odległego stąd o cztery mile. Pójdziesz najkrótszą drogą przez pola i łąki, i z miasteczka wyślesz umyślnego posłańca do Chertsey. Gospodarz zajezdnego domu usłuży nam chętnie. Co do ciebie zaś, nie wątpię, że sprawisz się dobrze.

Oliwer nie mógł zdobyć się na odpowiedź i chciał natychmiast puścić się w drogę.

— Mam jeszcze drugi list — rzekła staruszka po chwili namysłu — ale nie wiem, czy wysłać go jednocześnie z tamtym, czy też wstrzymać się dopóki nie dowiemy się o stanie Róży czego stanowczego. Nie

chciałabym go wysyłać, jeżeli nie dojdzie do ostateczności.

— Czy ten drugi list ma być wysłany także do Chertsey? — zapytał Oliwer, wyciągając niecierpliwie rękę po list, pragnął bowiem jak najspieszniej polecenie wykonać.

— Nie — odpowiedziała staruszka, podając mu list machinalnie.

Oliwer rzucił okiem na kopertę i zdołał spostrzec, że był zaadresowany do pana Harrego Maylie, mieszkającego u pewnego lorda, którego nazwiska nie mógł odczytać.

— Czy mam wziąć ten list? — naglił coraz bardziej.

— Sądzę, że nie — rzekła pani Maylie, zabierając list z powrotem — wstrzymam się z nim do jutra rana.

To powiedziawszy, dała mu sakiewkę z pieniędzmi, on zaś pobiegł do miasteczka, jak mógł najszybciej.

Biegł przez pola, ugory, łąki. Czasem ścieżka prowadziła pomiędzy zbożem, czasem zdążał przez otwarte pola, na których pracowali żniwiarze lub kosiarze. Nie zatrzywymał się wcale, aż wreszcie zmęczony, zgrzany, pyłem i potem okryty, dotarł do miasteczka. Tu rozejrzał się, poszukując zajezdnego domu.

Zobaczył czerwony browar i żółty sąd gminy, w rogu zaś budynek pomalowany na zielono, z dużym szyldem, na którym widniało imię „Grzegorz“. W tę stronę Oliwer skierował swoje kroki.

Zagadnął najprzód pocztyljona, chrapiącego smacznie w bramie, a ten, wysłuchawszy o co chodzi, odesłał go do stajennego, który z kolei odesłał go do samego gospodarza, wysokiego jegomościa, z niebieską chustką na szyi, w białym kapeluszu, sukiennych spodniach i wywijanych butach. Gospodarz stał

na podwórzu, oparłszy się o pompę i wykałając zęby srebrną wykałaczką.

Gospodarz rozmyślał przez chwilę, potem udał się do izby i tam na szynkwasie długo coś kredą obliczał. Gdy skończył tę mozolną pracę i gdy Oliwer zapłacił żądaną kwotę, gospodarz przywołał pocztyljona i wydał mu polecenie. Zanim pocztyljon przybrał swój urzędowy uniform i osiodłał konia, upłynęło najmniej dziesięć minut. Oliwer tak się niecierpliwił, że gdyby mógł, sam dosiadłby konia i popędził galopem do najbliższej stacji.

Ale wszystko ma swój koniec. Pocztyljon ubrał się nareszcie, list zabrał, dosiadł konia i, skinąwszy kilkakrotnie głową na prośby i zaklęcia Oliwera o jak największy pośpiech, ruszył z kopyta po nierównym bruku miasteczka.

Oliwer odetchnął z ulgą: spełnił polecenie bez straty czasu.

Opuszczał dom zajezdny, już nieco uspokojony, z lżejszem sercem. Gdy wychodził na ulicę. w bramie domu natknął się na wysokiego jakiegoś człowieka, otulonego szczelnie płaszczem.

— A to co? — wykrzyknął człowiek, patrząc na Oliwera badawczo. — Do djabła co to znaczy...

— Najmocniej pana przepraszam — tłomaczył się Oliwer — spieszy mi się bardzo do domu i nie zauważyłem pana wychodzącego...

— Żywy, czy też jego mara? — mruczał w dalszym ciągu nieznajomy, nie spuszczając z Oliwera osłupiałych oczu. — Przecież on miał umrzeć... Ktoby był o tem pomyślał. Zgiń, przepadnij, w proch się rozsyp! Z grobu musiał wstać i wejść mi w drogę...

— Proszę wierzyć, że bardzo mi przykro — jąkał Oliwer, mieszając się coraz bardziej pod wpływem groźnego wzroku nieznajomego — ale myślę, żem pana nie uderzył.

— Bodaj kości twoje zgniły! — syknął nieznajomy przez zaciśnięte zęby z niewypowiedzianą wściekłością. — Gdybym miał odwagę wyrzec jedno słówko, byłbym się od ciebie odrazu uwolnił. Przekleństwo na twoją głowę, i morowe powietrze na twoje serce, wisielcze! Co tu robisz?

Z tem przekleństwem i z zaciśniętą pięścią, zbliżył się do Oliwera, jakby zamierzając go uderzyć, gdy nagle zachwiał się, upadł, zaczął wić się na ziemi w konwulsjach i piana wystąpiła mu na usta.

Oliwer patrzył przez chwilę na kurcze owego szaleńca — gdyż za takiego go poczytywał — lecz wkońcu oprzytomniał i pobiegł do izby, wzywając dla niego pomocy. Widząc, że zajęto się nim troskliwie, puścił się szybko z powrotem do domu, a w drodze wciąż miał przed oczyma owego dziwnego człowieka, który go tak przeraził.

Przygoda ta, jakkolwiek dziwna, nie zaprzątała długo jego głowy, gdyż po powrocie do domu, oddał się zupełnie innym myślom i uczuciom.

Choroba Róży pogarszała się ciągle, gorączka była coraz silniejsza tak, że chora, za nadejściem nocy, zapadła w malignę. Lekarz wiejski, który mieszkał w sąsiedniej wiosce, oświadczył po zbadaniu chorej, że stan jest bardzo groźny.

— Cud prawdziwy będzie — dodał — jeżeli siostrzenica pani wyjdzie z tej choroby.

Oliwer tej nocy nie spał wcale. Wciąż zrywał się z łóżka, wychodził na palcach na schody i tam nadsłuchiwał, czy nie uchwyci jakiego odgłosu, dochodzącego z pokoju chorej. Dreszcz go przejmował i czoło okrywało się zimnym potem, ilekroć dobiegły go stamtąd czyjeś stąpania, gdyż wyobrażał sobie wówczas, że stało się tam coś strasznego. Żarliwość wszystkich modlitw, jakie kiedykolwiek w swojem życiu zwracał do nieba, nie mogła porównać się

z zapałem i przejęciem, z jakiem teraz błagał Boga o ocalenie drogiej jego sercu dzieweczki, zawieszonej między życiem a śmiercią.

Ach, ta nasza bezsilność wobec faktu, że ukochana przez nas istota walczy ze śmiercią; o, te bolesne myśli, które nachodzą człowieka i rozdzierają jego serce; ta rozpacz wobec uznania własnej niemocy, wobec najwyższego niebezpieczeństwa; zwątpienie, jakie wówczas człowieka ogarnia: to wszystko są męki chyba najsroższe, większych nad nie człowiek w życiu swojem doznać nie może...

Zaświtał dzień; grobowa cisza zalegała dworek pani Maylie. Rozmawiano szeptem, twarze wszystkich były niespokojne, zatrwożone, oczy zalane łzami.

Oliwer przechadzał się cały ten dzień po ogrodzie, z czyma utkwionemi w okno pokoju chorej. Ilekroć poruszyła się firanka okna, zatrzymywał się, drżał, wyczekując strasznej wiadomości. Doktór Losberne przybył dopiero w nocy.

— To okropne — mówił, odwracając oczy od obecnych — to okropne... Taka młoda, taka kochana i... i... tak mało nadziei...

Nazajutrz słońce zajaśniało tak wspaniale, jakby na świecie nie istniała żadna troska. Wszystko dokoła kwitło, wzrastało, tętniało pełnią bujnego życia; zewsząd rozlegał się wesoły świergot ptactwa, w powietrzu unosiła się woń pól i lasów: a piękne, młode stworzenie zmagało się ze śmiercią...

Oliwer wymknął się z domu, udał na wiejski cmentarzyk i, siadłszy na darninowej mogile, płakał i modlił się w milczeniu.

Dokoła było tak spokojnie i pięknie, słoneczny krajobraz dyszał takiem weselem i pogodą, śpiew letnich ptaków tworzył tak radosną muzykę, że Oliwer, rozejrzawszy się koło siebie zmęczonemi oczy-

ma, pomyślał mimowoli, że to przecież nie jest czas śmierci, że Róża nie może umrzeć, kiedy wszystko dokoła uśmiecha się i raduje. Smutna i chłodna zima jest odpowiednią porą dla grobu, ale nie słoneczne i wonne lato.

Tłomaczył sobie jeszcze, że trumny są dla ludzi starych i zgrzybiałych, ale nie dla istot młodych i powabnych.

Z rozmyślań wyrwał go odgłos pogrzebowego dzwonu, który zajęczał na wieży kościelnej. A więc ktoś znowu! Po chwili weszła na cmentarz gromadka ludzi w żałobie, przybranej białemi wstęgami, jako że zmarły zgasł w kwiecie wieku. Orszak zatrzymał się nad świeżo wykopaną mogiłą... pomiędzy obecnemi stała matka — matka, zalewająca się łzami. Ale słońce świeciło w całej pełni i śpiewały ptaki.

Oliwer wrócił do domu, wspominając dobroć Róży, modląc się o jej ocalenie i obiecując sobie nie ominąć żadnej sposobności okazania jej swego przywiązania i wdzięcznych uczuć.

Dotychczas zdawało mu się, że niczego na tem polu nie zaniedbał: spełniał przecież wszystkie jej polecenia i starał się odgadywać nawet jej myśli; ale teraz nasuwały mu się pewne wątpliwości, czy nie był kiedy opieszałym, i wątpliwość ta martwiła go bardzo.

Człowiek powinien być zawsze czujny w stosunku do swoich najbliższych; śmierć bliskiej osoby pobudza sumienie do robienia rachunku z naszych czynności; jeżeli ten obrachunek wypadnie niekorzystnie, wówczas ogarniają nas dotkliwie dręczące wyrzuty, a żaden wyrzut nie jest tak gorzkim, jak ten, który przychodzi zapóźno.

Gdy Oliwer wrócił do domu, zastał panią Maylie siedzącą w saloniku. Widok ten przeraził go nie-

słychanie. Dotychczas staruszka nie opuszczała ani na chwilę łóżka Róży, to też Oliwer zadrżał na myśl, co za zmiana mogła wpłynąć na obecność pani Maylie w salonie.

Dowiedział się przecież, że Róża przed chwilą zasnęła głęboko, a doktór Losberne powiedział, że ten sen jest chwilą decydującą: chora albo obudzi się do życia i zdrowia, albo do wieczności.

Kilka godzin przesiedzieli w tym pokoju, nie mogąc słowa przemówić. Służba odnosiła z powrotem do kuchni nietknięty posiłek, a oni siedzieli ciągle w milczeniu, patrząc na słońce, które ustępowało powoli z firmamentu i oblewało ziemie pożegnalnemi blaskami.

Naraz w pokoju chorej rozlegly się ostrożne stąpania: oboje rzucili się do drzwi, w których ukazał się doktór Losberne.

— Doktorze, co z Różą? — zawołała pani Maylie. — Proszę o prawdę! Mogę ją znieść; najgorsza jest niepewność! Niech mi pan powie, na miłość Boga.

— Proszę o spokój, droga pani — rzekł lekarz, podtrzymując chwiejącą się staruszkę. — Niech się pani uspokoi.

— Puść mnie, doktorze, puść! Moje drogie dziecko... Już umarła... Umiera...

— Nie! — zawołał lekarz z uniesieniem. — Bóg jest łaskawy i miłosierny; ona będzie długo żyła na pociechę nas wszystkich.

Staruszka upadła na kolana i chciała złożyć drżące ręce, ale siły, które podtrzymywały ją dotychczas, uleciały w tej chwili z dziękczynną modlitwą, ona zaś osunęła się zemdlona w ramiona zacnego przyjaciela.

Rozdział trzydziesty czwarty

zawiera wstępne wiadomości o osobistości, która zjawia się na widowni, oraz opowiada o nowych przygodach Oliwera.

Radość była zbyt wielka do zniesienia.

Oliwer, usłyszawszy pomyślną wiadomość, stał czas pewien jak wryty. Nie mógł ani mówić, ani płakać. Miał zaledwie tyle sił, by zrozumieć wszystko, co działo się dokoła, ale przyszedł do siebie dopiero wtedy, kiedy znalazł się w ogrodzie. Chłód wieczorny orzeźwił go. Łzy puściły mu się z oczu, przynosząc sercu ulgę i doprowadzając umysł do równowagi.

Wracał do domu z mnóstwem najpiękniejszych kwiatów, przeznaczonych dla przystrojenia pokoju chorej. Zebrał je na pobliskiej łące, obok drogi, prowadzącej do miasteczka. Już był blisko domu, gdy turkot nadjeżdżającego powozu zwrócił jego uwagę.

Był to powóz pocztowy, zaprzężony w dobre konie, które pędziły galopem.

Droga w tem miejscu była wąska, Oliwer zatem cofnął się nieco, aby nie zostać zaczepionym przez koła. Chociaż powóz przemknął szybko, Oliwer wszakże dostrzegł w nim mężczyznę, w białej szlafmycy na głowie, którego twarz wydała mu się znajoma. Nie mógł jednak w danej chwili jej poznać.

Niebawem szlafmyca wychyliła się przez drzwiczki powozu, a donośny głos kazał pocztyljonowi wstrzymać konie. Pocztyljon uczynił to z trudnością, wówczas szlafmyca ukazała się znowu, a ten sam głos wołał:

— Hola! Panie Oliwerze... co słychać? Jakże panna Róża?

— Czy to wy, Giles? — zapytał Oliwer, biegnąc do powozu.

Giles raz jeszcze wysunął szlafmycę z powozu, chcąc coś powiedzieć, lecz jakiś młodzieniec, który z nim jechał, odsunął go gwałtownie i zwrócił się do Oliwera z zapytaniem:

— Krótko i węzłowato: lepiej czy gorzej?

— Lepiej, lepiej, o wiele lepiej — odpowiedział Oliwer z ożywieniem.

— Dzięki Bogu! — zawołał młodzieniec. — Czy tylko napewno?

Napewno, panie — odparł Oliwer. — Zmiana nastąpiła dopiero przed paru godzinami; pan Losberne powiedział, iż wszelkie niebezpieczeństwo już minęło.

Nieznajomy otworzył drzwiczki powozu, wyskoczył i chwyciwszy Oliwera za rękę, odprowadził go trochę nabok.

— Czy aby jesteś pewien?... Czy nie łudzisz się czasem? — dopytywał drżącym głosem. — Nie zwódź mię, wzbudzając nadzieję, którąby się potem nie spełniła.

— Za żadne skarby świata nie uczyniłbym tego, panie — zapewniał Oliwer. — Możesz mi pan w zupełności zaufać. Słyszałem dokładnie, jak pan Losberne powiedział: „Ona będzie długo żyła na pociechę nas wszystkich.“ Są to jego własne słowa.

Oliwerowi oczy nabiegły łzami na wspomnienie chwili, zwiastującej tak wielkie szczęście, nieznajomy zaś odwrócił się i przez kilka chwil stał w milczeniu.

Oliwerowi zdawało się, że słyszy tłumione łkanie, ale nie przerywał milczenia, gdyż nie umiał sobie wytłomaczyć uczuć nieznajomego. Stał tedy zboku, porządkując swoje kwiaty.

Tymczasem Giles, ciągle w białej szlafmycy na głowie, siedział na stopniu powozu, z łokciami na

kolanach, i ocierał sobie oczy niebieską, perkalową chustką w białe kropeczki.

Że poczciwiec nie udawał wzruszenia, dowodziły jego czerwone oczy, które podniósł na nieznajomego, gdy ten wrócił do powozu i tak do niego przemówił:

— Zdaje mi się, że będzie lepiej, jeżeli sam do mojej matki pojedziesz, Giles. Ja pójdę zwolna, piechotą, aby trochę czasu zyskać, zanim się z nią zobaczę. Możesz wszakże powiedzieć matce, że jadę.

— Przepraszam pana, panie Henryku — odparł Giles, wycierając chustką resztę łez na twarzy — ale myślę, że lepiej byłoby posłać z tem zawiadomieniem pocztyljona, za co byłbym panu mocno obowiązany. Nie chciałbym w tym stanie pokazać się służbie, gdyż mógłbym stracić przez to moją powagę.

— Dobrze — rzekł Henryk z uśmiechem — możesz uczynić, jak ci się podoba. Każ pocztyljonowi zawieźć nasze rzeczy, a sam pójdziesz z nami. Ale zdejmij tę szlafmycę i włóż na głowę coś przyzwoitego, gdyż wezmą nas za szaleńców.

Giles teraz dopiero przypomniał sobie niewłaściwe przystrojenie głowy, które też zdjął natychmiast i schował do kieszeni, wzamian zaś wydobył z powozu kapelusz i wsadził go na głowę. Poczem pocztyljon odjechał, a Giles, Henryk Maylie i Oliwer zwolna udali się za nim.

W drodze Oliwer przypatrywał się ciekawie Henrykowie Maylie. Mógł mieć lat dwadzieścia pięć mniej więcej, był średniego wzrostu, twarz miał piękną i szczerą. Wogóle cała postać była niezmiernie sympatyczna.

Pomimo znacznej różnicy wieku, był tak podobny do pani Maylie, że Oliwer domyśliłby się w nim jej syna, chociażby nawet Henryk nie był mówił o niej jako o swej matce.

Pani Maylie oczekiwała z utęsknieniem przybycia syna i powitanie obojga było niezmiernie radosne.

— Ach, matko! — szepnął młodzieniec — czemu nie napisałaś do mnie wcześniej?

— Uczyniłam to — odpowiedziała staruszka — ale po namyśle zatrzymałam list, chcąc pierwej usłyszeć zdanie pana Losberne.

— Ale dlaczego? Dlaczego zwlekać i wyczekiwać ostateczności? Gdyby Róża... Nie, tego słowa nie mogę wymówić... Gdyby jej choroba była wzięła inny obrót, czybyś wówczas mogła sobie darować? Już nic w życiu nie zdołałoby mię pocieszyć.

— Gdyby tak było, mój Henryku — odparła pani Maylie — to bardzo wierzę, że istotnie cierpiałbyś przez całe życie. Ale czyż twoje przybycie parę dni wcześniej lub później odegrałoby w tem jakąś rolę?

— Kto może wątpić, że byłoby inaczej — rzekł Henryk. — A przecież wiesz dobrze wszystko, musisz o tem wiedzieć.

— Wiem o tem, że ona zasługuje na najgorętszą i najczystszą miłość — przerwała pani Maylie; — wiem, że jej głębokie uczucie wymaga takiej samej wzajemności. Gdybym tego nie czuła i nie wiedziała jednocześnie o tem, że najmniejsza zmiana w przywiązaniu tego, którego ona kocha, unieszczęśliwiłoby ją zupełnie, to moje zadanie nie byłoby tak trudnym do wypełnienia, nie potrzebowałabym walczyć z sobą, aby utrzymać się na raz wytkniętej drodze obowiązku.

— Jesteś dla mnie surowa, droga matko — rzekł Henryk. — Ciągle przypuszczasz, że jestem niedojrzałym chłopcem, że daję się unosić złudzeniom.

— Kochany synu! — odparła pani Maylie, kładąc mu rękę na ramieniu — wiem, że młodość często daje się porywać uczuciom, w gruncie pięknym i szlachetnym, które jednak trwają krótko; że wśród

tych uczuć są i takie, które nikną bezpowrotnie, po ich zaspokojeniu... Dzieje się to zwłaszcza wtedy — ciągnęła staruszka z naciskiem, patrząc znacząco w oczy syna — gdy zapalony, ambitny młody człowiek zaślubi kobietę, na której imieniu jest najmniejsza skaza. Chociaż nie pochodzi to wcale z jej winy, ale świat niesprawiedliwy i bezlitosny, zazdroszcząc jej szczęścia, będzie tę skazę nietylko jej, ale i jej dzieciom wypominał, i z niej szydził. A wówczas mąż, chociażby najszlachetniejsze posiadał serce, uczuje się dotknięty i żałować będzie związku, zawartego w porywie młodości. Ona zaś cierpieć będzie niewypowiedzianie...

— Matko! — podchwycił Henryk porywczo — człowiek, któryby coś podobnego uczynił, okazałby się samolubem i brutalem, niegodnym miana mężczyzny i serca takiej kobiety, o jakiej mówisz.

— Teraz jeszcze tak myślisz, Henryku — zauważyła staruszka.

— Zawsze tak myśleć będę! — zawołał Henryk. — Udręczenia, jakich doznałem przez ostatnie dni, rozwiązują mi usta i skłaniają do wyznania miłości, która, jak o tem wiesz dobrze, kochana matko, nie powstała dopiero teraz i nie jest lekkomyślnem, przelotnem uczuciem. Serce moje czuje do Róży, tego anioła piękności i dobroci, tak silne przywiązanie że równego nie czuło nigdy serce żadnego mężczyzny. Bez Róży niema dla mnie szczęścia na świecie — o niej tylko marzę, myśl moja zawsze znajduje się przy niej. Jeżeli ty, matko, staniesz na drodze mej miłości, jeżeli zechcesz opierać się naszemu związkowi, zburzysz mi całą przyszłość, zniszczysz mi życie... Zastanów się, matko, nad tem i nie lekceważ mego uczucia i szczęścia.

— Henryku — rzekła pani Maylie — właśnie dlatego, że cię kocham, że cenię twoje uczucie, dlatego

pragnę ustrzec je przed zawodem w przyszłości. Ale dość o tem na teraz, właśnie w takiej chwili.

— Pozwól, matko, żeby Róża sama rozstrzygnęła o moim losie — prosił Henryk. — Wszak nie posuniesz twoich obaw do ostatnich granic i nie będziesz stawiała mi przeszkód...

— Tego nie uczynię, Henryku — odparła staruszka. — Ale chciałabym, żebyś wszystko dobrze rozważył...

— Rozważyłem już, matko — przerwał Henryk niecierpliwie. — Zastanawiałem się nad tem latami od chwili, gdym doszedł do wieku, który waży wszystko na szali rozsądku. Moje uczucia pozostały niewzruszone. Dlaczego więc mam się męczyć niepotrzebną zwłoką, która nikomu nie jest potrzebna do szczęścia. Nie, zanim stąd odjadę, muszę się z Różą rozmówić!

— Zgoda na to — rzekła pani Maylie.

— Czy z tej odpowiedzi mam wnosić, że przyjmie mię ona zimno? — zapytał młodzieniec.

— Mylisz się, mój synu. Jestem pewna, że się mylisz.

— Więc o co chodzi? — badał Henryk.— Czy może zajęła się kim innym?

— Z pewnością nie. Zdaje mi się, że kocha cię ona bardzo. O jedno tylko proszę cię, drogi synu: zanim całą swoją przyszłość postawisz na szali, przypomnij sobie życie Róży i zastanów się nad tem, jaki wpływ na jej postanowienie może wywrzeć wiadomość o jej niejasnem pochodzeniu; weż przytem pod uwagę jej przywiązanie do nas — jej zdolność do wszelkich ofiar, nawet z zaparciem się samej siebie.

— Co przez to rozumiesz, matko?

— Sam odgadnij, drogi synu — rzekła pani Maylie. — Ja idę do Róży. Niech Bóg cię błogosławi.

— Czy dzisiaj będę mógł jeszcze widzieć się z tobą, matko? — zapytał Henryk.

— Może. To zależy od stanu Róży.

— A czy powiesz jej, że tu jestem?

— Nieinaczej.

— I o tem, że byłem przerażony wiadomością o jej chorobie, że cierpiałem, że tęsknię za chwilą, w której będę mógł ją zobaczyć?... Czy powiesz jej o tem wszystkiem, droga matko?

— Powiem, wszystko jej powiem — rzekła pani Maylie, następnie, uścisnąwszy syna, udała się do chorej.

Tymczasem w drugim pokoju doktór Losberne rozmawiał z Oliwerem. Henryk udał się do nich. Lekarz przywitał go serdecznie. Młodzieniec zarzucił doktora odrazu całym szeregiem pytań, co do zdrowia Róży, na które pan Losberne odpowiadał zupełnie pewnie i uspakajająco.

Rozmowie tej przysłuchiwał się pilnie Giles, udając, że zajęty jest bardzo rozpakowywaniem rzeczy. Naraz doktór Losberne zwrócił się do niego:

— A cóż tam, Giles? Czyś nie palnął znów jakiego byka?

— Nie rozumiem pana doktora... — bąknął Giles, zapłoniwszy się po same uszy.

— Jakto nie rozumiesz? — rzekł Losberne — nie schwytałeś znowu jakiego rabusia, nie ustaliłeś tożsamości osoby jakiegoś włamywacza?

— Nic podobnego — odparł Giles z powagą.

— Szkoda, szkoda — żartował lekarz. — Ty przecież masz szczególną zdolność do takich rzeczy. A jakże się ma Brittles?

— Bardzo dobrze, panie doktorze — odparł Giles protekcjonalnie — zasyła też panu doktorowi swoje najniższe ukłony.

— To bardzo pięknie z jego strony, bardzo pięknie — podziękował lekarz. — Ale, ale... mój Giles, mam tu dla ciebie pewną niespodziankę... Winieneś ją twojej dobrej pani. Pójdźno tu bliżej.

Pan Losberne, rzekłszy to, udał się z Gilesem na stronę i tam coś mu doręczył, dodając stosowne objaśnienie. Giles, który usłuchał wezwania lekarza z pewnem zdziwieniem, kłaniał mu się teraz bardzo nisko, a potem wyprostował się dumnie i wyszedł z pokoju.

Pan Losberne nie wyjaśnił tajemniczej rozmowy, ale nie omieszkał uczynić tego sam Giles. Udał się z pokoju wprost do kuchni i tam przy dużym kuflu piwa zawiadomił wspaniałomyślnie zebraną służbę, że pani Maylie, oceniając jego bohaterskie poświęcenie podczas pamiętnego napadu bandytów, ofiarowała mu 25 funtów szterlingów i złożyła je na jego imię za pośrednictwem doktora Losberne w Kasie Oszczędności w Chertsey.

Wiadomość ta wywołała w kuchni wielkie wrażenie. Służące wysłuchały jej z szeroko otwartemi oczyma, pozałamywały ręce i wyraziły mniemanie, że teraz pan Giles będzie bardzo dumny. Ale Giles stanowczo temu zaprzeczył. Poprawiwszy kamizelkę, zapewnił, że brzydzi się pychą i prosi swoich podwładnych, żeby zawsze zwracali mu uwagę, ile razy zauważą w nim pyszałkowatość. Poczem uczynił jeszcze wiele mądrych uwag, które świadczyły o jego skromności i które przyjmowano z wielkiem uznaniem, a które były równie oryginalne i okolicznościowe, jak bywają zwykle uwagi wypowiadane przez wielkich ludzi.

Na górze atmosfera ożywiła się także. Przyczynił się do tego wyjątkowo dobry humor pana Losberne, który oddziałał również na Henryka. Zacny lekarz opowiadał z werwą tak wesołe anegdoty i tak za-

bawne przygody ze swej długoletniej praktyki, że Oliwer śmiał się z nich do rozpuku ku widocznemu zadowoleniu doktora.

Spędzili więc wieczór na tyle wesoło, na ile pozwalały na to okoliczności, i późno już było, gdy udali się na spoczynek, którego, po dniach troski i obawy, potrzebowali jednak bardzo.

Nazajutrz Oliwer wstał rzeźki i z przyjemnością zabrał się do swoich codziennych zajęć. Przedewszystkiem pozawieszał w oknach klatki z ptakami i nazbierał najpiękniejszych polnych kwiatów, aby Różę ich widokiem ucieszyć. Smutek, który przez wiele dni zdawał się powlekać wszystkie przedmioty dokoła, znikł niby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Krople rosy błyszczały jakby jaśniej na zielonych liściach, wiatr szeleścił nimi, tworząc milszą niż przedtem muzykę, niebo było pogodniejsze i bardziej błękitne.

Taki to wpływ wywiera usposobienie człowieka, na wygląd otaczającego nas świata. Ludzie, którzy widzą wszystko w ciemnych, posępnych barwach, nie zdają sobie sprawy, że barwy te są odbiciem ich serca, przepełnionego goryczą. Rzeczywiste barwy są jasne i czyste, lecz, żeby je dostrzec, trzeba posiadać zdrowe oko i pogodne serce.

Trzeba dodać, że Oliwer w swych rannych wycieczkach po kwiaty miał teraz towarzystwo. Henryk Maylie, gdy zobaczył Oliwera, wracającego do domu z kwiatami, nabrał takiego zamiłowania do zbierania tychże i okazał tyle smaku w układaniu wiązanek, że prześcignął nawet Oliwera. Oliwerowi pozostała jedynie palma pierwszeństwa w znajdowaniu najpiękniejszych kwiatów, i co rano przebiegali obaj okolice, przynosząc do domu całe pęki barwnych i wonnych roślin.

Okno pokoju Róży było teraz otwarte, gdyż chora lubiła oddychać letniem powietrzem, krzepiącem ją swoją świeżością. Na oknie stała zawsze świeża wiązanka kwiatów, ułożonych ze szczególnym smakiem.

Oliwer zauważył, że zwiędłych kwiatów nie wyrzucano z tego wazonika nigdy, choć codzień napełniano go świeżemi. I spostrzegł również, że doktór Losberne, podczas swych rannych przechadzek po ogrodzie, rzucał okiem na ten uprzywilejowany kącik, trzęsąc przytem znacząco głową. Tak płynął dzień za dniem i zdrowie Róży polepszało się stale. Chociaż nie wstawała jeszcze z łóżka i wskutek tego przerwały się dawne wieczorne przechadzki, Oliwer nie mógł narzekać na brak zajęcia. Towarzyszył pani Maylie w jej krótkich spacerach i znaczną część dnia poświęcał nauce. Pracował zaś gorliwie i takie czynił postępy, że sam dziwił się temu. Pewnego dnia, w czasie nauki, zaszedł dziwny wypadek, który przeraził go ogromnie.

Pokoik, w którym uczył się zwykle, znajdował się na parterze w tyle domu; okratowane okno wychodziło na ogród i ginęło w powodzi jaśminów i powoju, otaczających je dokoła. Obok okna znajdowały się drzwi, prowadzące na małe ogrodzenie, poza którem ciągnęły się łąki i lasy. Oliwer miał stąd widok rozległy i malowniczy. Pewnego wieczora zatem Oliwer siedział w oknie nad książką. Dzień był niezwykle upalny, a ponieważ chłopiec załatwił kilka dość odległych poleceń, czuł się znużony i nic dziwnego też, że zdrzemnął się nieco.

Istnieje rodzaj snu, podczas którego ciało jest bezwładne, umysł jednak czuwa i chwyta wrażenie zewnętrzne.

Podczas zwykłego snu człowiek jest bezsilny, nie może kontrolować swych myśli, ani poruszeń i nie może niemi kierować; natomiast podczas snu, o któ-



rym była mowa wyżej, zachowuje świadomość wszystkiego, co się dokoła niego dzieje, i wypowiadane wtedy w pobliżu słowa i rozlegające się odgłosy dziwnie trafnie stosuje do swoich marzeń, wskutek czego marzenia zlewają się z rzeczywistością w tak spoistą całość, że niepodobna pierwszych odróżnić od drugiej.

W tym stanie zachodzą nieraz dziwne zjawiska.

Niewątpliwą jest rzeczą, że chociaż słuch i wzrok na czas pewien wpadają w odrętwienie, to jednak nasze uśpione myśli i senne widzenia ulegają materjalnemu wpływowi rzeczy zewnętrznych, choćby nie znajdowały się one w naszem pobliżu, gdyśmy zasypiali, i choćbyśmy nie mieli na jawie świadomości ich sąsiedztwa.

Oliwer spał, lecz zdawał sobie sprawę, że był w swoim małym pokoiku, wiedział, że książki leżały przed nim na stole, słyszał nawet szelest roślin, poruszanych łagodnym powiewem wiatru.

Naraz obraz ten zmienił się zupełnie: powietrze stało się ciężkie i parne, a on spostrzegł z przerażeniem, że znajduje się znów w norze Fagina. Stary łotr siedział jak zwykle w swoim kącie i, wskazując palcem, szeptał coś do jakiegoś nieznajomego, który miał twarz odwróconą.

— Patrz, mój drogi, patrz — szeptał Żyd — to on, z pewnością on... A teraz chodźmy stąd... tylko cicho!

— On — rzekł jakby nieznajomy. — Czy sądzisz, że mógłbym się pomylić? Gdyby sto tysięcy djabłów przybrało jego postać i gdyby on znajdował się pomiędzy nimi, to i wtedy poznałbym go odrazu. Gdybyście zakopali go w ziemię na pięćdziesiąt stóp głęboko, odszukałbym go również natychmiast.

Nieznajomy zdawał się mówić to z taką zawziętą nienawiścią, że przerażony Oliwer obudził się i zerwał się na równe nogi.

Na Boga... co to jest... Wszystka krew zbiegła mu do serca, oddech zamarł w piersi, nie mógł się poruszać... Tam... tam pod oknem tuż przed nim o... tak blisko, że mógłby ręką go dosięgnąć, stał Fagin, wpatrując się w niego wzrokiem obserwującego żer sępa, a tuż przy wstrętnej twarzy starego łotra widniała blada twarz, wykrzywiona dziko wściekłością, czy obawą, twarz nieznajomego człowieka, którego niedawno spotkał w miasteczku przy wyjściu z gospody.

Widzenie trwało małą chwilę i znikło nagle.

Oliwer czuł, że obaj go poznali — lecz i on poznał ich odrazu; ich złowrogie spojrzenie tak tkwiło w jego pamięci, jakby było zaklęte w kamień i prześladowało go od chwili urodzenia. Czas jakiś stał jakby piorunem rażony, poczem wyskoczył przez okno do ogrodu i zaczął głośno wzywać pomocy.

Rozdział trzydziesty piąty,

zawierający daremne poszukiwania spowodowane przygodą Oliwera oraz ważną rozmowę pomiędzy Henrykiem Maylie i Różą.

Na krzyk Oliwera zbiegli się mieszkańcy domu, dopytując, co się stało. Chłopiec blady, przerażony, drżący, wskazywał dłonią przyległe łąki i jękał niewyraźnie:

— Żyd! Żyd!

Giles nic z tego nie zrozumiał, natomiast Henryk Maylie, który znał cały przebieg życia Oliwera z opowiadań matki, odrazu domyślił się wszystkiego.

— Gdzie uciekli? Którędy? — zapytał, chwytając gruby kij, który stał w kącie.

— Tędy, tędy — odparł Oliwer, wskazując wciąż łąkę i pola. — Straciłem ich z oczu dopiero przed chwilą.

— Muszą być zatem jeszcze w rowie — zawołał Henryk. — Pędźmy tam zaraz... A trzymajmy się razem!

To rzekłszy, przeskoczył przez opłotek i pobiegł z szybkością wyścigowego piechura.

Giles biegł tuż za nim ile mu sił starczyło, wyprzedziwszy nieco Oliwera, a niebawem przyłączył się do nich doktór Losberne. Wracał on właśnie ze zwykłej przechadzki, a zauważywszy szczególną gonitwę, przesadził płot, puścił się również w pogoń ze zwinnością daleko większą, niż można było spodziewać się po jego tuszy i domagał się, krzycząc, wyjaśnienia, o co właściwie chodzi.

Wszyscy pędzili, nie zatrzymując się ani na chwilę. Henryk zatrzymał się dopiero na skraju pola, wskazanego przez Oliwera, i zaczął badać rów oraz płot, wznoszący się obok. Niebawem zrównała się z nimi reszta pogoni, i Oliwer wyjaśnił doktorowi powód gonitwy...

Wszelkie poszukiwania były daremne. Nigdzie nie można było dostrzec świeżego śladu stóp ludzkich. Stali właśnie na szczycie małego wzgórza, z którego roztaczał się widok na całą okolicę, a który obejmował najmniej kilka mil (angielskich) obszaru we wszystkich kierunkach. Na lewo, w dolinie, leżała wioska, lecz niepodobieństwem było, aby złoczyńcy mogli byli dostać się do niej, jeżeli uciekali w tym kierunku, który Oliwer wskazał; musieliby w takim razie przebyć otwarte pole, a tego w tak krótkim czasie żadną miarą uskutecznić nie mogli.

Z drugiej strony gęsty las otaczał łąkę; lecz zbiegowie dla tych samych powodów i tam schronić się nie mogli.

— Chyba ci się to wszystko przyśniło, Oliwerze? — rzekł Henryk Maylie.

— Nie, proszę pana, to nie był sen — odparł Oliwer, wzdrygnąwszy się cały na samo wspomnienie odrażającej twarzy starego Żyda. — Widziałem ich zupełnie wyraźnie, tak jak pana teraz widzę.

— Któż był ten drugi? — zapytali jednocześnie Henryk i pan Losberne.

— Ten sam człowiek, który niedawno spotkał mię w mieście, w bramie zajezdnego domu — odpowiedział Oliwer. — Przyjrzałem mu się wtedy dobrze i teraz poznałem go odrazu.

— I tędy, tą drogą uciekli? — dopytywał Henryk. — Jesteś tego pewny?

— Tak pewny, jak tego, że widziałem ich przy oknie — potwierdził Oliwer, wskazując przytem płot, który oddzielał ogród od łąki. — Nieznajomy przeskoczył płot w tem miejscu oto, a Żyd biegł o kilka kroków dalej na prawo i przecisnął się przez tę dziurę.

Oliwer mówił z taką stanowczością, twarz jego wyrażała takie przekonanie, że nię można było wątpić o prawdzie jego słów; ponowili tedy poszukiwania, ale znów bezowocnie.

Wysoka trawa porastała ziemię, ale nigdzie nie było znać śladu podeptania, z wyjątkiem miejsc, przez które sami biegli. Brzegi i ściany rowu, wykopanego w wilgotnej glinie, nie nosiły na sobie również jakichkolwiek śladów, które przecież musiałyby się tu odbić.

— Rzecz szczególna — mruknął Henryk.

— Istotnie szczególna — potwierdził doktór. — Nawet Blathers i Duff znaleźliby się wobec tej dziwnej historji w kłopocie.

Nie zrażając się jednak pierwszem niepowodzeniem, odbywali w dalszym ciągu poszukiwania,

dopóki zapadający zmrok nie zmusił ich do zaniechania tej czynności.

Giles, otrzymawszy od Oliwera dokładny rysopis Żyda i jego nieznajomego towarzysza, udał się, z polecenia pana Losberne, do okolicznych domów zajezdnych. Doktór mniemał słusznie, że tak oryginalne postacie, a zwłaszcza charakterystyczna postać Żyda, musiały zwrócić uwagę, w razie gdyby się byli zatrzymali gdziekolwiek w celu wypoczynku, lub pokrzepienia. Lecz wyprawa Gilesa nie udała się; wrócił z próżnemi rękoma; nigdzie wiadomości o poszukiwanych indywiduach nie znalazł.

Nazajutrz, od samego rana, wznowiono poszukiwania, które również nie przyniosły żadnego skutku.

Na trzeci dzień Henryk Maylie i Oliwer udali się do pobliskiego miasteczka w nadziei, że tam może dowiedzą się czegoś, lecz i te oczekiwania zawiodły. Musiano tedy zaniechać dalszych poszukiwań, a po upływie kilku dni zapomniano o tem zdarzeniu tak, jak zapomina się o wszelkich sprawach, nie zasilanych nowemi ożywczemi sokami.

Róża tymczasem wracała szybko do zdrowia. Już wstała z łóżka, już nawet wychodziła na świeże powietrze. W miarę zaś, jak nabierała sił coraz większych, dom napełniał się pogodą i radością.

Chociaż jednak wyzdrowienie Róży wywarło wpływ dodatni na wszystkich mieszkańców letniska, choć rozlegały się w domu wesołe śmiechy, zdarzało się przecież nieraz, że niektórzy z nich miewali chwile przygnębienia. Należała do nich i Róża. Było to nazbyt widoczne, żeby mogło ujść uwadze Oliwera. Zauważył tedy, że pani Maylie prowadziła teraz na osobności długie rozmowy z synem, a Róża zjawiała się nieraz ze śladami łez na twarzy. Te szczególne objawy zaczęły powtarzać się coraz częściej, gdy pan Losberne naznaczył dzień swego powrotu do

Chertsey. Coś widocznie działo się, co mąciło spokój pięknej dziewczyny, a także innych osób.

Pewnego rana Henryk wszedł do jadalnego pokoju i z pewnem wahaniem prosił Różę o kilka chwil poufnej rozmowy.

— Tylko kilka chwil — zapewniał, przysuwając się do niej z krzesłem. — To, co mam pani powiedzieć, zapewne przychodziło jej już na myśl. Nadzieje i pragnienie mego serca nie mogą być pani nieznane, chociaż dotychczas nie mówiłem o nich...

Róża zbladła już wtedy, gdy Henryk wszedł do pokoju, lecz mogło to być następstwem choroby. Nachyliła głowę ku stojącemu tuż przy niej bukietowi kwiatów i czekała w milczeniu na jego dalsze słowa.

— Powinienem był wyjechać wcześniej... — rozpoczął Henryk.

— Nieinaczej — podchwyciła Róża. — Wybacz mi, że mówię otwarcie, ale szkoda, żeś tego nie uczynił.

— Ogromna obawa sprowadziła mię tutaj — mówił Henryk — obawa, że mogę utracić najukochańszą istotę, będącą celem wszystkich moich pragnień i dążeń. Byłaś bliska śmierci... ważyłaś się pomiędzy tym, a tamtym światem. Wiemy, że, jeżeli młode, dobre i piękne istoty nawiedzi niebezpieczna choroba, to czyste ich dusze zwracają się ku krainie błogiego spokoju; wiemy, że ludzie najlepsi, najszlachetniejsi, rozstają się zbyt często z tym światem w kwiecie wieku.

W oczach Róży ukazały się łzy; jedna z nich stoczyła się po twarzy, spadła na kwiat, który trzymała w ręku, i zabłysła niby djament w jego kielichu, podnosząc jego subtelny wdzięk i piękność.

— Istota tak piękna — ciągnął dalej Henryk, unosząc się coraz bardziej — tak niewinna, jak

mieszkańcy niebios, staje na rozdrożu, wahając się między życiem a śmiercią. Kto może mieć nadzieję, że zechce ona wrócić na świat, pełen trosk i cierpienia, gdy uchylą się przed nią drzwi tego odległego świata, który jest jej przecież pokrewny. Ach Różo! Wiedzieć, że mogłaś rozwiać się niby cień znikomy, rzucony na ziemię od odległej gwiazdy, stracić nadzieję, iż pozostaniesz wśród tych, którym przeznaczone jest życie na tym świecie; nie mieć żadnej pewności, czy wiążę cię z tym światem jakakolwiek nić, którejbyś rozerwać nie chciała; wiedzieć, iż nieznana kraina, do której dążą duchy czyste i wzniosłe, jest twoją właściwą krainą; wiedzieć to wszystko i mimo to błagać Boga, iżby cię zachował dla tych, którzy cię kochają: wierzaj mi, Różo, że było to zadanie przechodzące ludzkie siły. Takie uczucia dręczyły mię dniem i nocą i w dodatku doprowadzała do rozpaczy myśl samolubna, że możesz umrzeć, nie dowiedziawszy się jak szalenie, jak bezgranicznie cię kocham. Niebezpieczeństwo minęło; zdrowie wracało z każdym dniem, z każdą niemal godziną. Z sercem pełnem najwyższej obawy śledziłem te wahania się, ten twój powrót z kresów świata do pełnego życia — śledziłem oczyma pełnemi najgłębszej miłości. I nie mów mi, żebym się jej wyrzekł, gdyż miłość ta uszlachetniła moją duszę i rozszerzyła serce.

— Mylisz się, Henryku — wyszeptała Róża przez łzy — ja wcale tego nie żądam... pragnę tylko, żebyś nie schodził z drogi swego przeznaczenia, nie zbaczał od celu godnego ciebie...

— Dążeniem mojem jest pozyskanie twego serca — przerwał Henryk, ujmując jej rękę — nie istnieje dla mnie na świecie nic godniejszego. Różo... Droga Różo... lata całe kochałem cię, całe lata marzyłem o tem jedynie, żeby wywalczyć sobie sławę,

a następnie tę moją zdobycz u nóg twoich złożyć, wyznać ci, że wszelkie te trudy przedsięwziąłem jedynie dla ciebie. Marzyłem o tem, że wtedy będę ci mógł przypomnieć wszystkie dowody mego przywiązania, moich uczuć, i prosić cię o rękę, jako o wypełnienie tej umowy, którą dusze nasze zawarły jeszcze w dzieciństwie. Ten czas jeszcze nie nadszedł; nie zdobyłem sławy, nie urzeczywistniłem marzeń młodości, ale ofiaruję ci moje serce, które już od tylu lat bije jedynie dla ciebie, składam w twoje ręce całą moją przyszłość, wszystkie nadzieje...

— Zachowywałeś się, Henryku, zawsze wobec mnie szlachetnie i pięknie — rzekła Róża, tłumiąc wzruszenie — winnam ci zatem szczerą i stanowczą odpowiedź.

— Może żądasz, abym złożył nowe dowody mej miłości?

— Nie, Henryku. Żądam, żebyś o mnie zapomniał. Żebyś zapomniał nie o dawnej, szczerze ci oddanej towarzyszce lat dziecinnych, gdyż to bolałoby mię bardzo, ale żebyś zapomniał o mnie, jako o przedmiocie twej miłości. Spojrzyj na świat — istnieje tam wiele, wiele serc, godniejszych ciebie, których pozyskanie przynieść ci może prawdziwą chlubę, mnie zaś uważaj za wierną, szczerą, głęboko do ciebie przywiązaną przyjaciółkę.

Nastąpiła chwila milczenia, Róża, zasłoniwszy twarz dłonią, płakała cicho.

Henryk trzymał ciągle jej drugą rękę w swojej.

— Jakie powody skłaniają się do tego postanowienia, Różo? — spytał wreszcie cichym głosem.

— Masz prawo do tego pytania — odparła. — Ale wiedz, że żadne nalegania z twojej strony nie zmienią mego postanowienia. Jest to obowiązek, którego

muszę dopełnić. Obowiązek względem siebie samej i innych.

— Względem siebie?

— Tak, Henryku. Dziewczyna biedna, sierota, niepewnego pochodzenia, a więc ze skazą na imieniu, nie powinna ściągnąć na siebie podejrzenia, iż samolubnie skłoniła ku sobie twoje serce, ogarnięte płomieniem pierwszej miłości. Winnam to sobie i twoim, aby nie stać się dla ciebie ciężarem całego życia, zagradzając ci drogę do osiągnięcia wielkich nadziei i zamiarów i wyzyskując w ten sposób zapał twej szlachetnej natury.

— Jeżeli twoje uczucia nie przeciwstawiają się pojęciu obowiązku — zaczął Henryk.

— Tego powiedzieć nie mogę... — odparła szeptem, płoniąc się przytem mocno...

— Więc mię kochasz? — zawołał Henryk. — Powiedz to jedno tylko, to jedno, osłódź gorycz zawodu.

— Gdybym wiedziała, że nie wyrządzę krzywdy temu, którego kocham — zaczęła Róża — wówczas...

— Przyjęłabyś inaczej moje zwierzenia? — podchwycił Henryk. — O Różo, nie ukrywaj tego przede mną!

— A więc tak — rzekła Róża. — Lecz dość tego — dodała, wysuwając rękę z jego dłoni. — Skończmy tę przykrą rozmowę, przykrą przedewszystkiem dla mnie, chociaż radosną jednocześnie, gdyż przekonałam się, że przeznaczyłeś mi w swojem sercu dostojne miejsce, żeś uznał mię za godną siebie. Każde twoje powodzenie doda mi sił i męstwa. Bywaj zdrów, Henryku... Nie spotkamy się więcej tak, jak dzisiaj. Pragnę, żebyśmy zachowali przyjazne stosunki i niech ci towarzyszą zawsze błogosławieństwa, o które z głębi szczerego i oddanego serca będę prosiła źródła wszelkiej prawdy i dobra.

— Słowo jeszcze, jedno tylko słowo, najdroższa... — błagał Henryk. — Wyjaśnij mi szczerze i otwarcie powody, które cię skłoniły do tego postanowienia.

— A więc słuchaj — rzekła Róża, stanowczo: — Masz przed sobą świetne widoki, wspaniałą przyszłość. Związki pokrewieństwa, niepospolite zdolności, otwierają ci drogę do najwyższych zaszczytów i dostojeństw. Ale świat jest próżny i nie chcę narażać się na to, żeby ludzie uwłaczali pamięci mojej matki i obarczali wyrzutami syna zacnej kobiety, która zastąpiła mi matkę. Słowem — mówiła młoda panna, odwracając się — na mojem ciąży plama, którą świat piętnuje niewinnych. Nie chcę dziedzictwem poniżenia obarczać innej istoty, wolę to brzemię znosić sama.

— Jeszcze jedno słowo, Różo — zapytał Henryk, osuwając się przed nią na kolana. — Gdybym znajdował się w innych warunkach: gdyby udziałem moim było życie spokojne, skromne, ciche, gdybym był biedny, opuszczony, słaby, — bez znaczenia — czy i wtedy odwróciłabyś się ode mnie? Czy moje ewentualne powodzenie i bogactwa dały początek twoim skrupułom?

— Nie zmuszaj mię do odpowiedzi. Takie naleganie z twej strony jest bardzo przykre.

— Jeżeli twoja odpowiedź byłaby taka, jak mam prawo spodziewać się, to rzuciłaby jasny promień szczęścia na moją samotną drogę. To nie jest błaha rzecz, takich kilka słów, powiedzianych do człowieka kochającego ponad wszystko. O, Różo, Różo, przez wzgląd na moją bezgraniczną miłość, przez wzgląd na to, com dla ciebie zniósł i wycierpiał, odpowiedz mi na to pytanie.

— A więc — rzekła Róża — gdyby warunki nie różniły nas tak bardzo, gdybym w cichem i spokoj-

nem życiu mogła być dla ciebie pomocą i osłodą, gdybym wiedziała, że nie zagrodzę ci drogi do szczęścia, nie narażę cię na wstyd i wzgardę, wówczas nie raniłabym swego serca. Jestem teraz szczęśliwa, zupełnie szczęśliwa, lecz wówczas — czułabym się wiele szczęśliwsza jeszcze.

Wyznanie to ożywiło dawne jej rojenia, które z biegiem czasu rozwiała twarda rzeczywistość; i wywołało łzy w jej oczach, jak to bywa zwykle, gdy więdną ukochane nadzieje. Opanowała się jednak.

— Wybacz mi słabość i nie dziw się jej — rzekła, wyciągając rękę. — Czas, żebyśmy się rozstali.

— Spełń jeszcze jedną prośbę... Przyrzeknij mi, że raz jeszcze, za rok, a może wcześniej, pomówimy o tej samej sprawie...

— Nie nalegaj na zmianę mego postanowienia — rzekła ze smętnym uśmiechem — to będzie bezcelowe.

— Kto wie... Złożę u twoich stóp mój majątek, moje stanowisko, wszystko co będę posiadał, a jeżeli i wtedy mnie odtrącisz, słowa nie powiem, zejdę ci z oczu na zawsze. Czy zgoda?

— Niech i tak będzie — odparła. — Stanę w obliczu nowej przykrości, ale sądzę, że do tego czasu uszlachetnię się na tyle, iż zniosę ją lepiej niż obecnie.

Wyciągnęła znów rękę, ale młody człowiek przycisnął ją i, złożywszy pocałunek na jej czole, śpiesznie wyszedł z pokoju.

Rozdział trzydziesty szósty

jest bardzo krótki i może się wydawać bez znaczenia, ale powinien być przeczytany, jako pozostający w związku z poprzednim i zawierający klucz do następnego, który przyjdzie po nim w swoim czasie.

— Chcesz zatem towarzyszyć mi w podróży? — zapytał doktór Losberne Henryka przy śniada-

niu. — Dlaczego nie miałeś tego zamiaru dwie godziny przedtem?

— Będziesz inaczej do mnie mówił po niejakim czasie... — odpowiedział Henryk, czerwieniąc się bez wyraźnej przyczyny.

— Sądzę, że miałbym rację to uczynić — odparł pan Losberne — ale prawdopodobnie tego nie zrobię. Wczoraj rano kładłeś mi w głowę, że musisz towarzyszyć matce do morskich kąpieli, jak przystało na dobrego, przywiązanego syna; przed południem oświadczyłeś, że mogę w tych dniach towarzyszyć ci w podróży do Londynu; wieczorem znów nalegałeś na mnie, żebyśmy się stąd wybrali, zanim panie wstaną. Rezultat taki, że Oliwer jest zmuszony jeść śniadanie, zamiast bujać po łąkach, zbierać kwiaty i odbywać różnego rodzaju studja botaniczne. A to nie jest mu wcale na rękę, prawda Oliwerze?

— Byłoby mi niewymownie przykro, gdybyście panowie podczas mojej nieobecności odjechali — rzekł Oliwer.

— Układny z ciebie chłopiec — roześmiał się lekarz. — Ale wracając do rzeczy, powiedz mi, Henryku, co wpłynęło na zmianę twego zamiaru? Czy wiadomość otrzymana od „dostojnego pana“?

— Masz na myśli mego dumnego wuja, doktorze? Zapewniam cię, że nie miałem od niego żadnej wiadomości — odparł Henryk.

— Czy tak? Więc kwestja staje się jeszcze dziwniejsza. Mniejsza jednak o to. Słyszałem, że cię dostojny wuj chce w tym roku jeszcze wprowadzić do Parlamentu, no, a twoja zmienność zamiarów i postanowień jest rysem charakterystycznym mężów stanu. W tem coś jest. Umiejętne ćwiczenie jest zawsze pożądane. Masz tedy dobrą podstawę do karjery politycznej.

Maylie spojrzał na doktora i otworzył już usta, żeby mu odpowiedzieć, lecz wstrzymał się i mruknął tylko, jakby do siebie:

— Zobaczymy!

Niebawem zajechał przed dom wygodny powóz pocztowy. Giles wyniósł walizy, a pan Losberne udał się za nim, aby dopilnować należnego ich umieszczenia.

— Oliwerze — rzekł Henryk cichym głosem. — Mam ci coś powiedzieć.

Oliwer podszedł do wnęki okiennej, do której Henryk go zaciągnął. Dziwił go spokój, a zarazem podniecenie, cechujące w tej chwili zachowanie się Henryka.

— Czy umiesz pisać porządnie? — spytał Henryk, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Staram się, proszę pana.

— Prawdopodobnie nieprędko was znów odwiedzę, pragnąłbym zatem, żebyś mnie zawiadamiał co się u was dzieje... ot, tak co dwa tygodnie, co drugi poniedziałek. Listy adresuj do Londynu, poste-restante na głównej poczcie. Czy zrobisz to?

— Najchętniej, proszę pana. To przecież dla mnie zaszczyt — rzekł Oliwer, mocno uradowany tem poleceniem.

— Pragnąłbym oczywiście wiedzieć jak się miewa moja matka i... panna Maylie — mówił dalej Henryk. — Nie oszczędzaj papieru, ani atramentu, pisz obszernie. Nie pomijaj niczego. Opisuj wasze spacery, wasze zabawy, zajęcia... o czem będziecie ze sobą mówili... To wszystko obchodzi mię bardzo... Wszak mnie rozumiesz?

— Rozumiem bardzo dobrze — odparł Oliwer.

— Życzyłbym jednak sobie, żebyś nie wspominał nikomu o naszej korespondencji. Bo widzisz, gdyby

o tem wiedziała moja matka, pewnieby chciała cię wyręczyć, a to mogłoby zaszkodzić jej zdrowiu. Niech zatem owa korespondencja będzie naszą tajemnicą. Ale pamiętaj — pisz obszernie, polegam na tobie.

Oliwer, któremu pochlebiała nowa godność, przyrzekł wszystko jak najściślej wypełnić. Henryk zapewnił go o szczerej życzliwości, następnie pożegnał się z nim i wyszedł z pokoju.

Doktór Losberne usadowił się już w powozie, Giles (który miał pozostać przy paniach) stał przy otworzonych drzwiczkach, służące przypatrywały się z za płotu. Henryk rzucił przelotne spojrzenie ku oknu Róży i wsiadł do pojazdu.

— Ruszaj szybko! — rozkazał pocztyljonowi — nie żałuj koni, pędź z wiatrem na wyścigi.

— Tylko bez wybryków — zaprotestował spiesznie doktór Losberne. — Wcale nie uśmiecha mi się perspektywa złamania karku. Słyszałeś, mości pocztyljonie?

Pocztyljon trzasnął z bicza, zatrąbił, konie ruszyły z kopyta, powóz z turkotem potoczył się po gościńcu, to ginąc w tumanach pyłu, to ukazując się znowu. Wkrótce znikł z oczu Gilesa i służby, która, nie mogąc go już dojrzeć, wróciła do zwykłych zatrudnień.

Jedne tylko oczy nie odwracały się od gościńca, chociaż powozu dawno już nie było widać; oczy te patrzyły ukradkiem przez białe firanki, na które Henryk, odjeżdżając, rzucił ostatnie spojrzenie. Były to oczy Róży.

— Zdaje się, że odjechał z dobrą myślą — rzekła wkońcu do siebie. — Obawiałam się, że będzie inaczej. Omyliłam się. Bardzo jestem z tego rada, bardzo.

Radość i smutek objawiają się nieraz tak samo — lecz wyraz twarzy Róży, siedzącej w zamyśleniu przy oknie i patrzącej ciągle w tym samym kierunku, zdradzał raczej drugi, niż pierwszy.

Rozdział trzydziesty siódmy,

w którym czytelnik pozna przeciwieństwo, nie będące rzadkością w wypadkach małżeństwa.

Pan Bumble siedział w izbie Domu Roboczego, z oczyma posępnie utkwionemi w zakratowane okno, które nawet podczas najpiękniejszej pogody letniej wpuszczało do środka niewiele dziennego światła, a i te promienie słońca, co się tu dostały, bladły i pochmurniały, nadając izbie zimny jakiś wygląd.

U pułapu izby wisiała papierowa samołówka na muchy, na którą pan Bumble spoglądał od czasu do czasu melancholijnie i w miarę gromadzenia się tam coraz większej ilości owadów, coraz więcej posępniał, coraz większa troska osiadała na jego czole, do tego stopnia, że wzdychał często, co nasuwało przypuszczenie, że owe muchy, uwięzione w pułapce, przypominały mu jakieś przykre, bolesne zdarzenie z jego własnego życia.

Ale nietylko oblicze pana Bumble i jego spojrzenie mogło obudzić w każdym współczucie i politowanie; nie zbywało i na innych oznakach, które świadczyły, iż wielka zmiana nastąpiła w jego położeniu i warunkach. Gdzie się podział jego wspaniały surdut, naszywany suto galonami, i trójgraniasty kapelusz? Nosił on wprawdzie jeszcze krótkie spodnie do kolan, a ciemne bawełniane pończochy okrywały jego wydatne, okrągłe łydki — ale to nie były s p o d n i e... Surdut miał szerokie poły i z tego względu przypominał dawny surdut — ale

wielka pomiędzy tym a tamtym różnica... Zamiast majestatycznego, trójgraniastego kapelusza, nosił teraz pan Bumble, skromny, okrągły kapelusik. Pan Bumble nie był już woźnym gminy!

Istnieją na świecie godności, które, niezależnie od korzyści materjalnych, jakie przynoszą, nabierają szczególnej powagi od właściwej im tylko odzieży. Feldmarszałek ma mundur, biskup jedwabną sutannę, woźny trójgraniasty kapelusz. Odbierzcie biskupowi sutannę, woźnemu kapelusz, to czem oni zostaną? Ludźmi. Tylko ludźmi. Godność, a nawet świętość bywają nieraz kwestją odzieży w wyższym stopniu, niż może się to wydawać.

Pan Bumble ożenił się z panią Corney i został gospodarzem Domu Roboczego. Inny woźny odziedziczył po nim urząd a z nim trójgraniasty kapelusz, złotem oszywany surdut i urzędową laskę.

— A jutro właśnie upływa dwa miesiące, jak się to wszystko stało! — mruknął pan Bumble z westchnieniem. — Mnie ten czas wydaje się wiekiem.

Pan Bumble mógł przez to rozumieć, że zdaje mu się, iż wiek cały używa rozkoszy, chociaż zaledwie upłynęło osiem tygodni od czasu jego ślubu, ale westchnienie było przecież pełne znaczenia.

— Zaprzedałem się — snuł Bumble dalej pasmo swych myśli — za sześć łyżek do kawy, parę szczypczyków do cukru i dzbanuszek do śmietanki, za kilka innych jeszcze starych gratów i 20 funtów gotówki... O, jak tanio, jak tanio mię kupiono!

— Tanio? — powtórzył wrzaskliwy głos tuż koło jego ucha. — Wiesz o tem, że najmniejsza cena byłaby jeszcze za ciebie zbyt wysoka. Bóg widzi, że drogo zapłaciłam za ciebie.

Bumble, odwróciwszy się, spostrzegł interesujące oblicze swej drogiej połowicy, która, nie zrozumiawszy dokładnie słów przelotnie podchwyconych, na

chybił-trafił wyrwała się z przytoczoną wyżej odpowiedzią.

— Pani Bumble! — odezwał się Bumble ze smutną powagą.

— Co takiego? — zapytała pani.

— Bądź tak dobra i spojrzyj mi w oczy — rzekł pan Bumble i zatopił w jej oczach przenikliwe spojrzenie, myśląc jednocześnie w duchu:

— Jeżeli wytrzyma takie spojrzenie, to już wszystko może wytrzymać. Takiego spojrzenia nie mógł znieść żaden z pensjonarzy Domu Roboczego. Jeżeli więc ono nie wywrze na nią żadnego wpływu, to zginąłem bezpowrotnie.

Czy surowe spojrzenie oczu pana Bumble było jedynie groźne dla schorzałych biedaków, osłabionych nędznem pożywieniem, czy też pani Corney posiadała szczególną zdolność odpierania wszelkich, nawet orlich spojrzeń, o tem wyrokować trudno. To pewne jednak, że spojrzenie pana Bumble nie oddziałało na jego małżonkę; przeciwnie, spojrzała ona na niego z niewypowiedzianą pogardą i wybuchnęła śmiechem, który brzmiał zupełnie szczerze.

Pan Bumble, osiągnąwszy tak niespodziewany rezultat, spojrzał na małżonkę naprzód z niedowierzaniem, a potem z nadzwyczajnem zdumieniem. Potem zapadł napowrót w dawny stan odrętwienia, z którego ocknął się dopiero wtedy, kiedy usłyszał powtórnie głos swej połowicy.

— Czy przez cały dzień będziesz chrapał na tem krześle? — zapytała pani Bumble.

— Będę tutaj siedział tak długo, jak mi się będzie podobało, moja pani! — odpowiedział Bumble — a chociaż dotychczas nie chrapałem, to teraz będę

chrapał, ziewał, kichał, śmiał się lub krzyczał, gdy mi się tak zechce; to jest moje prawo.

— Prawo? — powtórzyła szyderczo pani Bumble.

— Tak jest, prawo! moja droga! — odparł Bumble — mąż ma prawo rozkazywać.

— A jakież prawo mają kobiety, na miłość Boga? — wrzasnęła wdowa po nieboszczyku panu Corney.

— Prawo być posłuszną! — zagrzmiał Bumble. — Gdyby twój pierwszy nieszczęśliwy mąż potrafił był ciebie tego nauczyć, z pewnością żyłby dotychczas. Jaka szkoda, że ten poczciwy człowek umarł... Niewymownie tego żałuję.

Pani Bumble zrozumiała, że nadeszła teraz wielka i stanowcza chwila i że ostateczna walka o władzę domową i panowanie musi być stoczona. Skoro więc usłyszała ową przymówkę do nieboszczyka męża, rzuciła się na krzesło, wybuchając płaczem i skarżąc się głośno, że pan Bumble jest człowiekiem bez serca.

Lecz łzy nie miały nigdy wpływu na pana Bumble; serce miał nieprzemakalne.

Podobnie jak kapelusze do prania, które od deszczu stają się trwalsze, tak samo i nerwy jego pod wpływem strumieni łez wzmacniały się i hartowały. Pan Bumble uważał łzy za znak słabości, a zatem i za ciche uznanie swojej władzy, co go niezmiernie cieszyło i zachwycało.

Spojrzał tedy na godną swoją małżonkę z niewypowiedzianą radością i dobrotliwie jej poradził, żeby sobie płakała tak długo, jak tylko będzie mogła, jako że podobnemu ćwiczeniu przypisuje nawet bardzo pomyślny wpływ na zdrowie.

— Płacz uwalnia piersi od duszności, myje twarz, wzmacnia oczy i łagodzi wzburzenie — mówił — a zatem płacz sobie.

Wyraziwszy tę żartobliwą uwagę, pan Bumble zdjął z gwoździa kapelusz i włożywszy go czupurnie na głowę, jak to zwykle czynią mężowie, którzy w sposób dosadny okazali swoją wyższość, wsadził ręce do kieszeni i potoczył się zwolna ku drzwiom z niewypowiedzianem zadowoleniem wewnętrznem, które odbijało się na całej jego postaci. Pani Bumble zrobiła doświadczenie z płaczem jedynie dlatego, że ten sam łatwy sposób praktykowała dotychczas zawsze z pomyślnym skutkiem; widząc jednak, że próba nie udała się, postanowiła użyć energiczniejszego sposobu, o czem pan Bumble, ku wielkiemu swemu zadziwieniu, niebawem się przekonał.

Pierwszym dowodem zmienionej taktyki był głuchy i stłumiony odgłos, z którym jednocześnie kapelusz pana Bumble spadł z jego głowy i potoczył się aż na drugi koniec pokoju.

Ten wstępny krok odsłonił zupełnie głowę małżonka, i doświadczona jejmość schwyciła go jedną ręką za gardło, a drugą wymierzyła mu niezliczoną ilość ciosów w głowę i w plecy. Gdy dokonała tego, zmieniła cokolwiek tryb operacji — zabrała się do obrobienia mu twarzy paznokciami, targając go przytem za włosy. Przyszedłszy do przekonania, że wymierzyła mu już taką karę, na jaką zasługiwał, popchnęła go na krzesło, które jakby naumyślnie nawinęło się jej pod rękę i oświadczyła, że może teraz opowiadać o swoich prawach, jeżeli ma do tego ochotę.

— Wstań — rzekła rozkazującym tonem — i zejdź mi z oczu, jeżeli nie chcesz doprowadzić mię do rozpaczliwego czynu.

Pan Bumble podniósł się z krzesła z miną bardzo żałosną, usiłując dociec w skrytości ducha, jakiego też środka chwyciłaby się jego połowica, gdyby oka-

zał się opornym. Podniósł z ziemi kapelusz i spojrzał ku drzwiom.

— Czy wyniesiesz się raz, niedołęgo? — wrzasnęła pani Bumble.

— Oczywiście, moja droga, oczywiście — odpowiedział pan Bumble, zwracając się spiesznie ku drzwiom. — Ja nie chciałem wcale... ja... ja... wychodzę zaraz, moja droga... zaraz... ty jesteś tak prędka, że w istocie...

Pani Bumble postąpiła parę kroków, chcąc położyć na miejsce dywanik, który zwiął się cokolwiek podczas ich utarczki. Pan Bumble dopadł bardzo zwinnie drzwi i w mgnieniu oka znalazł się za niemi, zapomniawszy nawet skończyć rozpoczęte zdanie i zostawiając małżonkę na zdobytym placu boju.

Tak tedy, pan Bumble, zaskoczony znienacka, poniósł sromotną klęskę. Był on wielkim pyszałkiem, i ze szczególnem upodobaniem dręczył i prześladował słabe istoty; a co za tem idzie, był jednocześnie wielkim tchórzem.

Nie chcemy obniżać charakteru pana Bumble, jako że spotyka się często ludzi, którzy cieszą się ogólnem szacunkiem i uznaniem, a posiadają te same słabostki. Mówiąc o nich w stosunku do pana Bumble, pragnęlibyśmy przekonać czytelnika, że posiadał on wszelkie kwalifikacje, wymagane od osób zajmujących urzędowe stanowiska.

Ale miarka jego poniżenia nie wypełniła się jeszcze.

Obchodząc Dom Roboczy, myślał po raz pierwszy, że przepisy dla ubogich są istotnie zbyt surowe; iż mężowie, którzy opuszczają swoje żony, zostawiając je na łasce gminy i Domu Roboczego, nietylko nie zasługują na żadną karę, ale raczej należy im się nagroda, jako jednostkom zasłużonym, które

musiały przejść przez całe piekło cierpień. Tak rozmyślając, zbliżył się do pralni, w której jakoś zbyt głośno śmiano się i rozprawiano.

— Hm! — mruknął pan Bumble pod nosem, przybierając urzędową minę. — To te przeklęte baby... One przecież prawo powinny szanować... Co znaczy ten hałas?

Uczyniwszy w myśli tę uwagę, otworzył drzwi i wszedł do pralni, wołając z gniewem:

— Cicho, stare czarownice. Jak śmiecie wyprawiać takie krzyki?

Ale powaga i nadętość pana Bumble zmieniła się w największą pokorę, gdy jego oczy spostrzegły niespodziewanie zacną małżonkę.

— Moja droga — bąknął — nie wiedziałem, że tutaj jesteś.

— Nie wiedziałeś, że tutaj jestem? — powtórzyła pani Bumble — a co ty tutaj robisz?

— Zdawało mi się, że te kobiety za wiele i za głośno rozmawiają, wskutek czego robota jest niedokładna — tłomaczył się pan Bumble, spoglądając z pod oka na kilka praczek, które stały przy balji i były widocznie bardzo zadowolone z uległego zachowania się ich zwierzchnika.

— Tobie się zdawało, że one za wiele rozprawiają? — rzekła pani Bumble. — A tobie co do tego?

— Ja tylko chciałem, moja droga...— wyjąkał pan Bumble lękliwie.

— Co tobie do tego, pytam się? — powtórzyła pani Bumble.

— To prawda, że ty tu rządzisz, moja droga — odparł pan Bumble nieśmiało — ale myślałem, że ciebie tutaj właśnie niema...

— Posłuchajże mię teraz, panie Bumble — przerwała małżonka: — My tu nie potrzebujemy ciebie zupełnie. Zbyt lubisz wtrącać się do rzeczy, które

do ciebie nie należą. Czy nie widzisz, że wszyscy śmieją się z ciebie poza twemi plecami? A wiesz dlaczego? Bo na każdym kroku błaźnisz się i wystawiasz na głupca. A teraz idź stąd precz! Ruszaj!

Pan Bumble zawahał się chwilę, widząc z rozdarciem serca złośliwe uśmiechy, jakie praczki zaczęły zamieniać między sobą. Pani Bumble zabrakło widać cierpliwości, bo chwyciła wielki garnek zagotowanych mydlin i, wskazując mu drzwi, zagroziła, że skąpie go w tych mydlinach, jeżeli natychmiast nie wyniesie się z izby.

Cóż biedny Bumble miał począć?

Nie rzekłszy słowa, zwiesił głowę i wyszedł, a gdy drzwi zamknęły się za nim, kobiety w pralni parsknęły głośnym śmiechem.

Tego jeszcze brakowało! W oczach tych marnych bab został shańbiony. Stracił powagę nawet u nędznych mieszkańców Domu Roboczego. Stoczył się sromotnie z wyżyn świetnego stanowiska woźnego gminy na najniższy stopień poniżenia i upokorzenia — na służalca i podnóżka żony.

— I to wszystko w przeciągu dwuch miesięcy! — rozmyślał żałośnie. — Przed dwoma miesiącami... tak jest, przed dwoma miesiącami zaledwie byłem nietylko panem samego siebie, ale także panem każdego, jak daleko sięgają granice Domu Roboczego gminy, a dziś...

Tego było za wiele!

Bumble wymierzył silny policzek chłopcu za to, że mu drzwi otworzył, i wyszedł roztargniony na ulicę.

Przeszedłszy się tu i owdzie, uczuł się nieco spokojniejszy, lecz ten upadek uczuć wywołał nieznośne pragnienie. Po drodze mijał wiele gospód i szynków, wreszcie zatrzymał się przed szynkownią leżącą na uboczu; zajrzawszy przez okno, przekonał się, że

tylko jeden gość w niej siedzi. W tej chwili zaczął padać deszcz rzęsisty i to wpłynęło na decyzję pana Bumble. Otworzył drzwi i wszedł do szynku, a zamówiwszy coś do picia, usadowił się w drugiej izbie, do której zajrzał przez okno z ulicy.

Gość, którego tu zastał, był to mężczyzna dość wysokiego wzrostu, o ciemnej twarzy, w szerokim płaszczu. Znać było, że jest obcy; znużenie, odbijające się w całej jego postawie, również jak i pył, pokrywający grubą warstwą jego odzież, były wyraźnym dowodem, że przybywa zdaleka.

Spojrzał z pod oka na pana Bumble, gdy ten wszedł do izby, lecz raczył zaledwie skinąć głową w odpowiedzi na jego powitanie.

Pan Bumble posiadał w sobie tyle powagi, że wystarczyłoby jej na dwie osoby, gdyby cudzoziemiec zechciał zdradzić chęć do zbytniej poufałości. W tej chwili też popijał w milczeniu swoją wódkę i przeglądał dziennik z wielkiemi oznakami namaszczenia.

Zdarza się jednak, że człowiek ulega pokusom. Nieznajomy gość dziwnie jakoś interesował pana Bumble. Nie mogąc oprzeć się ciekawości, spozierał na niego ukradkiem z poza rozłożonej gazety i zmieszał się, zauważywszy, że nieznajomy z niemniejszą ciekawością mu się przygląda.

Zmieszanie pana Bumble zwiększyło jeszcze samo spojrzenie nieznajomego, które było przenikliwe, badawcze i tak zarazem groźne, jakiego nigdy jeszcze w życiu nie spotykał. Pan Bumble nie mógł znieść tego wzroku — niepokoił go on i przerażał.

Po kilkakrotnem zamienieniu spojrzeń, nieznajomy przerwał milczenie, zapytując grubym, ochrypłym głosem?

— Czy mnie tu szukałeś, zaglądając przez okno?

— Ja pana? Chyba że pan jest...

W tem miejscu pan Bumble urwał, mniemając, że nieznajomy uzupełni jego zdanie, wymieniając swoje nazwisko i zaspokoi tym sposobem jego ciekawość.

— Widzę, że nie — rzekł nieznajomy z ironicznym uśmiechem na ustach — w przeciwnym razie, wiedziałbyś, jak się nazywam. Nie radzę jednak dopytywać się o to.

— Nie chciałem pana obrazić, młodzieńcze — zapewnił pan Bumble z powagą.

— Nie obraziłeś mię wcale — odparł nieznajomy.

Nastąpiło milczenie, które przerwał znowu nieznajomy:

— Jeżeli się nie mylę, to już kiedyś widziałem ciebie, mój panie. Wtedy byłeś ubrany inaczej. Tak, przypominam sobie. Byłeś woźnym tutejszej gminy, nieprawdaż?

— Tak jest — potwierdził Bumble zdziwiony — byłem woźnym gminy.

— A widzisz. Mam dobrą pamięć — rzekł nieznajomy. — Czemże teraz jesteś?

— Gospodarzem Domu Roboczego — odpowiedział Bumble niechętnie, chcąc tym sposobem dać nieznajomemu do zrozumienia, że nie życzy sobie zawierać z nim bliższej znajomości.

— Spodziewam się jednak, że i na tym nowym urzędzie dbasz o własną korzyść równie, jak na poprzednim? — zapytał śmiało nieznajomy, patrząc mu wyzywająco w oczy. — Odpowiedz szczerze, bez obawy. Widzisz, znam cię bardzo dobrze.

— Zdaje mi się, że niema w tem nic złego — odparł Bumble, coraz więcej zdziwiony i zaniepokojony, oglądając nieznajomego od stóp do głowy — jeżeli człowiek żonaty nie gardzi sztuką złota, gdy zdarzy się ku temu sposobność. Urzędnicy gminy są tak skąpo płatni, że muszą starać się o postronne zarobki.

Nieznajomy uśmiechnął się i skinął głową, jakby na znak, że zrozumiał o co chodzi, poczem zadzwonił na gospodarza.

— Jeszcze jedną szklankę grogu — rzekł, podając szynkarzowi pustą szklankę pana Bumble. — Tylko mocnego i gorącego! Myślę, że lubisz pan mocny grog?

— Niebardzo mocny — odparł Bumble, chrząknąwszy lekko.

— Rozumiesz, co to ma znaczyć? — rzekł nieznajomy, mrugając na gospodarza znacząco.

Gospodarz uśmiechnął się, wyszedł i powrócił niebawem ze szklanką dymiącego płynu.

Grog musiał być „uczciwy", bo panu Bumble po pierwszym łyku zaraz oczy zaszły łzami.

— A teraz posłuchaj — odezwał się nieznajomy, zamykając drzwi i okna. — Przybyłem tu dzisiaj jedynie w tym celu, żeby ciebie odszukać. I oto szczególnym trafem, który szatan nastręcza bardzo często swoim ulubieńcom, wchodzisz do tej izby wtedy kiedy ja o tobie rozmyślam! Potrzebuję pewnej wiadomości od ciebie. Nie żądam jej jednak darmo. Jako dowód, masz to na początek.

Wypowiedziawszy te słowa, wydobył kilka gwinej i posunął je po stole ku towarzyszowi z taką ostrożnością, jak gdyby obawiał się, żeby w sąsiedniej izbie nie usłyszano brzęku monety. Bumble, obejrzawszy starannie dukaty i przekonawszy się, że nie są fałszywe, schował je z wielkiem zadowoleniem do kieszeni, a nieznajomy tymczasem ciągnął dalej:

— Cofnij się myślą w przeszłość. Działo się to temu lat dwanaście...

— Hm, bardzo dawno — zauważył Bumble — ale słucham dalej.

— W Domu Roboczym...

— Rozumiem.

— W porze zimowej, nocą...

— Uważam.

— M marnej, wstrętnej jamie, gdzie nędzne wszetecznice rodzą dzieci, które gmina musi żywić na swój koszt, i gdzie te piekielne wywłoki zanoszą potem swoją hańbę do grobu...

— Mowa tu o oddziale położnic, jak mi się zdaje? — zapytał pan Bumble, kombinując z trudnością górnolotny opis nieznajomego.

—Tak jest — potwierdził nieznajomy. — Tam urodził się wówczas chłopiec.

— Wielu chłopców tam się urodziło — zauważył Bumble, potrząsając głową.

— Niech tych małych djabłów morowa zaraza wygubi! — zawołał z gniewem nieznajomy. — Mówię o bladym, wątłym chłopcu, którego oddano później na praktykę do przedsiębiorcy pogrzebowego — szkoda, że sam dla siebie trumny nie zrobił i że go w niej nie pochowano — a który potem uciekł prawdopodobnie do Londynu...

— A, domyślam się, że tu mowa o Oliwerze... Oliwerze Twist? — rzekł Bumble. — Przypominam sobie, przypominam. Był to krnąbrny wisus...

— O nim nie chcę więcej słyszeć... Mam go powyżej uszu! — odezwał się szorstko nieznajomy, przerywając panu Bumble wyliczanie długiego szeregu wszelkich wad i występków Oliwera. — Mnie chodzi o pewną kobietę, starą czarownicę, która pielęgnowała jego matkę. Gdzie ona jest?

— Gdzie ona jest? — powtórzył Bumble, którego grog uczynił nieco żartobliwym. — To bardzo trudno powiedzieć. Tam niema położnic, ani akuszerek, gdzie ona jest; dlatego sądzę, że nie posiada obecnie żadnego zatrudnienia.

— Co przez to rozumiesz? — zapytał nieznajomy surowo.

— To rozumiem, że ta kobieta umarła przeszłej zimy — odpowiedział pan Bumble.

Nieznajomy wlepił w niego swoje przenikliwe oczy i długo mu się przyglądał, przyczem Bumble zauważył, że rozmyślą nad czemś głęboko.

Były woźny gminy nie mógł wywnioskować, czy podana wiadomość ucieszyła nieznajomego, czy też zmartwiła go. Siedział czas jakiś w milczeniu, wkońcu jednak odetchnął głęboko, oświadczył, że cała sprawa jest małej wagi, i wstał, zabierając się widocznie do odejścia.

Ale pan Bumble był lisem, kutym na cztery nogi; skombinował odrazu, że nadarza mu się pomyślna sposobność korzystnego wyzyskania tajemnicy swej godnej małżonki. Pamiętał dobrze ową noc, kiedy stara Sally umarła, gdyż z nią łączyły się bardzo ważne wypadki, związane z jego własnem życiem: przecież wtedy złożył swe serce u stóp pani Corney. Chociaż niewiasta nie powiedziała dotychczas o tem, co się owej nocy stało, usłyszał on od niej jednak półsłówkami tyle, iż łatwo mógł się domyśleć, że istnieje jakiś związek między słowami nieznajomego, a wydarzeniem, które zaszło wtedy, kiedy stara Sally pielęgnowała matkę Oliwera.

Zestawiwszy w duchu wszystkie te okoliczności, napomknął tajemniczo nieznajomemu, że stara Sally przywołała do siebie przed zgonem pewną kobietę, z którą długo rozmawiała i której prawdopodobnie coś powierzyła, co zapewne może rzucić niejakie światło na przedmiot jego poszukiwań.

— Gdzie jest ta kobieta i w jaki sposób można się z nią zobaczyć? — zapytał nieznajomy porywczo; pan Bumble domyślił się łatwo, że ta wiadomość mocno go obeszła.

— Tylko za mojem pośrednictwem — odparł pan Bumble.

— Kiedy? — podchwycił nieznajomy.

— Chociażby jutro.

— Jutro o dziewiątej.

To rzekłszy, nieznajomy nakreślił drżącą ręką na świstku papieru swój adres, a raczej dość niewyraźną wskazówkę, objaśniającą, gdzie mieszka.

— O dziewiątej wieczorem przyprowadź tę kobietę — dodał. — Nie potrzebuję ci zalecać, żebyś zachował wszystko w największej tajemnicy, gdyż chodzi tutaj o twoją własną korzyść.

Zapłacił potem za wszystko, co wypili, raz jeszcze przypomniał panu Bumble termin spotkania i nadmienił, że idą w różne strony, poczem wyszedł z szynkowni bez pożegnania.

Były woźny, rzuciwszy okiem na notatkę nieznajomego, zauważył, że niema na niej nazwiska. Szybko wybiegł na ulicę i dopadł tajemniczego człowieka.

— Co to? — zawołał tamtem. — Śmiesz mnie śledzić?

— Broń Boże! — rzekł Bumble. — Ponieważ niema na kartce nazwiska, chciałbym wiedzieć, o kogo mam się tam zapytać?

— O Monksa — odparł nieznajomy i oddalił się szybko.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

— Tylko w mojem pośrednictwem — odparł pan Bumble.

— Kiedy? — podchwycił nieznajomy.

— Choćby jutro.

— Jutro o dziewiątej.

To rzekłszy, nieznajomy nakreślił drżącą ręką na świstku papieru swój adres, a raczej dość niewyraźne wskazówki, objaśniające, gdzie mieszka.

— O dziewiątej wieczorem przyprowadź ją do mnie — dodał. — Nie potrzebuję ci zalecać, żebyś zachował wszystko w najgłębszej tajemnicy, gdyż chodzi tu o twoją własną korzyść.

Zapłacił potem za wszystko, co wypili, raz jeszcze przypomniał panu Bumble termin spotkania i nadmieniwszy, że idą w różne strony, poczem wyszedł z szynkowni bez pożegnania.

Były woźny rzuciwszy okiem na adres nieznajomego, zauważył, że brak na nim nazwiska. Szybko wybiegł na ulicę i dogonił tajemniczego człowieka.

— Co to? — zawołał tamten. — Śledzisz mnie dalej?

— Broń Boże! — rzekł Bumble. — Ponieważ niema na kartce nazwiska, chciałbym wiedzieć, o kogo mam się tam zapytać?

— O Monksa — odparł nieznajomy i oddalił się szybko.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

DZIEŁA KAROLA DICKENSA

KAROL DICKENS

DZIEŁA

ZE SŁOWEM WSTĘPNEM
ANDRZEJA TRETIAKA
PROF. UNIWERSYTETU WARSZAWSK.

OLIWER TWIST

OLIWER TWIST

POWIEŚĆ

TOM IV

WARSZAWA

WYDAWNICTWO GUTENBERGA

Rozdział trzydziesty ósmy,

zawierający sprawozdanie o tem, co zaszło między państwem Bumble a panem Monksem podczas ich nocnego spotkania.

Był ciemny, parny wieczór letni; chmury, gromadzące się przez cały dzień, utworzyły teraz jedną czarną płachtę, zasnuwając nią niebo; z poza tej zasłony rozlegały się przeciągłe pomruki oddalonych jeszcze grzmotów, zapowiadających rychły wybuch burzy, którą poprzedzały tymczasem rzadkie krople deszczu.

O takiej porze państwo Bumble, wymknąwszy się chyłkiem z głównej ulicy, zdążali ku małej gromadzie nędznych, zrujnowanych i przeważnie opuszczonych domów, wzniesionych tuż nad brzegiem Tamizy, o niecałą wiorstę od miasta. Na tę wycieczkę przyodziali się oboje w stare, wytarte płaszcze, które miały ochronić ich nietylko od deszczu, ale także zabezpieczyć od zwracania na siebie uwagi.

Mąż niósł latarnię, w której jednak nie było światła, i szedł o kilka kroków przodem, jakby chciał swej połowicy utorować drogę wśród błota, które pokrywało ulice.

Oboje szli w milczeniu; kiedy niekiedy Bumble zatrzymywał się i odwracał głowę, upewniając się jakby, czy żona idzie za nim; przekonawszy się zaś, że jest tuż obok, pospieszał pewniejszym nieco krokiem ku miejscu, wyznaczonemu przez Monksa na spotkanie.

Miejsca tego nie można było żadną miarą nazwać podejrzanem, gdyż słynęło ono już od dawna jako siedziba najgorszego gatunku łotrów i złoczyńców, którzy mieszkali tu pod cudzemi nazwiskami, udając uczciwych, pracowitych, Bogu ducha winnych biedaków.

Było to, jak nadmieniliśmy, zbiorowisko nędznych budynków, wzniesionych naprędce bądź z niewypalonej cegły, bądź ze starego, spróchniałego drzewa okrętowego i nagromadzonych bez wszelkiego ładu i porządku o kilka kroków tylko od brzegów rzeki.

Dziurawe czółna, wyciągnięte na błoto i przymocowane do lichego, kamiennego bulwarku, liny, kotwice, deski i wiosła, tu i owdzie porozrzucane, mogły na pierwszy rzut oka złudzić przechodnia, że mieszkańcy tych nędznych budynków zajmują się rybołówstwem lub czemś podobnem; przypatrzywszy się wszakże dokładniej nagromadzonym rupieciom, łatwo dochodziło się do wniosku, że przedmioty te nie były zdatne do żadnego użytku, lecz nagromadzone jedynie w celu nadania tej miejscowości pewnych pozorów.

W samym środku owej gromady lepianek, tuż nad samą rzeką, stał większy od innych budynek, tak pochylony, że wyższe jego piętra wisiały nad wodą. Ongi mieściły się w nim zapewne jakieś warsztaty, dostarczające tutejszym mieszkańcom uczciwego zarobku. Dziś był zupełnie opuszczony i zrujnowany. Robactwo, wilgoć i szczury zżarły i stoczyły pale, na których się wznosił, do tego stopni, że znaczna jego część runęła już w wodę, a reszta wisiała nad błotnistemi nurtami rzeki, grożąc lada chwila zawaleniem.

Przed tą ruderą zatrzymała się godna para małżeńska w chwili, gdy w powietrzu rozległ się donioślejszy huk grzmotu i deszcz ulewny zaczął padać.

— Zdaje mi się — mruknął Bumble, spoglądając na świstek papieru, który trzymał w ręku — że jesteśmy na wyznaczonem miejscu.

— Hola! A kto tam? — zawołał głos z góry.

Bumble podniósł głowę i spostrzegł jakąś postać, wychyloną z okna drugiego piętra.

— Zatrzymajcie się nieco — dodał ów głos — zaraz do was zejdę.

Postać znikła z okna, które zamknęło się za nią.

— Czy to jest twój nieznajomy? — zapytała godna połowica pana Bumble.

Bumble skinął głową na znak potwierdzenia.

— A więc zapamiętaj, co ci powiem — rzekła do niego niewiasta: — Bądź ostrożny, odzywaj się jak najmniej; jednem słowem możesz popsuć wszystko i narazić nas na kłopot.

Bumble, który lękliwym wzrokiem oglądał ruderę ze wszystkich stron, chciał właśnie wyrazić pewne wątpliwości co do solidnych podstaw całego przedsięwzięcia i zaproponować nawet rejteradę, gdy Monks przeszkodził temu zamiarowi, zjawiając się nagle w małych drzwiczkach, przed któremi stali.

— Wchodźcie prędzej do środka! — zawołał niecierpliwie, tupiąc nogą o ziemię. — Nie zatrzymujcie mię tak długo!

Pani Bumble wahała się z początku, ostatecznie weszła przecież śmiało do sieni, nie czekając ponownego zaproszenia; pan Bumble zawstydzony, czy też przerażony, podążył za nią również, nie starając się jednak o utrzymanie pozoru powagi i wyniosłości, które go zwykle cechowały.

— Dlaczego, do djabła, staliście tak długo i mokli na deszczu? — zapytał szorstko Monks, zamknąwszy drzwi sieni.

— My... my... my chcieliśmy ochłodzić się cokolwiek — wyjąkał Bumble, spoglądając bojaźliwie naokoło.

— Ochłodzić! — powtórzył Monks. — Wszystek deszcz, co spadł z nieba od początku świata i do końca świata padać będzie, nie zdoła ugasić ognia piekielnego, gorejącego niekiedy w piersiach człowieka. Nie wyobrażajcie sobie, żeby człowiek mógł się tak łatwo ochłodzić... Nie tak łatwo!

Wypowiedziawszy tę miłą przemowę, Monks zwrócił się do pani Bumble i utkwił w nią tak przenikliwe spojrzenie, że spuściła oczy ku ziemi, chociaż nie była wcale łatwa do poskromienia.

— Czy to jest ta kobieta, o której mi mówiłeś? — zapytał Monks pana Bumble.

— Tak jest, to ona — odpowiedział pan Bumble, nie zapominając o przestrodze małżonki.

— Sądzisz może, sir — odezwała się pani Bumble, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia i patrząc śmiało w badawcze oczy Monksa, — że kobieta nie jest zdolna utrzymać tajemnicy?

— Wiem tylko to — odparł Monks — że każda kobieta ukrywa zawsze starannie jedną rzecz, dopóki nie zdradzą jej same okoliczności...

— Cóż takiego? — zapytała pani Bumble.

— Utratę dobrej sławy — odparł Monks. — Dlatego nie obawiam się wcale ze strony kobiety zdrady tajemnicy, którąby mogła zaprowadzić ją do więzienia lub skazać na wygnanie. Czy rozumiesz, moja pani?

— Nie rozumiem — rzekła pani Bumble, mieniąc się na twarzy.

— Nie rozumiesz? — powtórzył Monks. — Jak mogłabyś mię nawet zrozumieć?

Roześmiał się, obrzucając małżonków napół szyderczym, napół gniewnym wzrokiem, poczem wez-

wawszy ich szorstko, żeby udali się za nim, przeprowadził ich przez dużą, bardzo niską izbę. Zamierzał właśnie wejść na pierwszy stopień schodów, a raczej na pierwszy szczebel drabiny, prowadzącej na wyższe piętro, gdy naraz oślepiająca błyskawica oświeciła korytarz i zaraz potem rozległ się grzmot tak silny, że rudera zatrzęsła się w swych posadach.

— Słyszycie? — krzyknął Monks, rzucając się wtył. — Czy słyszycie, jak tam w górze wszystko wre i huczy? Wydaje się, jakby grom przebijał się przez tysiące jaskiń, napełniając trwogą kryjących się tam szatanów... Przeklęty huk! Znieść go nie mogę!

Zasłonił twarz dłońmi i stał w milczeniu przez chwilę; gdy zaś odjął ręce od twarzy, pan Bumble zauważył z przerażeniem, iż pobladł śmiertelnie i rysy miał okropnie zmienione.

— Często miewam takie napady — rzekł Monks, widząc ich przerażenie — grzmoty sprowadzają je na mnie często. Nie zważajcie na to... już przeszło.

To rzekłszy, wprowadził małżonków po drabinie na piętro, pozamykał spiesznie wszystkie okiennice, opuścił potem nadół latarnię, zawieszoną u pułapu na sznurze, przeciągniętym przez żelazny bloczek. Mdłe błyski latarni oświeciły nieco wyraźniej duży stół dębowy i trzy stojące przy nim stołki. Monks wskazał gościom stołki i sam usiadł, poczem odezwał się:

— Przystąpmy do rzeczy. Im prędzej załatwimy sprawę, tem lepiej dla nas wszystkich. Czy ta kobieta wie, o co chodzi?

Pytanie zwrócone było do pana Bumble, lecz jego odpowiedź uprzedziła sama pani, oświadczając, że jest doskonale o wszystkim poinformowana.

— Czy to prawda, żeś była przy śmierci pewnej starej djablicy, która uczyniła pewne zwierzenia...

— Dotyczące matki wiadomego chłopca — dokończyła pani Bumble. — Tak, sir, to prawda.

— Pierwsze pytanie: jakiego rodzaju były te zwierzenia? — mówił Monks.

— O tem potem, mój panie — rzekła pani Bumble chłodno. — Naprzód musimy się dowiedzieć, na ile oceniasz to zwierzenie?

— A któż, u djabła, może na ślepo wiedzieć? — rzucił się gniewnie Monks.

— Z pewnością, że nikt lepiej od was, sir, jestem głęboko o tem przekonana — odparła pani Bumble, której nie zbywało na przebiegłości, o czem mógł poświadczyć jej małżonek.

— Hm — mruknął Monks znacząco, spoglądając badawczo na kobietę — a czy owa tajemnica będzie poparta jakim dowodem?...

— Może... — odparła pani Bumble.

— Przedmiotem, który zostawiła po sobie matka chłopcu — dopytywał Monks — który przy niej znaleziono... który...

— Najlepiej uczynisz, sir, podając cenę bez wykrętów — przerwała pani Bumble. — To, co od was teraz słyszałam, dostatecznie mnie przekonywa, że jesteście tym właśnie człowiekiem, któremu powinnam powiedzieć.

Pan Bumble nie był dopuszczony przez małżonkę do tajemnicy; wiedział o całej sprawie tyle, ile sam mógł się domyśleć, to też przysłuchiwał się teraz rozmowie z nadstawionemi uszami i wytrzeszczonemi oczyma, spoglądając kolejno z niewypowiedzianem zdumieniem to na żonę, to na Monksa; ciekawość jego wzrosła jeszcze bardziej, gdy usłyszał Monksa, pytającego panią Bumble, ile żąda za wyjawienie tajemnicy?

— A jaką wartość ma ona dla pana, sir? — zapytała pani Bumble, zachowując wciąż przezorną obojętność.

— To się okaże — odparł Monks — może nic nie warta, a może... dwadzieścia funtów. Niech się dowiem ile wy chcecie?

— Dodaj, sir, jeszcze pięć funtów do wymienionej kwoty; dwadzieścia pięć funtów w złocie — zdecydowała pani Bumble. — Otrzymawszy pieniądze, powiem wszystko, co wiem, lecz ani słówka przedtem.

— Dwadzieścia pięć funtów! — zawołał Monks.

— Ani pensa mniej — powtórzyła pani Bumble. — Mówię głośno i wyraźnie. Nie są to przecież wielkie pieniądze.

— Niewielkie pieniądze za jakąś głupią wiadomość, która może nic nie jest warta? — oburzał się Monks — i która już od lat dwunastu spoczywa w ziemi?

— Takie rzeczy, sir, bardzo długo utrzymują swoją wartość — odparła pani Bumble ozięble i spokojnie — a nawet z czasem, podobnie jak dobre wino, nabierają nierównie większej wartości. Co do śmierci, to wiadomo, że umarli przemawiają z grobu po setkach i tysiącach lat nawet, wyjawiając ważne tajemnice, o których żadna żywa dusza przedtem nie wiedziała.

— A jeśli się okaże, że wasza tajemnica nie ma dla mnie, istotnie, żadnej wartości? — wahał się jeszcze Monks.

— W takim razie, sir — rzekła pani Bumble — będziesz mógł pieniądze odebrać. Jestem słaba kobieta, sir, sama w tej opuszczonej ruderze, zdala od miasta...

— Nie jesteś sama, moja droga, nie jesteś bez opieki i pomocy, zapominasz o mnie, twoim mężu, moja droga — odezwał się pan Bumble, nadrabiając miną,

chociaż czuł strach tak wielki, że zęby dzwoniły mu, gdy mówił. — A zresztą — dodał, spoglądając na gospodarza z pod oka — pan Monks jest człowiekiem zbyt szlachetnym i wspaniałomyślnym, żeby się miał dopuścić gwałtu na nas, tembardziej, że należymy do członków gminy. Pan Monks wie, że nie jestem młodzikiem, ale musiał o tem słyszeć, moje droga, iż jestem bardzo, bardzo odważny, a w pewnych razach, gdy się zapalę, staję się ogromnie silnym. Potrzebuję tylko bodźca w tym kierunku — oto wszystko.

Na poparcie swych słów pan Bumble wstrząsnął energicznie trzymaną w ręku latarnią, a przerażony wyraz jego twarzy świadczył niezbicie, że potrzeba jednak wiele, by wzniecić w nim zapał i skłonić go do wojowniczych kroków, o ile naturalnie nie wchodzą w grę nędzarze gminy i wogóle osoby słabe i bezbronne.

— Jesteś głupi, mój drogi, najlepiej zrobisz, siedząc cicho i trzymając język za zębami.

— Trzeba mu było zaszyć niesforną gębę, zanim tutaj przyszedł — zauważył gniewnie Monks. — To pani mąż?

— To mój mąż — odparła pani Bumble, ironizując słowa Monksa.

— Zaraz się tego domyśliłem, skoro zobaczyłem was razem — rzekł Monks. — Tem lepiej! Tem lepiej! Z większem zaufaniem załatwiam interesy z dwojgiem ludzi, jeżeli widzę, że działają w zgodnem porozumieniu. Mówię to szczerze, bez żartu, a oto dowód.

To rzekłszy, wyjął z kieszeni jedwabny woreczek, wyliczył na stole dwadzieścia pięć gwinej i posunął je ku pani Bumble.

— Macie, ileście chcieli — rzekł — schowajcie te pieniądze. Zaczniecie opowiadać, gdy ucichnie

piorun, który trzaśnie za chwilę. Czuję, że się zbliża.

Piorun, który rzeczywiście trzasł gdzieś niedaleko, przeszedł następnie w długi, przeciągły łoskot grzmotu. Gdy się uciszyło, Monks podniósł głowę i nachylił się ku pani Bumble, ażeby wysłuchać jej opowiadania.

Głowy trzech osób niemal dotykały jedna drugiej. Niepewne światło latarni, wiszącej u pułapu, podkreślało niejako bladość i niepokój twarzy. Wśród posępnego otoczenia, przy odgłosach burzy, w półmroku, trójka ta sprawiała wrażenie duchów nocnych, które zeszły się na jakąś nieczystą naradę.

— Przy ostatnich chwilach Sally — rozpoczęła swą opowieść pani Bumble — byłam tylko ja sama...

— Czy z pewnością nie było nikogo więcej? — przerwał Monks takim samym stłumionym szeptem. — Może kto leżał w tej samej sali na innem łóżku, ktoś taki, co mógł słyszeć i zrozumieć waszą rozmowę? Proszę sobie przypomnieć, to bardzo ważne.

— Nie było żywej duszy — zapewniła pani Bumble. — Byłyśmy zupełnie same, siedziałam przy łóżku umierającej.

— Dobrze — rzekł Monks, nie spuszczając oka z opowiadającej. — Cóż dalej?

— Sally mówiła o młodej dziewczynie, która przed kilkunastu laty wydała na świat chłopca; nie w tej samej izbie, ale na tem samem łóżku, na którem Sally umierała.

— A — zawołał Monks drżącemi wargami, przyczem spojrzał mimowoli poza siebie. — Do djabła! Jak się to dziwnie składa... Jak wszystko powoli wychodzi najaw!

— Był to ten sam chłopiec, o którego pytał się pan wczoraj — objaśniła pani Bumble, wskazując

oczyma swego małżonka. — Otóż ta pielęgniarka okradła jego matkę.

— Za życia? — spytał Monks.

— Nie, po śmierci — odpowiedziała pani Bumble nieco drżącym głosem. — Okradła trupa. Skradła to, co konająca powierzyła jej, błagając, aby przedmiot ten przechowała, a następnie oddała jej synowi.

— Czy ona to sprzedała? — zawołał Monks z obawą. — Odpowiedzcież? Czy sprzedała? A jeżeli sprzedała, to komu?... Gdzie?... Kiedy?... Jak dawno?...

— Gdy uczyniła z wielką trudnością to zeznanie — mówiła dalej matrona — opadła na poduszki i skonała.

— Jakto... nie powiedziała nic więcej — wrzasnął Monks przejmującym głosem, wpadając w wściekłość. — To być nie może! To fałsz! To kłamstwo! Ja nie pozwolę na kpiny z mojej osoby, ona musiała powiedzieć coś więcej. Nie wyjdziecie stąd... zabiję was, jeżeli nie dowiem się wszystkiego...

— Nie powiedziała więcej ani słówka — rzekła pani Bumble z pozorami obojętności, nie przejmując się pogróżkami i wściekłością Monksa — natomiast ręką, zaciśniętą kurczowo, uczepiła się mojej sukni. Gdy skonała, wyciągnęłam suknię z ręki zmarłej i spostrzegłam w niej jakąś kartkę...

— Co zawierała ta kartka? — przerwał Monks, nachylając się ku opowiadającej.

— Nic nadzwyczajnego — odparła spokojnie pani Bumble. — Był to kwit z lombardu.

— Na jaki przedmiot?

— Na pewien klejnot — odpowiedziała pani Bumble. — Zdaje się, że Sally przechowywała długo ten klejnot u siebie w nadziei, iż będzie mogła sprzedać go korzystnie, i zastawiła go w lombardzie dopiero

wtedy, gdy jej się to nie udało. Procent od zastawu opłacała regularnie zapewne kradzionemi pieniędzmi i w ten sposób uchroniła zastaw od licytacji. W razie ujawnienia całej sprawy byłaby zastaw wykupiła, ale do tego nie doszło. Umarła z kwitem w zciśniętej ręce. Z kwitu dowiedziałam się, że za dwa dni upływa termin wykupienia zastawu. Po namyśle wykupiłam klejnot.

— Gdzie on jest teraz? — przerwał niecierpliwie Monks.

— Mam go przy sobie.

Z temi słowy pani Bumble, jakby pragnąc uwolnić się od nieznośnego ciężaru, rzuciła na stół maleńki, skórzany woreczek, który Monks chciwie pochwycił, a otworzywszy go drżącemi rękoma, znalazł w nim złoty medaljon, zawierający dwa promienie jasnych włosów i złotą obrączkę.

— Na wewnętrznej stronie obrączki wyryte jest imię „Agnes“, obok zostawiono miejsce na drugie imię, a dalej wyryto datę, wcześniejszą o rok od daty przyjścia na świat Oliwera.

— Czy to już wszystko? — zapytał Monks, zbadawszy pilnie woreczek i zawarte w nim przedmioty.

— Wszystko — odparła pani Bumble.

Pan Bumble odetchnął głęboko, zadowolony widać mocno, że cała sprawa była skończona i że nie było wzmianki o zwrocie 25 funtów. Teraz też nabrał odwagi do obtarcia kropel zimnego potu, który podczas opowiadania pani Bumble zrosił mu twarz i spływał po nosie.

— Nie wiem nic więcej o całej sprawie — odezwała się po chwili pani Bumble — ponadto, co sama się domyśliłam, i więcej nic wiedzieć nie chcę. Do tego rodzaju spraw lepiej się nie dotykać. Pozwoli mi jednak pan zadać sobie dwa pytania?

— Słucham — rzekł Monks nieco zdziwiony. — Nie ręczę jednak, czy na nie odpowiem.

— Razem czyni trzy — odezwał się pan Bumble, siląc się na ton żartobliwy.

— Czy otrzymałeś, sir, to, czego szukałeś?

— Tak jest — odparł Monks. — A drugie pytanie?

— Co zamierzasz, sir, uczynić z przedmiotami, które ci oddałam? Czy nie zostaną one kiedykolwiek użyte przeciwko mnie?

— Nigdy! — odparł Monks. — Te przedmioty już nigdy nikogo nie oskarżą. Zaraz was o tem przekonam; ale uprzedzam was, żebyście się krokiem z miejsc waszych nie ruszyli, jeżeli wam życie miłe.

To powiedziawszy, odsunął stół nabok i pociągnął za kółko, umieszczone w ścianie.

Natychmiast ukazał się w podłodze duży kwadratowy otwór, tuż przy stopach pana Bumble, który też z najwyższem przerażeniem usunął się spiesznie nabok.

— Spojrzyjcie w ten otwór — rzekł Monks, oświecając latarnią wnętrze odsłoniętej przepaści. — Zbliżcie się bez obawy. Gdybym chciał waszej zguby, mogłem był wyprawić was na tamten świat tak łatwo i szybko, że anibyście się spostrzegli.

Ośmielona tem zapewnieniem, pani Bumble zbliżyła się do czarnej studni, a za jej przykładem poszedł, party ciekawością, pan Bumble.

Na dnie otworu wrzała i pieniła się rzeka, wezbrana w tej chwili silną ulewą. Nurty pędziły szybko, uderzając gwałtownie w obmulone brzegi i pale, na których stała rudera. Szum i łoskot wody zagłuszał wszelkie inne odgłosy.

Niegdyś stał w tem miejscu młyn wodny; dziś fale, niczem nie hamowane, rozbijały jego szczątki, rycząc, pieniąc się i kotłując złowrogo.

— Gdyby strącono tam ludzkie ciało, to gdzie znalazłoby się ono nazajutrz? — rzekł Monks, oświetlając ciągle latarnią wnętrze przepaści.

— Przynajmniej o jakie dwadzieścia mil stąd i to poszarpane na szmaty — mruknął Bumble, wzdrygając się na myśl o takiej podróży.

Monks wydobył z zanadrza woreczek z medaljonem, otrzymanym od pani Bumble, przywiązał do niego ołowianą kulę i rzucił w przepaść. Po pewnym czasie dał się słyszeć plusk przedmiotu, rzuconego w wodę, która porwała go i uniosła bezpowrotnie.

Trójka ludzi, schylona nad otworem, wymieniła między sobą spojrzenia i odetchnęła z ulgą.

— Oto koniec całej sprawy — rzekł Monks, zasuwając otwór. — Podobno woda nie chce w swem łonie trzymać zmarłych i zawsze ich wyrzuca, ale złoto i srebro z pewnością uszanuje i zatrzyma dla siebie. Nie mamy już z sobą nic więcej do czynienia; nie pozostaje więc nic innego, jak rozejść się każdy w swoją stronę.

— Słusznie, słusznie — podchwycił Bumble z pośpiechem.

— Nie wątpię — dodał Monks, przeszywając go groźnem wejrzeniem — że będziesz trzymał język za zębami. Co do twojej żony, jestem pewien, że się nie wygada.

— I o mnie również możesz być spokojny, sir — rzekł Bumble, cofając się instynktownie ku wyjściu i kłaniając się przytem nader uprzejmie. — Chodzi tu nietylko o twoją, ale i o naszą skórę, szanowny panie Monks.

— Bardzo mnie to cieszy, że słyszę z twoich ust tak rozsądną uwagę — rzekł Monks. — Zapal swoją latarnię i oddalcie się stąd jak najspieszniej.

Wielkie to było szczęście dla pana Bumble, że rozmowa skończyła się właśnie w tej chwili, w przeciwnym razie bowiem byłby się stoczył nadół po drabinie, doszedłszy do niej tyłem w ustawicznych ukłonach.

Monks podał mu latarnię, on zaś swoją od niej zapalił i w milczeniu zszedł pierwszy po drabinie, a za nim jego godna połowica. Monks postępował za nimi, nasłuchując pilnie; lecz do uszu nie dochodził żaden odgłos oprócz pomruku wzburzonej rzeki i plusku deszczu.

W głębokiem milczeniu i wolno przeszli przez dolną izbę; Monks zatrzymywał się co chwila. Pan Bumble kroczył niezmiernie zwinnie i zadziwiająco lekko, jak na człowieka lat już dojrzałych i statecznej postawy, uważając przytem pilnie, czy pod stopami nie otworzy się znowu nowa jakaś przepaść.

Nareszcie znaleźli się u drzwi, które Monks otworzył jak najciszej; skinął głową na pożegnanie i zacna para małżeńska, przestąpiwszy próg skwapliwie, znikła niebawem w ciemnościach nocy.

Monks, upewniwszy się, że jego mili goście oddalili się dostatecznie, a obawiając się widać samotności, przywołał wyrostka, który zjawił się niewiadomo skąd, polecił mu iść przodem z latarnią i wrócił do izby na piętrze, w której przed chwilą przyjmował gości.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

wprowadza znajome już czytelnikowi osobistości.

Następnego dnia po opowiedzianych w poprzednich rozdziale wypadkach, William Sikes obudził się z ciężkiego snu dość późnym wieczorem i mruknął ponuro do siebie: — Która też może być teraz godzina?

Spoczywał on obecnie już nie w tej samej izbie, w której mieszkał wówczas, gdy udawał się na niefortunną wyprawę nocną do Chertsey; nowe mieszkanie jednak znajdowało się w tej samej dzielnicy Londynu, a nawet niezbyt daleko od dawnego.

Nie można było powiedzieć, żeby lokal ten był wygodniejszy i żeby miał okazalszy wygląd od poprzedniego. Składał się bowiem z małej, niskiej, odrapanej izdebki, z jednem okienkiem w dachu, wychodzącem na ciasną i brudną ulicę.

Rzuciwszy okiem po izbie, można było odrazu poznać, że mieszkaniec jej gonił resztkami i znajdował się w bardzo nędznem położeniu. Wszystko zdradzało zupełny brak najprostszych potrzeb, największy niedostatek. Nie było ani sprzętów domowych, ani zapasu odzieży, ani nawet odrobiny żywności. Rozpaczliwe położenie stwierdzała również sama postać Billa, wynędzniała, wychudła, wybladła i przygnębiona.

Bandyta leżał na marnym barłogu, odziany w połatany kubrak, i twarz miał zapadłą, zżółkłą, z widocznemi śladami ciężkiej, snadź niedawno przebytej choroby. Na głowie miał dobrze zbrudzoną szlafmycę, był przytem nieogolony i silnie zarośnięty.

Tuż przy barłogu wyciągnął się pies, który to spoglądał chytrze na swego pana, to strzygł uszami i warczał głucho, jeżeli usłyszał hałas na ulicy lub na niższych piętrach domu.

Przy oknie, zajęta naprawianiem białej kamizelki, stanowiącej część zwykłego ubioru bandyty, siedziała dziewczyna tak wynędzniała i zmieniona niedostatkiem i bezsennemi nocami, że nikt nie poznałby w niej dawnej rezolutnej Nancy. Na mruknięcie Sikesa podniosła głowę z nad roboty i odparła:

— Niedawno wybiła siódma; jakże się teraz czujesz, Billu?

— Jestem słaby, jak woda — odparł Sikes, dodając swoim zwyczajem przekleństwo do odpowiedzi. — Chodźno tutaj, podaj mi rękę i pomóż mi wstać z tego przeklętego tapczana... Prędzej!

Choroba nie utemperowała brutalnego usposobienia bandyty. Gdy Nancy prowadziła go do krzesła, on nie omieszkał obrzucić ją ostatniemi wymysłami, dodając do nich kilka wcale silnych uderzeń pięścią.

— Znowu zaczynasz beczeć? — mruczał grożnie. — Przestańże raz mazgaić się, słyszysz?! Jeżeli nic innego robić nie umiesz, to ruszaj stąd precz, na złamanie karku! Czyś słyszała?

— Słyszę! Słyszę! — odpowiedziała dziewczyna, uśmiechając się z przymusem. — Cóż ci znowu do głowy takiego przyszło, Billu?

— Co przyszło, to przyszło, tobie nic do tego! — mruknął bandyta, spostrzegłszy łzy w jej oczach. — Wiecznie to samo... Powiadam, że najlepiej będzie, jeżeli się ode mnie raz odczepisz.

— Chyba dziś nie skrzywdzisz mnie Billu, prawda? — zapytała, kładąc rękę na jego ramieniu.

— Dlaczego nie? — wrzasnął Sikes.

— Tyle przecież nocy — prosiła go z odcieniem kobiecej tkliwości — tyle nocy czuwałam przy tobie, doglądałam cię, pielęgnowałam z największą troskliwością, jak gdybyś był małem dzieckiem, Billu, i oto dziś po raz pierwszy czujesz się znacznie lepiej. Przecież nie zaprzeczysz, że w tem jest moja zasługa. Gdybyś był o tem przed chwilą pamiętał, nie urągałbyś mi, nie znieważał, nie bił?... Wszak prawda, Billu? Proszę cię, bardzo proszę, powiedz, że nie uczyniłbyś tego...

— Dobrze już, dobrze! Nie uczyniłbym — mruknął Sikes. — Masz, czegoś chciała. Ale cóż, u stu par djabłów, ta dziewczyna znowu się maże? Do pioruna! Ty znowu beczysz?

— To nic, to nic — odparła Nancy, rzucając się na krzesło. — Nie zważaj na to, Billu, to przejdzie, wkrótce przejdzie.

— Co ma przejść? Co? — zagrzmiał Sikes. — Jakieś znowu głupstwa cię opętały? Wstań, ruszaj na cztery wiatry, nie wracaj już wcale, niech cię oczy moje nie widzą! Nie wracaj, powiadam, dopóki nie wywietrzeją ci z głowy te bzdurstwa.

W innym wypadku, Nancy byłaby spełniła bez wahania rozkaz kapryśnego bandyty, ale obecnie była zbyt słaba, wyczerpana, znużona. Krzykliwy rozkaz Sikesa miał ostatecznie ten skutek, że dziewczyna zemdlała, nie wysłuchawszy do końca jego przekleństw i wymysłów, któremi nie przestawał szafować.

Spostrzegłszy, co się stało, Sikes znalazł się w wielkim kłopocie. Wiedział, że płacz i omdlenia zapowiadają u Nancy zwykle atak histeryczny, połączony z jękami konwulsyjnemi, drgawkami, których bez doraźnych zabiegów nie można było usunąć. Podwoił tedy szafunek złorzeczeń, a widząc, że ten środek nie wywiera również żadnego skutku, zaczął wzywać pomocy.

— O co chodzi? — spytał Fagin, wsuwając głowę do pokoju.

— Pomóż mi ratować dziewczynę! — zawołał Sikes z niecierpliwością. — Nie stój jak malowany, nie rozprawiaj, nie wyszczerzaj zębów...

Fagin, wyraziwszy zdziwienie, zbliżył się spiesznie do dziewczyny i zajął się jej cuceniem; za nim wsunął się do izby Dawkins, położył na ziemi zawiniątko, które przyniósł ze sobą, wyrwał z rąk towarzyszącego mu Karolka Bates butelkę, odkorkował ją zręcznie zębami, wlał kilka kropel do ust dziewczyny, upewniwszy się przedtem osobiście, czy płyn jest dobry.

— Karolku, nadmij jej trochę powietrza mieszkiem od węgli — dysponował — Fagin niech otworzy jej zaciśnięte pięści, a Bill rozpuści suknię.

Wszystkie rozporządzenia, razem połączone i zastowane bardzo energicznie, zwłaszcza zaś środek, który Smyk polecił wykonać Karolkowi Bates, wywarły niebawem zbawienny skutek. Nancy odzyskała zmysły, usiadła na małym stołeczku przy swoim tapczanie i ukryła głowę w poduszce, pozostawiając Billowi zaszczyt przyjmowania gości, na których spoglądał on ze zdumieniem.

— Co wy tu robicie? Zły wiatr zapewne was tu zapędził...

— Nie zły wiatr, mój drogi — zaprzeczył Żyd — zły wiatr nikomu nic dobrego nie napędzi, a myśmy tu przynieśli coś tak dobrego, że się niewątpliwie ucieszysz i rozchmurzysz. Smyku, kochanie, rozpakuj zawiniątko i oddaj Billowi te kilka drobnostek, na które dziś rano wydaliśmy wszystkie nasze pieniądze.

Spełniając polecenie Fagina, Smyk rozwiązał spore zawiniątko, i zaczął wydobywać z niego różne przedmioty, które następnie Karolek stawiał w należytym porządku na stole, wychwalając szczególne zalety każdego z nich.

— Patrz, Billu, jaka wspaniała pieczeń — wołał z zachwytem, mlaszcząc językiem. — A oto pasztet ze zwierzyny, rozpływający się w ustach, jak masło... A tu całe pół funta dwudziestopensowej herbaty, tak mocnej, że dość wrzucić tylko łyżeczkę do wrzącej wody, żeby otrzymać całą kwartę arcydoskonałego napoju... Półtora funta cukru najlepszego gatunku, jaki kiedykolwiek wyrobiły ręce murzynów... Tu masz dwa bochenki chleba, funt świeżutkiego masła, potężny kawał sera z Gloster... To nie

koniec! Na ostatek zostawiłem najwspanialszy rarytas, coś nadzwyczjnego...

Przy ostatnich słowach Bates wydobył ze swych licznych i niezgłębionych kieszeni butelkę wina, zakorkowaną starannie, podczas gdy Smyk, z odkorkowanej już przedtem butelki, nalał sporą szklankę rumu, a Bill wychylił tę dozę bez żadnego namysłu i wachania.

— Doskonale! — zawołał Żyd, zacierając ręce z zadowoleniem — to ci wyjdzie na zdrowie, Billu, to ci wyjdzie na zdrowie!

— Na zdrowie! — powtórzył ironicznie Bill. — Mógłbym ze dwadzieścia razy umrzeć zanim raczyłbyś przyjść mi z pomocą. Jakżeś ty śmiał, łotrze haniebny, zostawiać mnie przez trzy tygodnie w tak fatalnem położeniu?

— Słuchajcie, moi chłopcy, słuchajcie, co on wygaduje... — rzekł Fagin, wzruszając ramionami. — I to wzamian za przyniesienie mu tylu pięknych rzeczy!

— Rzeczy są swoją drogą zupełnie dobre — odparł Sikes nieco łagodniejszym tonem — ale co macie na swoje usprawiedliwienie żeście zostawili mię ciężko chorego i bez żadnych środków do życia i zatroszczyli się tyle o mnie, jakbym był psem najwyżej. Odpędź go Karolku.

— Nie widziałem nigdy psa równie miłego — zauważył Karolek, spełniając życzenie Billa. — Wącha pieczeń, jak stara jejmość, idąca na targ. Z tym psem możnaby zrobić ładny majątek.

— Milcz mi zaraz — zagrzmiał Sikes na psa, który schował się za tapczan i warczał groźnie. — No, tłumaczcie się, nikczemnicy.

— Nie było mnie w Londynie przeszło tydzień — rzekł Żyd.

— A gdzieżeś się podziewał przez resztę czasu, przez pozostałe dwa tygodnie, gdyś mię zupełnie zaniedbał i pozwolił umrzeć z głodu niby szczurowi w jamie?

— To nie moja wina, Billu, zapewniam cię, że nie moja. Tak złożyły się okoliczności. Nie mogę ci tego szczegółowo wytłomaczyć, gdyż nie jesteśmy sami. Daję słowo honoru, że nie mogłem.

— Jakie słowo? — powtórzył Sikes szyderczo. — Chłopcy, dajcie mi kawał pasztetu. Muszę sobie poprawić smak po tem, co usłyszałem, inaczej zginę.

— Nie gniewaj się tylko, mój drogi — nalegał Żyd pokornie — i wierz mi, że zawsze o tobie pamiętam.

— Ręczę, że tak nie było — odezwał się Sikes z goryczą. — Intrygowałeś i knułeś coś, podczas gdy ja leżałem tutaj w ciężkiej chorobie, drżąc z zimna, cierpiąc głód i pragnienie. Bill zrobił to, Bill zrobił tamto, Bill zrobił wszystko, dopóki był zdrów, ale nic nie mogło cię zaspokoić. Gdyby nie ta dziewczyna, byłbym umarł niechybnie.

— Ależ, Billu — upominał Żyd, czepiając się jego słów — gdyby nie dziewczyna... A skąd masz tę dziewczynę? Ja ci ją przecież dałem.

— To prawda, Billu — odezwała się Nancy, która przez ten czas przyszła do siebie. — Daj mu pokój, daj mu pokój.

Wmieszanie się Nancy do towarzystwa sprowadziło rozmowę na inne tory. Żyd skinął nieznacznie na chłopców, a ci zaczęli bardzo gorliwie raczyć dziewczynę trunkami, wysilając się przytem na dowcipy. Dziewczyna przyjmowała poczęstunek niezbyt chętnie; tymczasem Fagin usiłował wszelkiemi sposobami ułagodzić Billa i wprowadzić go w lepszy humor.

— To wszystko bardzo pięknie — rzekł Sikes — ale musisz mię jeszcze dzisiaj w coś zaopatrzyć.

— Kiedy nie mam przy sobie ani pensa — odparł Żyd.

— Jeżeli nie masz tutaj, to masz w domu. Krótko mówiąc, musisz mi dać cokolwiek pieniędzy.

— Pieniędzy — powtórzył Żyd. — Skądże ich wezmę?

— Co mi do tego, skąd je weźmiesz! — ofuknął go Bill. — Przypuszczam, że sam nie wiesz, ile masz, gdyż policzenie tego coś zebrał, za dużo zajęłoby ci czasu. Rób co chcesz, a ja pieniądze dzisiaj mieć muszę.

— Ha, trudno — westchnął ciężko Żyd — jeżeli musisz, to ja ci trochę pieniędzy przyślę przez Smyka.

— Na to niema zgody, mój kochany — zaoponował Sikes. — Przebiegły Smyk jest zbyt przebiegły, żeby można było mu zaufać. Mógłby zapomnieć o doręczeniu mi pieniędzy, mógłby w drodze z niemi zbłądzić lub zginąć, mógłby go kto okraść, mógłby być porwany na czas pewien przez jakiego ogromnego ptaka... Potrafiłby się w każdym razie wykręcić, a ja na pieniądze czekałbym do sądnego dnia. Nancy pójdzie z wami i pieniądze mi przyniesie, a ja tymczasem nieco się zdrzemnę.

Po długich targach stanęło na tem, że Żyd zamiast żądanych przez Sikesa pięciu funtów doręczy Nancy trzy i pół funta; więcej dać nie mógł, a przynajmniej zaklinał się na wszystko, że zostanie mu zaledwie kilka szylingów. Sikes musiał się zgodzić na to. Gdy umowę zatwierdzono rumem, Sikes położył się spać, a Nancy udała się z resztą towarzystwa do mieszkania Fagina.

Znalazłszy się na miejscu, zastali Tobjasza Crackit, zabawiającego się grą w karty z Tomaszem

Chitling. Można się było łatwo domyślić, że ten ostatni padł ofiarą: przegrał wszystkie pieniądze, co do szeląga. Crackit nie był rad z tego, że przyjaciele zastali go z nowicjuszem na stopie zbyt poufałej. Ziewnął więc kilka razy, zapytał o zdrowie Billa, poczem wziął czapkę i zabierał się do wyjścia.

— A nie było tu nikogo, Tobjaszu? — zapytał Żyd.

— Ani żywej duszy — odparł Crackit, podnosząc kołnierz swego okrycia. — Piekielnie nudno w twojej dziurze, Fagin, i mówiąc sprawiedliwie, powinieneś zapłacić mi dobrze za to, że tak długo pilnowałem ci domu. Niech mię piorun trzaśnie, jeżelim się wkońcu tak nie znudził, jak sędzia przysięgły podczas posiedzenia. Byłbym z pewnością usnął mocno jak w New-Gate, gdyby wrodzona wspaniałomyślność nie była mię skłoniła do zabawienia tego oto nowicjusza. Przeklęte nudy.

Wykrzykując podobnie czas jakiś, Crackit zgarnął ze stołu wygrane pieniądze i schował je do kieszeni kamizelki z taką powagą i wyniosłością, jak gdyby te małe srebrne krążki nie przedstawiały żadnej wartości dla takiego jak on człowieka. Wkońcu wyszedł z izby z dystynkcją, którą podziwiał Chitling, zwracając specjalną uwagę na jego nogi i buty, przyczem oświadczył po jego wyjściu, że poczytuje sobie za wielki zaszczyt znajomość z takim jak Crackit człowiekiem i dlatego nie żałuje wcale przegranych pieniędzy.

— Z ciebie przedziwny chłopiec, Tomaszu! — zawołał uradowany Bates.

— Czy on mówi prawdę, czy drwi? — zapytał Chitling Żyda.

— Szczerą prawdę — odparł Żyd, klepiąc go protekcjonalnie po ramieniu i mrugając znacząco

na Karolka i Dawkinsa — z ciebie chłopiec poczciwy, mój drogi, bardzo poczciwy!

— A czy nie mam słuszności, utrzymując, że Crackit posiada nadzwyczajne zalety?

— Masz słuszność, mój drogi, niewątpliwie masz słuszność...

— Więc mam także słuszność, że można się chlubić taką znajomością, prawda, panie Fagin? — ciągnął dalej Tomasz.

— Zapewne, mój drogi, zapewne, taka znajomość to wielki zaszczyt. Karolek i Smyk zazdroszczą ci, Tomaszu, że Crackit zbliżył się do ciebie, a od nich trzyma się zdaleka.

— Ja się odrazu tego domyśliłem — zawołał Tomasz z triumfem. — Co zaś się tyczy przegranej, to, wyszedłszy na miasto, mogę ją sobie powetować.

— Zapewne, mój drogi, zapewne — potakiwał Żyd — a nawet powiem ci, że im prędzej to uczynisz, tem będzie lepiej dla ciebie. Nie trać przeto czasu, zabierz się niezwłocznie do rzeczy. Na Karolka i Smyka również już czas... Patrzcież: dziesiąta, a jeszczeście dziś nic nie zarobili. Do roboty, moi drodzy, do roboty!

Wszyscy trzej chłopcy, posłuszni rozkazowi, wyszli z mieszkania, a idąc ulicą, niemiłosiernie drwili z Chitlinga, chociaż on na to wcale nie zasługiwał. W zachowaniu się jego nie było nic tak dalece dziwnego i nagannego. Wiele inteligentnej młodzieży płaci daleko więcej od Chitlinga za to, żeby pokazać się w tak zwanem „towarzystwie“, a z drugiej strony nie są rzadkością wymuskani panicze, należący do „towarzystwa“, którzy swoje stanowisko klasowe opierają na takich samych podstawach, jak czynił to Tobjasz Crackit.

— Teraz, droga Nancy — odezwał się Żyd do dziewczyny po wyjściu chłopców — teraz pójdę po pieniądze. Widzisz, to jest kluczyk od małej, bardzo małej szafki, w której chowam zarobek moich chłopców. Nigdy nie liczę tych pieniędzy, a nawet nigdy na nie nie patrzę, bo niema co liczyć i niema na co patrzeć, moja droga... Zapewniam cię, że tak jest, Nancy. Jest to poprostu marny handel bez żadnego zarobku. Jeżeli go prowadzę, moja droga, to tylko dlatego, że lubię mieć młodych ludzi dokoła siebie. Takie już mam upodobanie. A drogo mnie ono kosztuje, moja Nancy, bo przecież muszę o nich pamiętać, muszę ich utrzymywać...

Nagle przerwał i szepnął, chowając kluczyk do kieszeni.

— Cicho! Ktoś idzie. Co to znaczy? Ktoby to mógł być?

Nancy siedziała przy stole z obojętnie założonemi na piersi rękoma, nie okazując wcale ciekawości, ani zaniepokojenia; skoro jednak usłyszała głos nadchodzącego gościa, zerwała z pośpiechem kapelusz z głowy oraz chustkę z ramion i rzuciła te przedmioty pod stół. Gdy Żyd na chwilę odwrócił się od drzwi i spojrzał na nią, zaczęła się uskarżać na nadzwyczajny ból głowy głosem słabym, cierpiącym, który nie zgadzał się zupełnie z jej niedawnemi a bardzo energicznemi ruchami. Żyd jednak nie zauważył tej sprzeczności, był zbyt zajęty nadchodzącym gościem.

— Poznaję go — szepnął — czekałem właśnie na niego... już jest na schodach... Nie wspominaj przy nim ani słowa o pieniądzach, droga Nancy... On niedługo tu zabawi... za dziesięć minut odejdzie.

To powiedziawszy, wziął ze stołu świecę i otworzył drzwi właśnie w tej chwili, kiedy gość ujął za klamkę.

Gościem tym był Monks.

— Bądź bez obawy, sir, to jedna z moich wychowanic — rzekł Fagin, widząc, że Monks cofa się z powodu obecności drugiej istoty.

— Siedź cicho, Nancy.

Dziewczyna przysunęła się do stołu, spojrzała na Monksa z pewną niedbałą obojętnością, następnie zaś wzrok utkwiła w ziemię; gdy jednak Monks zajął się rozmową z Żydem, zaczęła go ukradkiem badać oczyma tak ciekawie i pilnie, jak gdyby całą jego istotę nawskroś chciała przeniknąć.

— Co słychać nowego? — spytał Fagin.

— Bardzo wiele.

— A wiadomości czy dobre? — zapytał znów Fagin z pewną obawą.

— Nie są zanadto złe — odparł Monks z uśmiechem. — Tym razem powiodło mi się i chciałem właśnie z tobą pomówić.

Nancy przysunęła się bliżej do stołu, nie myśląc wcale opuścić izby, chociaż widziała, że Monks wskazał na nią. Żyd natomiast, przewidując, że Nancy, gdyby jej kazał wyjść z izby, mogłaby się wyrwać z jakąś uwagą o pieniądzach, wskazał w milczeniu ręką górne piętro i wyprowadził Monksa do sieni.

— Tylko nie prowadź mnie do tej przeklętej izby, w której rozmawialiśmy ostatnim razem — mruknął Monks.

Żyd roześmiał się i coś mu na to odpowiedział, poczem obaj udali się na wyższe piętro.

Zaledwie ucichło skrzypnięcie schodów, Nancy zerwała się z miejsca, zzuła trzewiki, spódnicę zarzuciła na głowę i owinęła w nią swoje ręce, a następnie stanęła przy drzwiach i czas jakiś podsłuchiwała uważnie. Upewniwszy się, że Żyd z swoim gościem weszli już do izby, wymknęła się do sieni

i zaczęła bez szelestu skradać się po schodach na górę.

Przez kwadrans izba mieszkalna Fagina była zupełnie pusta; dopiero po upływie tego czasu Nancy wróciła do niej również ostrożnie jak wyszła, a po chwili dały się słyszeć stąpania obu mężczyzn.

Monks opuścił dom zaraz i poszedł prosto na ulicę; Żyd zaś jeszcze raz udał się na górę, tam bowiem przechowywał pieniądze, gdy je przyniósł, zastał Nancy w kapeluszu i chustce, gotową do odejścia.

— Nancy, co tobie? — zawołał Żyd z przestrachem, cofnąwszy się wtył. — Jak ty wyglądasz? Jesteś blada, jak ściana!

— Blada? — powtórzyła Nancy, osłaniając oczy ręką.

— Śmiertelnie blada. Coś ty tu robiła? Co ci jest?

— Nic nie robiłam i nic mi nie jest — odparła niedbale, wzruszając ramionami. — Siedziałam zbyt długo zapewne w dusznej izbie. Do rzeczy jednak, Faginie, tam Bill czeka i niecierpliwi się z pewnością; odpraw mię już raz.

Fagin wyliczył jej pieniądze, żegnając każdą sztukę złota ciężkiem westchnieniem, ona zaś, zgarnąwszy otrzymaną sumę w rulon, schowała go w zanadrze i rzuciwszy Żydowi nerwowo „dobranoc“, wyszła z izby.

Znalazłszy się na ulicy, przysiadła na progu sieni jakiegoś domu i siedziała przez chwilę, jakby niezdolna do podjęcia dalszej podróży. Nagle zerwała się i zaczęła biec w stronę zupełnie przeciwną, niż ta, gdzie znajdowało się mieszkanie Billa. Przyspieszała kroku coraz bardziej tak, że nakoniec biegła już pędem. Wyczerpawszy siły, zatrzymała się, żeby odetchnąć, i w tej chwili załamała ręce

i wybuchnęła płaczem, jak gdyby z uświadomienia sobie, że nie może uczynić tego, co zamierzała.

Łzy przyniosły jej ulgę, przywróciły równowagę umysłu. Zwróciła się teraz tam, gdzie ją oczekiwano, a biegła równie szybko jak poprzednio, poczęści dlatego, by wynagrodzić czas stracony, poczęści zaś, aby zagłuszyć burzę, która huczała w jej głowie.

Jeżeli znać było na jej twarzy pewien niepokój, to Sikes przecież nie spostrzegł tego zupełnie; nie podnosząc się z tapczana, zapytał ją tylko, czy przyniosła pieniądze, a otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, rzucił szereg zwykłych przekleństw i zapadł w sen, przerwany jej nadejściem.

Było to wielkie szczęście dla dziewczyny, że Sikes otrzymał pieniądze, gdyż przez cały dzień następny był zajęty jedzeniem i piciem, co usposobiło go tak pogodnie, że nie miał czasu ani chęci zwracać na nią uwagę.

A Nancy tego dnia była dziwnie rozstrojona i zdenerwowana. Jej zachowanie się nasuwało przypuszczenie, że zamierza przedsięwziąć jakiś krok bardzo ważny i niebezpieczny, krok wymagający namysłu i rozwagi. Gdyby bystrooki Fagin widział ją wtedy, to z pewnością domyśliłby się czegoś; ale Sikes nie grzeszył bystrością umysłu w tym kierunku; podejrzenie i nieufność budziło w nim jedynie to, co bezpośrednio było związane z jego osobą; przytem, jak nadmieniliśmy wyżej, zabawiając się butelką, był w doskonałym humorze, i nie troszczył się wcale o to, co się koło niego działo.

Z nadejściem wieczora niepokój Nancy wzrastał coraz bardziej, a gdy mrok już zapadł, usiadła przy tapczanie swego towarzysza, oczekując niecierpliwie chwili jego zaśnięcia; była zaś tak blada i oczy błyszczały jej tak niezwykle, że nawet Sikes to spo-

strzegł. Leżąc na tapczanie, zalewał wewnętrzną gorączkę silnym grogiem i właśnie podawał Nancy próżną szklankę, aby ją trzeci czy czwarty raz napełniła, gdy zastanowił go nagle jej niezwykły wygląd.

— Niech mię piorun trzaśnie! — zawołał, wspierając się na rękach i wpatrując w dziewczynę — jak ty wyglądasz? Przypominasz trupa, który z trumny na świat wyszedł... Co ci jest?

— Co mi ma być? — odparła. — Nic mi nie jest. Dlaczego patrzysz na mnie tak srogo?

— Co za błazeństwa? — krzyknął bandyta, chwytając ją za ramię i szarpiąc gwałtownie. — Gadaj mi zaraz, co ci jest? O czem myślisz? No, gadaj zaraz!

— O wielu rzeczach, Billu — odpowiedziała, drgnąwszy lekko i przesuwając rękę po oczach... — Ale, mój Boże, co w tem dziwnego?

Wymuszona wesołość dziewczyny więcej jeszcze zastanowiła bandytę, niż jej dzikie spojrzenie i bladość twarzy, które przed chwilą zauważył.

— Ja ci powiem, co jest — rzekł po namyśle: — albo zaraziłaś się ode mnie gorączką i ona teraz cię trawi, albo w tem święci się coś bardzo niebezpiecznego... Przecież, do szatana, nie zamierzasz stąd uciec? Nie, tegobyś nie zrobiła!

— Czego? — spytała dziewczyna.

— Nie — mruczał bandyta, nie spuszczając z niej oka. — Gdybym wiedział, że mogłabyś coś podobnego uczynić, tobym ci już trzy miesiące temu był gardło poderżnął. Ale ona ma tylko gorączkę, ot co!

Pocieszając się tem przypuszczeniem, wychylił jednym tchem podaną szklankę grogu, a następnie, miotając przekleństwa, zażądał swego lekarstwa.

Nancy zerwała się skwapliwie i, odwróciwszy się do niego plecami, przyrządziła szybko lekarstwo, po-

czem trzymała tak długo filiżankę przy jego ustach, dopóki nie wypił całej jej zawartości.

— A teraz — rzekł bandyta — siadaj przy mnie i pokaż mi twarz, jaką masz dla mnie zwykle, bo inaczej tak cię naznaczę, że nie poznasz samej siebie.

Dziewczyna usiadła przy nim, on zaś uchwycił jej rękę, opuścił głowę na poduszki i patrzał na nią badawczo.

Po chwili zaczęła go ogarniać senność; to zamykał, to otwierał oczy, wtrząsał się, zrywał; czasem, wytrzeszczywszy oczy, toczył niemi dziko dokoła, aż wreszcie zasnął głęboko. Dłoń jego straciła siłę, już nie trzymał dziewczyny, wyprężone ramię opadło bezwładnie na pościel — leżał nieruchomie, jak kłoda.

— Nakoniec opjum wywarło skutek — szepnęła Nancy. — Bylebym jeszcze zdążyła...

Włożyła kapelusz na głowę, na ramiona zarzuciła chustkę, spoglądając co chwila na Sikesa, jakby obawiając się, czy nie otworzy oczu i nie zerwie się z tapczana, potem nachyliła się nad leżącym, pocałowała go w usta i cichutko wyszła z izby, zamykając ostrożnie drzwi za sobą.

Na ulicy spotkała nocnego stróża, kroczącego poważnie i ziewającego głośno.

— Która godzina? — zapytała, zatrzymując się przed nim.

— Za kwadrans dziesiąta — odparł stróż, podnosząc latarnię, aby przypatrzeć się pytającej.

— A ja ledwie za godzinę tam się dostanę... — szepnęła do siebie i szybko pomknęła ulicą.

Pozamykano już wiele sklepów i kramów w brudnej, ponurej dzielnicy, którą musiała minąć, żeby dostać się do zachodniej części Londynu. Na zegarach miejskich wybiła godzina dziesiąta, a ona biegła wciąż naprzód, potrącając przechodniów, przemyka-

jąc się pod łbami koni, brnąc śmiało i pewnie po grząskiem i śliskiem błocie.

— To chyba jakaś warjatka — rzekł ten i ów, widząc ją tak zapamiętale biegnącą.

Gdy dotarła do porządniejszej dzielnicy, ulice były bardziej puste, i jej nadzwyczajny pośpiech zwracał też większą uwagę. Niektórzy zaczęli za nią dążyć, chcąc się dowiedzieć, dokąd tak spiesznie zmierza, lecz nikt nie mógł dotrzymać jej kroku, każdy po pewnym czasie ustawał, i dziewczyna zupełnie osamotniona zbliżała się coraz bardziej do miejsca przeznaczenia.

Przy spokojnej, cichej ulicy, niedaleko Hydeparku, stał wykwintny hotelik.

Biła właśnie jedenasta, gdy Nancy stanęła naprzeciwko domu. Przez chwilę wahała się jeszcze, wreszcie odważyła się wejść do przedsionka hotelu. Odźwiernego nie było w loży — Nancy oglądała się dokoła bezradnie, kierując się ku schodom.

— Kogo tu szukasz, moja panno? — zapytała ją schludnie ubrana kobieta, wyglądając przez uchylone drzwi.

— Szukam pewnej pani, która zatrzymała się w tym hotelu — odpowiedziała Nancy.

— Pani? — powtórzyła kobieta niedowierzająco. — Co to za pani? Jak się nazywa?

— Panna Maylie.

Kobieta obrzuciła Nancy spojrzeniem obrażonej cnoty i, wezwawszy lokaja, poleciła mu rozmówić się z dziewczyną. Nancy powtórzyła mu swe żądanie, on zaś zapytał:

— Kogo mam oznajmić?

— Wprost nieznajomą; więcej nie potrzeba.

— A w jakim interesie?

— O tem dowie się sama panna Maylie; proszę tylko powiedzieć, że muszę się z nią rozmówić.

— Doprawdy? — zawołał lokaj z przekąsem. — Ruszaj sobie precz, moja panno!

To mówiąc, zamierzał wypchnąć ją za drzwi, lecz ona odezwała się gwałtownie:

— Czy niema tu jakiej poczciwej duszy, któraby zechciała wysłuchać prośby biednej dziewczyny i oznajmić ją pannie Maylie?

Słowa te poruszyły dobrodusznie wyglądającego kucharza, który wyglądał przez drzwi wraz z kilku innymi służącymi. Ujął on się za dziewczyną, zwracając się do lokaja:

— Co ci to szkodzi uczynić zadość prośbie tej dziewczyny, Jakóbie?

— Ależ to niepodobna! — odparł lokaj. — Nie przypuszczasz chyba, że pani zechce przyjąć kogoś takiego, co?

Aluzja, uczyniona do podejrzanego wyglądu Nancy, wywołała wstydliwe oburzenia ze strony służby rodzaju żeńskiego, która obstawała jednomyślnie przy tem, iżby ją, jako zakałę rodu niewieściego nietylko wyrzucić za drzwi, ale jeszcze wtrącić do kanału.

— Możecie ze mną uczynić, co zechcecie — mówiła Nancy, zwracając się znów do mężczyzn — ale przedtem zaklinam was w imię Boga, żebyście spełnili moje polecenie.

Dobrotliwy kucharz poparł błagania dziewczyny i ostatecznie przełamał niechęć lokaja.

— No, dobrze już, dobrze — rzekł ten ostatni, zwracając się ku schodom. — Ale co mam właściwie powiedzieć?

— Proszę powiedzieć — rzekła Nancy — że pewna dziewczyna przynosi bardzo ważną wiadomość, którą może powierzyć tylko pannie Maylie i to na osobności. Skoro panna Maylie usłyszy pierwsze moje słowa, będzie mogła osądzić, czy mam mówić

dalej, czy też należy mię wyrzucić za drzwi, jak oszustkę.

Lokaj udał się po schodach na górę.

Nancy blada, bez tchu prawie, pozostała w sieni, narażona na obelgi, których nie szczędziły jej cnotliwe służące. Nareszcie lokaj wrócił, oświadczając, iż panienka czeka na nią.

— I bądź tu uczciwą! — zawołała jedna ze służących.

— Oto dowód, że mosiądz jest teraz w większej cenie, niż złoto, które próbę ognia przebyło — dodała druga.

Trzecia poprzestała na krótkiej, lecz treściwej uwadze, że „panny z wyższego towarzystwa nie powinny się kompromitować“, a czwarta zaopinjowała krótko i węzłowato, że „to wstyd!“

Nancy wszakże nie zważała na te zjadliwe ataki — ważniejsze rzeczy miała na sercu. Drżąc cała, udała się za lokajem, który zaprowadził ją do małego pokoiku, oświeconego alabastrową lampą, i poleciwszy jej tu zaczekać, sam się oddalił.

Rozdział czterdziesty.

Dziwna rozmowa, która stanowi dalszy ciąg poprzedniego rozdziału.

Nancy całe swe dotychczasowe życie spędziła na ulicach Londynu, lub w najohydniejszych norach, ukrywających wyuzdaną rozpustę oraz wszelkie inne występki i zbrodnie, a jednak w jej sercu tliła słaba iskierka szlachetnych uczuć niewieścich. Teraz, usłyszawszy lekkie stąpanie, zbliżające się ku drzwiom, objęła myślą olbrzymią przestrzeń, jaka odgradzała dwie jednostki, które w tym pokoiku miały się spotkać, i uczuła się przygnębiona własną hańbą i poniżeniem. Zdawało się jej, że występek

olbrzymim ciężarem przygniata ją do ziemi; przez chwilę sądziła, że nie będzie mogła znieść obecności tej niewinnej, czystej dziewczki, do której dostała się z taką trudnością.

W pomoc przyszła jej ambicja, a raczej duma, która jest udziałem wszystkich bez wyjątku ludzi, zarówno najwyżej stojących, opromienionych blaskiem cnót i zalet, jak istot niżej upadłych.

Nędzna towarzyszka wszelkiego rodzaju złoczyńców, mieszkanka najwstrętniejszych jam, istota, skazana przez moralność na usunięcie z uczciwego społeczeństwa, nawet ta upadła dziewczyna miała w sobie za dużo dumy, aby się poddać upokorzeniu, aby zdradzić się z kobiecą uczuciowością. Uczuciowość ta uchodziła w jej oczach za słabość, choć był to właśnie jedyny węzeł, łączący ją ze społeczeństwem, podczas gdy wszelkie inne węzły zżarło i zniszczyło występne życie.

Podniosła oczy na tyle, by spostrzec przed sobą piękną i miłą postać; spuściła je potem ku ziemi i odezwała się tonem sztucznie obojętnym:

— Bardzo trudno dostać się do panienki i wyjednać posłuchanie. Gdybym była więcej drażliwą, byłabym odeszła, co uczyniłby każdy inny na mojem miejscu. Ale pani żałowałaby tego bardzo w przyszłości, i nie bez racji.

— Przykro mi bardzo, jeżeli odniesiono się do was niegrzecznie — rzekła Róża. — Nie myślcie o tem. Powiedzcie mi, co was do mnie sprowadza. Jestem osobą, o którą pytaliście.

Uprzejmy ton odpowiedzi, łagodny głos, prostota i szczerość obejścia, tak poruszyły Nancy, że rozpłakała się rzewnie.

— Ach, pani, pani! — zawołała, załamując ręce — gdyby było więcej takich jak pani na świecie,

daleko mniej byłoby na niem istot podobnych do mnie.

— Siadaj, proszę — przemówiła Róża serdecznie — postaram się pomóc ci w biedzie, czy zmartwieniu. Będę szczęśliwa, jeżeli uda mi się to uczynić. Siadaj.

— Pozwól mi stać, pani — odparła Nancy, wciąż płacząc — i... nie przemawiaj do mnie tak dobrotliwie, dopóki nie dowiesz się, com za jedna... Ale już bardzo późno, czy te drzwi zamknięte?

— Widzisz, że zamknięte — odpowiedziała Róża, cofając się nieco, gdyż pytanie nieznajomej dziewczyny dużo dało jej do myślenia. — Dlaczego pytasz, czy zamknięte?

— Dlatego, proszę pani — rzekła Nancy — że chcę złożyć w twoje ręce moje własne życie i życie kilku jeszcze osób. Ja jestem tą dziewczyną, która porwała małego Oliwera Twista z powrotem do Fagina, gdy szedł z domu do księgarni.

— Ty?! — zawołała Róża Maylie.

— Tak, panienko, ja! — potwierdziła Nancy — Widzisz przed sobą wspólniczkę złodziei i morderców... Nigdy, odkąd pamięcią mogę sięgnąć, nie miałam innego otoczenia, jak tylko hańbę i zbrodnię. Wychowałam się wśród ohydy ulicznej, wzrastałam wśród bezwstydu i występku. Nikt nie obdarzył mię uczciwem słowem. Niech pani nie odsuwa się ode mnie. Jestem znacznie młodsza, niż to z pozoru można sądzić; ale wśród nędzy, występku i rozpaczy, człowiek starzeje się szybko. Najuboższe kobiety unikają spotkania się ze mną...

— Straszne, okropne rzeczy! — szepnąła Róża, cofając się mimowoli.

— Niech pani dziękuje Bogu na klęczkach — wołała Nancy — że dał ci przyjazne serca, które od dzieciństwa otaczają cię dobrocią i opieką; że nie

dozwolił, byś doznała co to chłód i głód, pijaństwo i rozpusta i gorsze jeszcze od wszystkiego, z czem ja stykałam się od kolebki. Poznałam wstręt życia i całą jego hańbę. Była ona moją kolebką i będzie z pewnością śmiertelnem łożem...

— Żal mi cię serdecznie — rzekła Róża, głęboko wzruszona; — słuchając cię, serce się kraje.

— Niech Bóg błogosławi cię za twoją dobroć, panienko! Gdybyś wiedziała, co się ze mną czasem dzieje, z pewnością zapłakałabyś nade mną. Dziś uciekłam potajemnie od tych, którzyby mię zamordowali, gdyby się dowiedzieli, gdzie ja byłam, przybiegłam powiedzieć pani to, co przypadkiem podsłuchałam. Czy pani zna człowieka nazwiskiem Monks?

— Nie znam — odparła Róża.

— Ale on zna panią, a nawet wie, że znajdujesz się teraz tutaj. Od niego dowiedziałam się o twojem mieszkaniu, któregobym inaczej nie znalazła.

— Nie znam tego nazwiska zupełnie — powtórzyła Róża.

— Musi to być nazwisko przybrane, którego używa tylko u nas. Domyślałam się tego już dawno. W kilka dni po napadzie na wasz dom, kiedy to Oliwera wsunięto przez małe okienko do waszego mieszkania, podsłuchałam rozmowę, jaką Monks miał z Faginem. Podsłuchiwałam dlatego, że już dawno podejrzewałam go o złe zamiary względem Oliwera. Otóż wtedy dowiedziałam się, że Monks, zobaczywszy Oliwera w towarzystwie dwuch innych chłopców, kiedy to Fagin wypuścił go po raz pierwszy z domu na złodziejską praktykę — że Monks poznał w nim odrazu chłopca, którego poszukuje już dawno. Dlaczego biednego Oliwera poszukuje? — o tem nie mówił. Słyszałam tylko, że przyrzekł Faginowi sowicie zapłacić, jeżeli Oliwera znów odnajdzie,

ściągnie do siebie i wykieruje na złodzieja, gdyż jest mu to koniecznie potrzebne...

— Temu człowiekowi potrzebne, żeby Oliwer został złodziejem? — zawołała Róża. — Ale dlaczego?

— Nie mogłam już słyszeć jego wyjaśnień — odparła Nancy — bo spostrzegli mój cień na ścianie, kiedy stałam przy uchylonych drzwiach, podsłuchując, co mówią; musiałam ukryć się czemprędzej. Długo potem nie widziałam Monksa i zobaczyłam go dopiero wczoraj.

— I znów dowiedziałaś się czegoś nowego? — zapytała Róża.

— Zaraz opowiem, proszę pani. Wczoraj z wieczora przyszedł znowu do Fagina. Znowu udali się obydwaj do izby na piętrze, i ja też chyłkiem podążyłam za nimi. Najpierw wpadły mi w ucho te słowa Monksa: — Zatem ostatnie dowody jego pochodzenia leżą teraz na dnie rzeki, a ta stara czarownica, która ukradła je umierającej matce, gnije już dawno w grobie. — Gdy to powiedział, roześmiał się głośno, a Fagin wtórował mu, winszując szczęśliwego zakończenia sprawy. Monks odpowiedział na to — a czułam w jego słowach wściekłą jakąś zawziętość i nienawiść — że wprawdzie sprawa zakończyła się nadspodziewanie szczęśliwie i cały majątek tego „przeklętego chłopca“ — tak mówił o Oliwerze — należy teraz do niego, on jednak wolałby był w inny sposób dojść do niego. Sprawiłoby mu to niewypowiedzianą rozkosz, gdyby testament ojca został unieważniony, co mogłoby nastąpić w następujących okolicznościach: Oliwer staje się złodziejem, włóczą go po więzieniach, popełnia wkońcu jakąś ciężką zbrodnię, za którą sąd skazuje go na śmierć lub na wywiezienie z kraju. Mówił wreszcie, że Fagin mógłby się tego podjąć, a on zapłaciłby mu za to bardzo hojnie.

— Co to jest? — rzekła Róża.

— Najszczersza prawda — zapewniła gorąco Nancy. — Potem Monks wpadł w jakiś szał; złorzecząc i przeklinając straszliwie — do czego ja wśród moich towarzyszów jestem przyzwyczajona, pani jednak nie masz o tem najmniejszego pojęcia — powiedział, że sam pozbawiłby z wielką ochotą życia Oliwera i zaspokoiłby w ten sposób swoją nienawiść, ale nie chce narażać się na niebezpieczeństwo. Mimo to ani na chwilę nie spuści oka z Oliwera, będzie wszędzie na niego dybał, będzie go śledził, prześladował na każdym kroku, ponieważ, zniszczywszy dowody pochodzenia chłopca, ma teraz rozwiązane ręce. — Jesteś Żydem, Faginie — mówił — a przytem urodzonym szalbierzem i zbrodniarzem, mimo to nie masz wyobrażenia nawet, jak szelmowskich, jak zuchwałych podstępów zamierzam się chwycić, aby zgubić mego brata Oliwera...

— Jego brata! — krzyknęła Róża.

— Tak Monks wyraźnie powiedział — potwierdziła Nancy, oglądając się z obawą dokoła, bo zdawało się jej, że po pokoju snuje się groźny cień Billa. — I jeszcze coś powiedział. Mówiąc o pani i o jej opiekunce, wyraził się, iż niebo i piekło chyba sprzysięgło się przeciwko niemu i sprowadziło do was Oliwera. Potem zaczął się śmiać szyderczo, dodając: — Ale mam w tem pociechę, iż wiem, że chętnie daliby sto tysięcy funtów i więcej nawet, aby się dowiedzieć, kto jest ich ulubionym dwunożnym pieskiem.

— I utrzymujesz, że mówił to serjo? — zapytała Róża blednąc.

— Zupełnie serjo — odparła Nancy. — To człowiek, który nie żartuje, gdy owładnie nim nienawiść. Znam wielu zbrodniarzy, a jednak wolałabym mieć z nimi wszystkimi do czynienia, niż z nim jednym. Jest bardzo późno, mimo to muszę wrócić do domu

i wemknąć się tak, żeby nie zauważono mojej wycieczki. Spieszę się bardzo.

— Co ja mam robić — rzekła Róża. — Bez twojej pomocy nie będę mogła skorzystać z wiadomości, dostarczonych mi przez ciebie. Dlaczego chcesz wracać do środowiska, które przed chwilą odmalowałaś w tak strasznych barwach? Zostań, umieszczę cię w zupełnie bezpiecznem miejscu, gdzie nikt nie zrobi ci krzywdy.

— Chcę wrócić — rzekła Nancy — muszę wrócić... daruj mi to wyznanie.... pomiędzy owymi niegodnymi ludźmi, z którymi los mnie związał, znajduje się jeden, najniebezpieczniejszy ze wszystkich, którego nie mogę opuścić... Nawet za cenę wyrwania się z tego życia, jakie obecnie prowadzę.

— Twoja troskliwość o los kochanego Oliwera, przybycie tutaj z narażeniem się na niebezpieczeńswo, aby nas ostrzec i skłonić do przedsięwzięcia odpowiednich środków; twoje zachowanie się szczere i otwarte; świadomość twego nieszczęsnego położenia, wszystko to przemawia za tem, że możesz się poprawić i wstąpić na uczciwą drogę. O — ciągnęła dalej Róża ze łzami w oczach — usłuchaj mnie, usłuchaj głosu serca. Może jestem pierwszą, która w ten sposób zwraca się do ciebie... która okazuje ci głębokie współczucie i pragnie cię uratować... Usłuchaj mię, daj uratować siebie dla innego życia...

— Pani — zawołała Nancy, padając na kolana — dobra, droga, anielska pani! Pierwsza przemówiłaś do mnie w ten sposób, pierwsza uszczęśliwiłaś mię tak słodkiemi słowami! Gdybym usłyszała je przed kilku laty, byłyby mnie one może wybawiły z otchłani grzechu i zbrodni... ale dziś już za późno, za późno!

— Nigdy nie jest za późno na żal i na pokutę, — zauważyła Róża.

— Dla innych może, ale nie dla mnie! — jęknęła biedna dziewczyna, załamując ręce. — Ja nie mogę go opuścić! Nie mogę stać się przyczyną jego śmierci!

— Przyczyną jego śmierci?

— Nic go nie zbawi. Gdybym powiedziała innym to, co powiedziałam pani, i doprowadziła do tego, że dostałby się w ręce policji, już byłoby po nim On z nich najśmielszy i dokonał tylu zbrodni.

— I dla takiego człowieka wyrzekasz się uczciwej przyszłości? Dla niego odtrącasz pewność zbawienia? To szaleństwo!

— Może szaleństwo... Ja zresztą nie wiem, jak to nazwać... Wiem tylko, że nie jestem wyjątkiem, że nie ze mną jedną dzieje się coś podobnego. Wśród moich towarzyszek to rzecz powszechna. Muszę wracać. A może to kara Boża za grzechy... nie wiem. Obchodzi się ze mną strasznie, bije mię, — mimo to ciągnie mię coś do niego. Gdybym nawet wiedziała, że poniosę śmierć z jego ręki, i wtedy nie mogłabym się z nim rozstać...

— Mimo to nie powinnam cię puścić od siebie... — rzekła Róża.

— Nie uczynisz tego, pani, i uczynić nie możesz — odparła Nancy, wstając z klęczek. — Nie zatrzymasz mię, bo ci zaufałam, nie żądając wprzód żadnego przyrzeczenia z twej strony.

— Zważ jednak — nalegała jeszcze Róża — że bez twojej pomocy nie rozjaśnimy tajemnicy, która otacza Oliwera i od której wyjaśnienia zależy jego bezpieczeństwo? A przecież jedynie w celu uchronienia go od zguby przyniosłaś mi tak dziwne i zatrważające wiadomości...

— Moja pomoc nie jest konieczna — odparła Nancy. — Pani ma z pewnością rozumnych przyja-

ciół, powierzy im pani tę tajemnicę, a oni napewno nie odmówią swej rady.

— Jeśli jednak okażesz się koniecznie potrzebną, gdzie mam cię szukać? Nie sądź, że pragnę dowiedzieć się podstępnie o twojem i twoich towarzyszy mieszkaniu. Wyznacz tylko miejsce, w którym będę cię mogła w pewnym oznaczonym czasie znaleźć.

— A czy przyrzeknie mi pani zachować to miejsce w tajemnicy i zaręczy pani, że na schadzkę będziesz przychodziła sama, lub też w towarzystwie jednej tylko osoby, uwiadomionej o całej sprawie? Czy przyrzeknie mi pani, że nikt nie będzie na mnie czatował, ani mię śledził?

— Przyrzekam ci to — odparła Róża.

— W każdą niedzielę, pomiędzy jedenastą a dwunastą w nocy, będę przechadzała się po głównym moście londyńskim — rzekła Nancy bez wahania.

— Jeszcze słówko — zatrzymała ją Róża, gdy Nancy skierowała się ku drzwiom. — Zastanów się nad twojem nieszczęśliwem położeniem i nad tem, że zdarza ci się sposobność wyrwania się raz na zawsze z tego okropnego życia. Zyskałaś prawo do mojej pomocy nietylko dlatego, że przyniosłaś mi ważne wiadomości, ale także dlatego, że jesteś nieszczęśliwą kobietą. Czemu chcesz koniecznie wrócić do tych okropnych ludzi i do tego człowieka, kiedy jedno słowo może cię zbawić? Jaki urok ma dla ciebie życie w nędzy i hańbie? Czy niema w twojem sercu żadnej struny, którąbym mogła poruszyć? Żadnego uczucia, któreby mogło zwalczyć to zaślepienie?

— Jeżeli pokocha piękna, młoda i szlachetna dziewczyna, jak ty, pani, to oddaje niepodzielnie swoje serce ukochanemu, chociaż posiada krewnych, przyjaciół i wielbicieli, do których przywiązanie mogłoby jej życie wypełnić. Jeżeli taka nędznica jak ja, która niema żadnego innego schronienia prócz grobu,

żadnego przyjaciela w chorobie i śmierci prócz dozorczyni w szpitalu — jeżeli taka nędznica odda swoje skażone serce jakiemu mężczyźnie, jeżeli pozwoli mu wypełnić sobą straszną sierocą pustkę, to tembardziej oddaje mu je niepodzielnie i bez zastrzeżeń. Współczuj nam, pani, pożałuj nas, że to jedno jedyne uczucie, które nam pozostaje, i ono nawet wyrokiem ciężkim zamienia się w źródło cierpienia i gwałtu, a przestaje być dumą i pociechą.

— To chociaż — odezwała się Róża po namyśle — przyjmij ode mnie mały zasiłek, któryby pozwolił ci żyć bez hańby, przynajmniej tak długo, dopóki się z sobą powtórnie nie zobaczymy...

— Nie przyjmę ani pensa, proszę pani! — rzekła Nancy, cofając rękę.

— Nie zamykaj przede mną swego serca — rzekła Róża łagodnie. — Ja serdecznie pragnę wyświadczyć ci cośkolwiek dobrego.

— Wyświadczyłabyś mi pani największe dobrodziejstwo, gdybyś pozbawiła mię życia, gdyż ta myśl, kim jestem, sprawiła mi taką boleść, jakiej jeszcze nigdy dotąd nie doznałam, i doprawdy byłoby to dla mnie najlepiej, gdybym nie umarła w tem piekle, w którem dotychczas pozostaję. Niech Bóg cię błogosławi — niech zsyła na ciebie tyle szczęścia, ile ja ściągnęłam na siebie hańby.

Nancy wypowiedziała to ze łzami w oczach i łkając wybiegła z pokoju, zostawiając Różę przygnębioną tą szczególną rozmową, która wydała jej się narazie bolesnem i strasznem marzeniem sennem.

Rozdział czterdziesty pierwszy,

który zawiera nowe odkrycia i wykazuje, że zarówno miłe niespodzianki, jak i niepowodzenia rzadko kiedy przychodzą same.

Róża znalazła się w bardzo trudnem położeniu. Z jednej strony pragnęła gorąco odsłonić tajemnicę,

jaka okrywała pochodzenie Oliwera, z drugiej zaś bała się zdradzić zaufanie nieszczęśliwej dziewczyny, która z taką szczerością ostrzegła ją przed grożącem Oliwerowi niebezpieczeństwem.

Nancy całem swojem zachowaniem się ujęła Różę niezmiernie i wzbudziła w jej sercu nietylko pragnienia ratowania Oliwera, ale i stanowczy zamiar ocalenia zbłąkanej dziewczyny od zguby i sprowadzenia jej na uczciwą drogę.

Pani Maylie zamierzała zabawić trzy dni w Londynie, a następnie udać się do odległej miejscowości nadmorskiej. W tej chwili była północ pierwszego dnia. Jakąż akcję można przedsięwziąć w przeciągu pozostałych czterdziestu ośmiu godzin? Jak odwlec dzień wyjazdu, nie wzbudzając podejrzeń. Wprawdzie towarzyszył im pan Losberne, ale Róża, znając dobrze gwałtowność tego ze wszech miar zacnego człowieka, przewidywała zgóry oburzenie, jakiem wybuchnie w pierwszej chwili na dziewczynę, której sama bez cudzej pomocy nie potrafi obronić.

Z panią Maylie również musiałaby postępować bardzo oględnie, gdyż staruszka z wszelką pewnością zwróciłaby się przedewszystkiem o radę do pana Losberne. Dla wyżej wymienionych powodów niepożądanem również byłoby zwrócenie się o pomoc do prawnika. Przyszedł jej również na myśl Henryk Maylie, ale przypomniawszy sobie ostatnią z nim rozmowę, uznała za niewłaściwe ze swej strony narzucać mu się z osobistemi sprawami. Może zresztą — tu łzy napłynęły jej do oczu — może nosi się z innemi zamiarami na przyszłość i czuje się poza nią szczęśliwszy.

Snując najrozmaitsze plany i zamiary, skłaniając się do tego lub owego, to znów odrzucając je kolejno, jako nie prowadzące do celu, Róża przepę-

działa noc bezsennie. Nazajutrz rano, rozpatrzywszy się raz jeszcze w całej sprawie, zdecydowała się ostatecznie na przypuszczenie do tajemnicy Henryka.

— Nie widzę innej drogi — mówiła do siebie. — Zbliżenie się do mnie sprawi mu przykrość, ale mnie tem bardziej będzie boleśnie. A może nie przyjdzie na moje wezwanie, może mi tylko odpisze... A jeżeli przyjdzie, to będzie mnie unikał, będzie się starał nie mówić ze mną, jak to uczynił przed odjazdem. Nie sądziłam, że tak postąpi, chociaż... dobrze stało się dla nas obojga.

To brała pióro do ręki, to je odkładała; skreśliwszy kilka wyrazów, rozdzierała ćwiartkę papieru i brała nową, aby z nią to samo uczynić.

Tak zastał ją Oliwer, który wyszedł przed paru godzinami na miasto ze starym Gilesem, a teraz wpadł do pokoju zdyszany i podniecony, jakby go coś nadzwyczajnego spotkało.

— Co się stało? — zawołała Róża.

— Nie wiem, jak to powiedzieć — odparł chłopiec — coś mnie dławi w gardle. Panienko droga... nareszcie go znalazłem i teraz wszyscy będą mogli się przekonać, żem mówił prawdę...

— Ja nigdy nie posądzałam cię o kłamstwo, Oliwerze — rzekła Róża, głaszcząc go po głowie. — Cóż się jednak stało? O kim mówisz?

— Zobaczyłem przed chwilą tego pana... — trzepał radośnie Oliwer — tego czcigodnego staruszka, który się mną zaopiekował... pana Brownlow... o którym często opowiadałem...

— Gdzie?

— Wysiadał z powozu, a potem wszedł do pewnego domu. Nie przemówiłem do niego ani słowa, gdyż mię nie widział, a przytem osłupiałem z ra-

dości i nie mogłem ruszyć się z miejsca... Dopiero Giles udał się do odźwiernego i dowiedział się, że pan Brownlow od niejakiego czasu wprowadził się do tego domu. Oto jego adres dokładny. Co ja pocznę, kiedy go znów ujrzę i posłyszę.

Nie dając się porwać uniesieniom radości Oliwera, Róża przeczytała adres, podany jej na kartce, i postanowiła wykorzystać natychmiast uczynione odkrycie.

— Niech zaprzegną zaraz konie do kabrjoletu — zawołała. — Pojedziemy niezwłocznie do twego dobrodzieja, sama cię tam zawiozę. Ubierz się jak najprędzej. Zawiadomię ciocię, że wyjeżdżamy na godzinkę z domu.

Oliwerowi nie potrzeba było zalecać pośpiechu, tak że w pięć minut później dążyli kabrjoletem na Cravenstreet.

Znalazłszy się na miejscu, Róża, pod pozorem przygotowania pana Brownlow poleciła Oliwerowi zostać w powozie. Sama wysiadła i posłała panu Brownlow przez służącego swoją kartę, oznajmiającą, że przybywa w sprawie nie cierpiącej zwłoki. Po chwili służący wrócił, mówiąc, że pan Brownlow czeka na zapowiedzianą wizytę.

Róża, szybko przebiegłszy schody, znalazła się w niewielkim pokoju, pośrodku którego stał bardzo sympatyczny staruszek w długim zielonym surducie. W niejakiej odległości siedział również stary jegomość w nankinowych spodniach, z marsem na twarzy, z rękoma założonemi na gałce grubej laski.

— Witam panią — odezwał się uprzejmie staruszek w zielonym surducie. — Przepraszam panią bardzo... Sądziłem, że to jakaś niepożądana wizyta... Najmocniej panią przepraszam. Proszę, niech pani siada.

— Czy mam przyjemność mówić z panem Brownlow? — zapytała Róża.

— To moje nazwisko — odparł staruszek — a to mój przyjaciel Grimwig. Grimwig, czy nie byłbyś łaskaw zostawić na kilka chwil nas samych?

— To zbyteczne — zauważyła Róża. — Niech pan Grimwig nie zadaje sobie trudu, gdyż sprawa, która mnie tu sprowadziła, o ile wiem, nie jest mu obcą.

Pan Brownlow pochylił głowę. Pan Grimwig, który przywitał Różę bardzo sztywnym ukłonem i wstał z krzesła, teraz znów ukłonił się jej sztywno i usiadł na dawnem miejscu.

— Wiadomość, którą przynoszę, z pewnością zdziwi bardzo pana — odezwała się Róża, z niejakiem zakłopotaniem. — Wiem, że niezbyt dawno wyświadczył pan dużo dobrego chłopcu, którego kocham, sądzę więc, że ucieszy się pan, otrzymując teraz od niego wiadomość.

— Być może — odparł pan Brownlow.

— Chłopiec ten nazywa się Oliwer Twist — odpowiedziała Róża.

W tej chwili pan Grimwig, który dotychczas zdawał się być zatopiony w wielkiej książce, leżącej przed nim na stole, zamknął nagle ową księgę z wielkim hałasem i rzucił się gwałtownie na krześle, przyczem twarz jego wyrażała bezgraniczne zdumienie. Ochłonąwszy przecież z wrażenia, zawstydził się jakby swej porywczości, przybrał dawną postawę, wpatrzył się rzekomo obojętnie przed siebie i wydał głuchy, przeciągły świst, który jednak nie rozszedł się w powietrzu, lecz zapadł w czeluści jego żołądka.

Pana Brownlow również poruszyły słowa Róży, lecz doznanego wrażenia nie objawił w tak dziwny

sposób; przysunął się tylko z krzesłem bliżej do Róży i rzekł:

— Bądź pani łaskawa nie wspominać o żadnych dobrodziejstwach, to zupełnie niepotrzebne, ja zresztą nic o nich nie wiem. Co się zaś tyczy chłopca, to jeżeli pani posiada jakikolwiek dowód, który mógłby zbić złą opinję, jaką o nim musiałem powziąć, to proszę panią bardzo o przedstawienie mi go natychmiast.

— Oliwer jest złym chłopcem. Niech połknę moją głowę, jeżeli to nie jest chłopiec zgubiony! — mruknął pan Grimwig, jak brzuchomówca, nie poruszywszy ani jednym muskułem twarzy.

— Oliwer ma gorące serce i szlachetną naturę — przerwała Róża, płoniąc się nieco. — Opatrzność, która doświadczała go już od kolebki, obdarzyła go jednocześnie tylu pięknemi uczuciami i skłonnościami, że wystarczyłyby one na to, aby być chlubą człowieka, starszego od niego sześć razy.

— Ja mam dopiero lat sześćdziesiąt jeden — odezwał się pan Grimwig w ten sam sposób, jak poprzednio — a jeżeli Oliwer, do djabła, ma teraz lat dwanaście, to nie widzę, do czego możnaby tę uwagę trafnie zastosować.

— Niech pani nie bierze do serca gderań mego przyjaciela — rzekł pan Brownlow — on wcale nie myśli tego, co mówi.

— Właśnie, że myśli! — zaprzeczył pan Grimwig.

— Nie, nie myśli — rzekł pan Brownlow, zaperzając się coraz więcej.

— Niech zje swoją głowę, jeżeli nie myśli — warczał pan Grimwig.

— Jeżeli myśli, to wart jest tego, żeby mu ją odrąbano — odciął się pan Brownlow.

— A on radby zobaczyć tego, któryby się odważył to zrobić! — mruknął znów pan Grimwig, stuknąwszy laską o podłogę.

Staruszkowie, doszedłszy do tego punktu, poczęstowali się bardzo uroczyście tabaką, a następnie, zgodnie z uświęconym zwyczajem, podali sobie ręce.

—A teraz, proszę pani — rzekł pan Brownlow — wrócimy do przedmiotu, który interesuje tak bardzo dobre serce pani. Racz pani powiedzieć, jakie masz wiadomości o tym biednym chłopcu? Używałem wszelkich sposobów, aby go odnaleźć. Przepadł jak kamień w wodzie. W międzyczasie doszedłem do przekonania, iż pierwotne moje przypuszczenie, jakoby zbiegł umyślnie do dawnych towarzyszy, aby zmówić się z nimi i okraść mię — to przypuszczenie zostało mocno we mnie zachwiane.

Róża, która miała dość czasu, aby zebrać myśli i odzyskać spokój, opowiedziała zwięźle wszystkie przygody, które spotkały chłopca od czasu uprowadzenia go z domu pana Brownlow. zachowując tylko na chwilę pomyślniejszą informacje, otrzymane od Nancy — tę wiadomość bowiem uważała za właściwe zakomunikować tylko samemu panu Brownlow; opowiadanie swoje zakończyła zapewnieniem, że Oliwer w domu jej ciotki sprawował się wzorowo i że wielce się tem martwił, iż nie mógł swego dawnego dobroczyńcy odnaleźć, ażeby mu podziękować za doznane współczucie i pomoc.

— Chwała Bogu! — zawołał pan Brownlow. — Wiadomość ta mocno mnie raduje, wielką mi sprawia pociechę. Ale nie wiem jeszcze, gdzie on jest teraz? Szkoda — proszę wybaczyć mi ten wyrzut — szkoda, że pani nie przywiozła go ze sobą.

— Czeka na dole w powozie — odparła Róża.

— W powozie przed domem?! — zawołał pan Brownlow i wybiegł prędko z pokoju.

Skoro drzwi zamknęły się za nim, pan Grimwig podniósł głowę, oparł się o tył krzesła w ten sposób, że stanęło ono na jednej nodze i zaczął się kręcić z niem w kółko, podpierając się przytem laską. Ukończywszy szczęśliwie to akrobatyczne ćwiczenie, wstał, przebiegł szybko, kulejąc, pokój tam i napowrót, wreszcie stanął nagle przed Różą i ucałował ją bez dalszych wstępów.

Róża, zmieszana tą niespodzianką, nie wiedziała co począć; widząc to, pan Grimwig zawołał:

— Cicho! Cicho! To nic! — rzekł, widząc, że młoda panna zmieszała się bardzo. — Bądź pani bez obawy. Jestem przecież w tym wieku, że mógłbym być pani dziadkiem. Zacna z pani dziewczyna. Lubię panią za to. Ale otóż i oni.

To rzekłszy, usiadł szybko na dawnem miejscu, a gdy pan Brownlow wprowadził do pokoju Oliwera, przywitał chłopca nader uprzejmie.

Gdyby ta jedna chwila miała wynagrodzić Róży wszelkie troski i starania, poniesione dla chłopca, to i tak miałaby ona zapłacone za wszystko sowicie.

— Zapominamy, że jeszcze jedna osoba ma prawo do uczestniczenia w naszej radości — odezwał się pan Brownlow, pociągając za dzwonek. — Hola! Niech pani Bedwin przyjdzie tu zaraz.

Stara gospodyni nadeszła niebawem i zatrzymała się u drzwi, czekając na rozkazy swego pana.

— Jak widzę, wzrok twój słabnie, kochana Bedwin... — odezwał się pan Brownlow trochę szorstko.

— Prawda, panie, prawda — odparła staruszka. — W moim wieku wzrok traci na bystrości.

— I ja trochę wiem o tem. Ano, wdziejże okuiary i rozejrzyj się po pokoju; może znajdziesz kogoś, za kim tęskniłaś.

Pani Bedwin zaczęła szukać w kieszeniach okularów, ale Oliwer, nie mogąc dłużej wytrzymać, przypadł do niej i rzucił się jej w objęcia.

— Boże zmiłuj się nade mną! — zawołała, obejmując go — toż to mój poczciwy sierotka!

— Droga moja opiekunko! — wyszeptał Oliwer.

— A czy nie mówiłam, że wróci? Zawsze byłam przekonana, że wróci — mówiła, trzymając go w ramionach. — A jak on wspaniale wygląda, jak ładnie ubrany... Ho! Ho! Gdzieżeś ty bywał tak długo, co? Tak, ta sama poczciwa twarzyczka, tylko nie tak blada, jak wówczas... Te same oczy, tylko nie takie smutne... A ja wciąż miałam przed oczyma twój miły uśmiech, ciągle widziałam cię obok moich dzieci, które pomarły jeszcze wtedy, kiedy byłam młodą kobietą.

Mówiąc tak z rozrzewnieniem, staruszka to odsuwała nieco od siebie Oliwera, aby mu się lepiej przypatrzyć, to znowu przyciągała go, gładziła mu włosy i twarz, płakała i śmiała się naprzemian.

Tymczasem pan Brownlow udał się z Różą do sąsiedniego pokoju i tam ze skupioną uwagą wysłuchał jej opowieści o rozmowie z Nancy. Nowa ta wiadomość zaniepokoiła go i zdziwiła bardzo. Gdy Róża wyjaśniła mu następnie, dlaczego nie przypuściła odrazu pana Losberne do tajemnicy, uznał, iż postąpiła roztropnie i dodał, że podejmie się sam tego niełatwego zadania. Ponieważ zaś rzecz wymagała szybkiego i energicznego działania, pan Brownlow postanowił tego dnia jeszcze przybyć do mieszkania pani Maylie na wspólną naradę, Róża zaś miała przedtem uprzedzić ją o wszystkiem.

Umówiwszy się w ten sposób z panem Brownlow, Róża z Oliwerem wróciła do domu.

Przewidywania Róży nie były płonne. Pan Losberne, dowiedziawszy się o wizycie Nancy, oburzył się do najwyższego stopnia, i przedewszystkiem chciał oddać Nancy w ręce pana Blathersa i Duffa. W tym celu nawet wsadził kapelusz na głowę i zabierał się do wyjścia, aby wspomnianych agentów policji przywołać...

Pod wpływem pierwszego wrażenia byłby z pewnością ten zamiar doprowadził do skutku, nie biorąc pod uwagę następstw, jakieby ten krok mógł sprowadzić. Na szczęście pan Brownlow zapobiegł złemu. Przeciwko wybuchowi zapalczywego lekarza wystąpił z początku gwałtownie, ale następnie przedstawił tak wymowne i oczywiste argumenty, że zdołał wreszcie ułagodzic pana Losberne i odwieść od niewczesnego zamiaru.

— A więc co, do djabła, robić? — burczał pan Losberne, gdy wrócili do pań. — Więc mamy tym wszystkim włóczęgom i zbrodniarzom, męskiego i niewieściego rodzaju, najuniżeniej dziękować i błagać ich jeszcze, żeby raczyli łaskawie przyjąć kilkaset funtów, jako nagrodę i dowód wdzięczności za „szlachetną opiekę“ nad Oliwerem?

— Tu nie oto chodzi — roześmiał się pan Brownlow; — ale musimy postępować oględnie i ostrożnie.

— Ostrożność i oględność — mruknął pan Losberne. — Jabym tych wszystkich łotrów wysłał...

— Mniejsza o to, dokądbyś ich wysłał, mój doktorze — przerwał mu pan Brownlow. — Zastanów się jednak nad tem, czy wysłanie ich dokądkolwiek pomoże do osiągnięcia zamierzonego celu.

— Jaki cel? Co za cel?

— Musimy przecie dowiedzieć się o pochodzeniu Oliwera, i odzyskać jego majątek, który wydarto mu w nikczemny sposób. Przypuszczam, że to wszystko, co owa dziewczyna powiedziała, jest prawdą.

— Hm... w rzeczy samej — rzekł pan Losberne, wachlując się chustką od nosa. — Zapomniałem o tem zupełnie.

— A widzisz, doktorze — podchwycił pan Brownlow — gdyby udało się nam, nawet bez współudziału dziewczyny, pochwycić tych łotrów i oddać w ręce sprawiedliwości, cóżbyśmy w ten sposób osiągnęli?

— Powieszonoby przynajmniej kilku — poddał doktór — a mniej niebezpiecznych wywiezionoby do karnych kolonij.

— Nie przeczę — rzekł pan Brownlow z uśmiechem — ale do tego dojdą oni sami prędzej czy później. My zaś, przyspieszając podobne rozwiązanie sprawy i postępując z donkiszoterją, działalibyśmy na szkodę nas samych, a właściwie Oliwera, co zresztą na jedno wychodzi.

— Więc? — mruknął pan Losberne.

— Zaraz się wytłomaczę. Jasną jest rzeczą, że chcąc wykryć tajemnicę, musimy owego Monksa skłonić w jakikolwiek sposób do zeznania, a do tego będzie można dojść jedynie podstępem, schwyciwszy go wówczas, gdy nie będzie miał swych zbrodniczych pomocników pod ręką. Bo przypuśćmy, że udało się nam ująć go — cóż wtedy? Nie mamy żadnych dowodów. Przecież on — jak się zdaje — do owych łotrów nie należy, żadnej zbrodni wspólnie z nimi nie popełnił. Sąd mógłby go więc skazać jedynie na areszt za włóczęgostwo, a wtenczas pary z ust nie wypuści i zamiary nasze spełzną na niczem.

— Za pozwoleniem — przerwał Losberne — ośmielam się zapytać, czy uważasz pan za rzecz słuszną, żeby zostało dotrzymane przyrzeczenie, dane przez pannę Maylie dziewczynie; przyrzeczenie płynące z najchwalebniejszych pobudek, ale...

— Domyślam się o co pani chodzi, droga pani — przerwał pan Brownlow Róży, która chciała coś powiedzieć — przyrzeczenie pani zostanie święcie dotrzymane. Nie sądzę nawet, żeby to mogło zaszkodzić w naszem przedsięwzięciu. Zanim jednak szczegółowo ułożymy plan akcji, musimy się z tą dziewczyną zobaczyć i porozumieć, czy nie mogłaby ona dopomóc do schwytania Monksa; gdyby zaś tego uczynić nie chciała, to może dałaby nam przynajmniej jego dokładny rysopis i wskazała miejsca, gdzie się zwykle ukrywa, żebyśmy go w danym razie znaleźć i poznać mogli Nie możemy widzieć jej przed niedzielą, dzisiaj mamy dopiero wtorek. Przez ten czas musimy być cierpliwi, nikomu, nawet Oliwerowi, nie wspominać o tem, cośmy się dowiedzieli.

Panu Losberne nie podobała się ta pięciodniowa zwłoka, wkońcu jednak przyznał, że nic innego narazie przedsięwziąć nie można; gdy przytem pani Maylie i Róża uznały radę pana Brownlow za słuszną — i on również zaakceptował ją ostatecznie.

— Chętnie wziąłbym do pomocy mego przyjaciela, Grimwiga — rzekł pan Brownlow. — Jest to dziwak, ale posiada umysł niezmiernie bystry, mógłby więc bardzo nam się przydać. Jest z zawodu prawnikiem; kiedyś zamierzał poświęcić się adwokaturze, ale rzucił ją prędko, przeprowadziwszy w ciągu dwudziestu lat dwie sprawy zaledwie, co przemawia raczej na jego korzyść.

— Nie mam nic przeciwko temu, żebyś pan wezwał swego przyjaciela do pomocy w naszej sprawie — odezwał się pan Losberne — ale w takim razie proszę, żeby i mój przyjaciel również mógł działać z nami.

— Weźmiemy to pod głosowanie. Któż to taki?

— Syn pani Maylie, a stary przyjaciel panny Róży — odparł pan Losberne, rzucając na Różę znaczące spojrzenie.

Róża zapłoniła się po uszy, lecz nie zaprotestowała, prawdopodobnie dlatego, że czuła się w mniejszości; wskutek tego do tajnego komitetu w sprawie Oliwera weszli jeszcze pan Grimwig i Henryk Maylie.

— Zostanę dłużej w Londynie — nadmieniła pani Maylie. — Gdyż tylko tutaj możemy dojść do pomyślnego skutku zamierzonych poszukiwań. Dołożę wszelkich starań z mej strony, nie poskąpię czasu, ani pieniędzy na cel, obchodzący żywo nas wszystkich. Gotowa jestem rok cały nie wyjeżdżać z Londynu, jeżeli tego zajdzie potrzeba.

— Doskonale! — rzekł pan Brownlow, zacierając ręce. — Ale czytam na wszystkich twarzach chęć dowiedzenia się: dlaczego nie dążyłem w swoim czasie do stwierdzenia wiarogodności zeznań Oliwera, co do przebiegu jego życia? Dlaczego tak nagle opuściłem kraj i udałem się gdzieś bardzo daleko? Otóż proszę nie pytać mię o to wcale. Sam we właściwym czasie wyjaśnię, o ile, oczywiście, uznam tego konieczność. Proszę też mi wierzyć, iż to zastrzeżenie czynię nie z kaprysu, lecz z bardzo ważnych powodów. Nie chcę przedwcześnie obudzić pewnej nadziei, która może się nie ziści, a co gorsza — mógłbym nagromadzić nowe trudności w zajmującej nas wszystkich sprawie, która i bez tego nie jest łatwą do przeprowadzenia. A teraz czas już spożyć wieczerzę, która czeka na nas od dawna, oraz przywołać do towarzystwa Oliwera, który, pozostając długo w samotności, może pomyśleć, że chcemy go od siebie odsunąć, knujemy spisek w tym celu.

To rzekłszy, pan Brownlow podał rękę pani Maylie, doktór Losberne Róży, i wszyscy czworo udali się do jadalnego pokoju.

Rozdział czterdziesty drugi.

Stara znajomość Oliwera, zdradzająca wybitną genjalność, zjawia się w Londynie i zajmuje poważne stanowisko.

Wieczorem tego samego dnia, kiedy Nancy, uśpiwszy Billa opjum, udała się do Róży, dwie osoby szły drogą, wiodącą do Londynu.

Był to mężczyzna i kobieta, a raczej jeden osobnik rodzaju męskiego, drugi — żeńskiego.

Pierwszy należał do owych długonożnych, kościstych, wysokich postaci, których wiek bardzo trudno odgadnąć, gdyż w latach młodzieńczych wyglądają na zwiędłych, przeżytych mężczyzn, a doszedłszy wieku męskiego, mają pozór przekwitłych chłopców...

Towarzyszka jego była młoda, czerstwa, a przedewszystkiem silna, dźwigała na barkach nadzwyczaj ciężki tłomok.

Dążący za nią piechur nie był wcale zbytnio obciążony, niósł bowiem na końcu grubej laski, przerzuconej przez ramię, jedno tylko małe zawiniątko, zawierające w sobie tyle rzeczy, ile ich w zwykłej chustce do nosa pomieścić się może. Ta okoliczność, w połączeniu z niezwykłą długością nóg, pozwalała mu maszerować swobodnie i bez najmniejszego wysiłku wyprzedzać o jakie dwanaście kroków dziewczynę, ku której zwracał głowę niecierpliwie, wymawiając jej jakby opieszałość i nagląc do przyspieszenia kroku.

Idąc głównym gościńcem, nie rozglądali się po okolicy i nie zwracali na nic uwagi. Szli, bez zatrzymania się, chyba, że wypadło usunąć się na bok przed

nadjeżdżającą pocztą. Minąwszy Highway, piechur zatrzymał się i fuknął na towarzyszkę:

— Ruszaj się prędzej, Karolino! Doprawdy, co za leń z ciebie!

— Bardzo mi ciężko, Noe... — odezwała się niewiasta, ledwie dysząc z utrudzenia.

— Ciężko?! — powtórzył mężczyzna, przerzucając zawiniątko na drugie ramię. — Podoba mi się takie gadanie! Znowu przystajesz? Nie, z tobą można zupełnie stracić cierpliwość.

— Czy daleko jeszcze? — zapytała dziewczyna, usiadłszy na dużym kamieniu i ocierając dłonią pot kroplisty, który spływał obficie po jej twarzy.

— Niedaleko. Jesteśmy prawie na miejscu — odparł długonożny zbieg, wskazując ręką miasto. — Spojrzyj przed siebie: to już światła Londynu.

— Och! Do tych świateł będzie jeszcze dobre dwie mile! — jęknęła żałośnie kobieta.

— Czy dwie mile, czy dwadzieścia, to cię nie powinno obchodzić! — krzyknął brutalnie Noe Claypole, gdyż on to był właśnie. Ruszaj dalej, bo inaczej zapoznam cię z obcasem mego buta!

Czerwony nos Noego nabrał jeszcze ciemniejszej barwy, a że jego pan wykonał ruch, zapowiadający jakby wykonanie zamierzonej przedtem prośby, Karolina wstała ulegle i powlokła się dalej.

— Gdzie zatrzymamy się na noc, Noe? — zapytała po chwili.

— Skąd mogę wiedzieć — mruknął zapytany, którego humor stawał się coraz gorszy.

— Zapewne blisko rogatki?

— O, nie! — odparł pan Claypole — tego nie zrobię.

— Dlaczego?

— Jeżeli mówię, że tak a tak zrobię — rzekł z godnością pan Claypole — to powinno ci to wystarczyć bez dopytywania się o bliższe szczegóły.

— Nie masz o co się złościć — rzekła towarzyszka.

— Chcesz żebyśmy stanęli blisko rogatki... A wiesz, coby z tego wyniknąć mogło? Oto Sowerberry, który prawdopodobnie nas ściga, łatwoby nas tam znalazł i sprowadził napowrót z kajdankami na rękach i nogach — mówił Noe Claypole tonem szyderczym. — Nie, zapuśćmy się w najciaśnejsze uliczki; tam odnajdziemy jak najmizerniejszą gospodę i w niej zatrzymamy się tymczasem. Powinnaś codzień dziękować Bogu, że mam dobrą głowę. Gdybyśmy się byli prosto udali do Londynu i nie błądzili początkowo po okolicy, tobyś już dawno była schwytana, coby ci się zresztą słusznie za twoją głupotę należało.

— Ja wiem, Noe, że ty masz głowę nie od parady — potwierdziła Karolina — niesłusznie jednak zwalasz wszystko na mnie i mówisz, że mnieby tylko uwięziono. Gdyby mnie uwięzili, to i ciebie spotkałoby to samo.

— Ty przecież wzięłaś pieniądze, a nie ja — oburzył się Claypole.

— Ja wzięłam te pieniądze dla ciebie, mój drogi...

— A czy ja mam te pieniądze?

— To prawda, że nie masz ich przy sobie, bo mi je powierzyłeś, jak na poczciwego chłopca przystało — rzekła Karolina, głaszcząc mu brodę i ujmując go pod rękę.

Tak było rzeczywiście. Wprawdzie Noe Claypole był bardzo ostrożny i nie każdego zaszczycał swem zaufaniem. Jeżeli zaś zaufał Karolinie, to tylko dlatego, że gdyby ich schwytano, to znalezionoby pieniądze u Karoliny. On wówczas mógłby wyprzeć się

kradzieży i całą winę zwalić na nią. Oczywiście, nie zwierzył się Karolinie z tej głębokiej kombinacji, i oboje też w wielkiej przyjaźni wędrowali sobie razem.

Dążąc naprzód, godna para zatrzymała się na przedmieściu Islington, ale tylko tak długo, ile potrzeba było czasu na wymiarkowanie, że już naprawdę znajdują się w Londynie i że trzeba wybrać odpowiednią dzielnicę do dalszej wędrówki. Po chwili namysłu zapuścili się w labirynt wąskich, krętych, brudnych i ciemnych uliczek, leżących pomiędzy Grays Jan Lane a Smithfield, stanowiących jedną z najgorszych dzielnic Londynu.

Owemi ulicami posuwał się Noe Claypole, ciągnąc za sobą upadającą ze znużenia Karolinę. Szedł teraz nieco wolniej, przyglądając się bacznie szyldom szynkowni, upatrując najniepozorniejszej i najmniej uczęszczanej. Po niejakim czasie znalazł to, czego szukał. Był to istotnie szynk ostatniego rzędu, marny, plugawy, zdradzający najwyższe opuszczenie. Noe zbadał jego wygląd bardzo skrupulatnie, potem zdjął z ramion Karoliny tłomok, zarzucił go na swoje plecy i rzekł uprzejmie:

— Tu zanocujemy. Pamiętaj nie rozpuszczać języka, nie odzywać się, dopóki sam się o co nie zapytam. Co tam napisane na szyldzie?... — Pod Trzema... — no, jak dalej?

— „Pod Trzema Kalekami"... — przeczytała Karolina.

— Pod Trzema Kalekami... — powtórzył Noe. — To bardzo dobry szyld dla nas. Chodźmy, a pilnuj się i uważaj na mnie.

To rzekłszy, pchnął ramieniem spróchniałe drzwi i oboje weszli do szynku.

Zastali tam tylko młodego Żyda, z łokciami na stole, zajętego czytaniem dzienników. Spojrzał on bystro na Noego, a Noe spojrzał bystro na Żyda.

Gdyby Noe miał na sobie swój dawny ubiór wychowańca z Domu Miłosierdzia, szynkarz miałby rację dziwić się jego wizycie i oczy szeroko otwierać, ale ponieważ Noe rzucił skórzane spodnie i fartuch, a przywdział odzież, używaną przez ludność pracującą, to zdziwienie szynkarza było conajmniej nie na miejscu.

— Czy to gospoda „Pod Trzema Kalekami"? — zapytał Noe.

— Tak jest — odparł Żyd.

— Pewien jegomość, któregośmy spotkali po drodze, objaśnił nas, że możemy tu przenocować wygodnie i bezpiecznie — rzekł Noe, dając na stronie znak Karolinie, żeby zapamiętała ten jego wybieg.

— Nie wiem, czy będziecie mogli tu przenocować — wycedził powoli Barney — ale zapytam się.

— Dobrze. Tymczasem wskaż nam jaką osobną izbę, daj nam trochę zimnego mięsiwa i piwa — zażądał Noe.

Barney zaprowadził ich do sąsiedniej izby, przyniósł żądany posiłek i piwo, oświadczył, że mogą przenocować, i wyszedł, pozostawiając miłą parę sam na sam.

Izba leżała o kilka stopni niżej od izby frontowej i posiadała dziwne urządzenie. Oto w jednej ze ścian, na wysokości pięciu stóp od ziemi, znajdowało się maleńkie, o jednej szybce okienko, zasłonięte od strony szynkowni ciemną firanką; odsunąwszy tę firankę można było doskonale ogarnąć okiem całą izbę i widzieć co się w niej dzieje, nie będąc samemu spostrzeżonym; (okienko było umieszczone w najciemniejszym kącie izby pod belką).

Przez to okienko można było nietylko obserwować, lecz również doskonale podsłuchiwać.

Właściciel szynkowni, nie omieszkał i tym razem korzystać z opisanego okienka, lecz niedługo mógł obserwować swoich gości, gdyż przerwał mu to zajęcie Fagin, który przyszedł dowiedzieć się tutaj o kilku swoich wychowańcach.

— Sza! — przestrzegł go Barney — za ścianą mamy podróżnych.

— Podróżnych? — powtórzył szeptem Fagin.

— Tak jest — odparł Barney — podróżni zdaleka. Ale mogą wam się przydać, o ile się nie mylę.

Fagin przyjął tę wiadomość z wielkiem zainteresowaniem, wszedł na stołek, odsunął firankę i zaczął śledzić przez okienko podróżnych w izbie sąsiedniej.

Noe, rozparty wygodnie w krześle, pożerał łapczywie ogromne kawały pieczeni, zalewając je obficie piwem i udzielając swej towarzyszce homeopatycznych porcyj z zadysponowanej wieczerzy, z czego ona jednak była zadowolona, racząc się widokiem jego dobrego apetytu.

— Hm — mruknął Fagin, odwracając się do Barneya — podoba mi się ten młodzieniec. Może on bardzo nam się przydać, wie, jak należy traktować dziewczęta. Sprawuj się cicho, Barney, bo chciałbym wiedzieć, o czem mówią.

Znów wspiął się do okienka i nadstawił ucha z tak złowrogim i chytrym wyrazem twarzy, że można go było wziąć za szatana, dybiącego na dusze ludzkie.

— Teraz będę panem! — mówił Noe, wyciągając nogi przed siebie. — Niech djabli porwą wszystkie trumny, nie będę już sobie teraz niemi głowy zaprzątał! Będę żył po pańsku i ty także możesz być panią, Karolino, jeżeli zechcesz.

— O, ja wcale nie jestem od tego, mój drogi Noe — odparła Karolina. — Ale trzeba o tem pamiętać, że nie zawsze można wypróżnić cudzą kasę tak szczęśliwie, jak się to nam teraz zdarzyło.

— Co tam kasy! Do piekła z niemi! Są inne rzeczy, które można wypróżniać.

— Naprzykład? — zapytała Karolina.

— Sakiewki, pugilaresy, domy bankowe i prywatne, wozy pocztowe... — odparł Claypole, któremu piwo dodawało rezonu.

— Do tego trzeba umiejętności, mój Noe — odparła Karolina.

— Znajdę takich, co wyuczą mię tego rzemiosła — pocieszał się Noe. — Tacy majstrowie potrzebują pomocników. Ty, Karolino, jesteś warta pięćdziesięciu kobiet. Nie znałem tak przebiegłej i chytrej kobiety, jaką ty jesteś.

— Jak przyjemnie słuchać takich rzeczy, mój drogi — zawołała Karolina, wyciskając pocałunek na jego szpetnej twarzy.

— Dosyć już, nie lubię tego cmokania! — ofuknął Noe, uwalniając się z wielką powagą z jej uścisku. — Pragnąłbym być hersztem bandytów, dowodzić nimi, rozkazywać im i śledzić ich wszędzie w ten sposób, żeby oni o tem nie wiedzieli. Takie zajęcie przypadałoby mi do gustu, gdyby było bardzo zyskowne. Gdybyśmy mogli zapoznać się z jakim majstrem tego rzemiosła, byłoby nam wcale na rękę. Taka znajomość przyniosłaby nam więcej korzyści, niż posiadanie dwudziestofuntowego banknotu, który obawiam się zmienić.

Powiedziawszy to, podniósł kufel, obejrzał go pod światło okiem znawcy, wychylił haustem, i znów łyknąć zamierzał, gdy przeszkodziło mu w tym zamiarze niespodziane wejście nieznajomej mu osoby.


George Cruikshank

Owym nieznajomym był Fagin.

Wsunął się do izby z twarzą słodko uśmiechniętą, a skłoniwszy się podróżnym uniżenie, usiadł przy najbliższym stoliku i zażądał od złośliwie przyglądającego się Barneya trzech szklanek grogu. Zatarł potem ręce, odchrząknął i zwrócił się do podróżnych:

— Wieczór mamy pogodny, ale na obecną porę roku trochę za chłodny. Jak widzę, przychodzicie zdaleka?

— Po czemże to poznałeś, mój panie? — zapytał Noe Claypole.

— Jesteście zapyleni od stóp do głowy — odparł Fagin, wskazując ich obuwie, odzież i tłomoki — a my tu w Londynie tyle pyłu nie mamy.

— Uważam, że jegomość jest przebiegły — rzekł Noe. — Ha, ha, ha! Słyszałaś Karolino?

— Co robić, mój drogi młodzieńcze, co robić? — odezwał się Żyd poufnie, zniżając głos do szeptu. — My, mieszkając w mieście, musimy być przebiegli.

Uczyniwszy tę uwagę, Fagin poklepał się palcem po nosie, a ruch ten tak podobał się Noemu, że usiłował go naśladować, co mu się jednak niezbyt udało, gdyż nos jego nie posiadał odpowiednich rozmiarów.

Fagin, wywnioskowawszy z tego, że Noe podziela jego zdanie, uśmiechnął się, kiwnął głową, poczem zaprosił podróżnych do grogu, który Barney przyniósł w tej chwili.

— Doskonały grog — chwalił Noe, mlaszcząc ustami.

— Ale mój drogi — zauważył Fagin. — Kto chce mieć taki trunek na każde zawołanie, musi wypróżniać cudze sakiewki, pugilaresy, kasy domów bankowych i prywatnych, wozy pocztowe...

Noe, usłyszawszy dosłowne powtórzenie swoich zamiarów, zbladł jak płótno, rzucił się na krześle

i osłupiałym wzrokiem spoglądał to na Żyda, to na swoją towarzyszkę.

— Uspokój się, mój drogi — rzekł Fagin, przysuwając się z krzesłem do niego. — Ha, ha! Wielkie to zaiste szczęście dla ciebie, kochanku, że to ja tylko to słyszałem... Tak, tak, wierzaj, to wielkie szczęście...

— Ja nic nie wziąłem... — wyjąkał Noe, który nie wyciągał już nóg przed siebie, lecz siedział z nogami skulonemi pod krzesłem. — To ona, Karolina, wszystko zrobiła... No, powiedz sama, Karolino, czy to nie prawda?

— Sza! Sza! Spokój! — mitygował go Fagin, spoglądając łapczywie na tłomoki dziewczyny. — Tu wcale nie chodzi o to, kto wziął te rzeczy, ani kto niemi teraz rozporządza, mój drogi... Trzeba ci wiedzieć, że ja sam trudnię się czemś podobnem i dlatego podobasz mi się, kochanku.

— Czem się trudnicie? — zapytał Noe, oddychając trochę swobodniej.

— Tego rodzaju rzemiosłem — odparł Żyd. — Wszyscy mieszkańcy tego domu prowadzą to rzemiosło. Trafiłeś bardzo szczęśliwie, gdyż w tym domu jesteś zupełnie bezpieczny. Niema w całym Londynie bezpieczniejszego miejsca, jak gospoda „Pod Trzema Kalekami". To jest, dom ten jest bezpieczny wówczas, kiedy ja chcę tego. A wyście mi się bardzo podobali, ty i młoda dziewczyna... Bądźcie zatem zupełnie spokojni, moi drodzy, nic złego was tu nie spotka.

Zapewnienia Żyda nie uspokoiły Noego, bo wciąż kręcił się i poprawiał na krześle, a na nowego znajomego spoglądał z obawą i podejrzliwością.

Żyd tymczasem do Karoliny się zwrócił, szepnął jej wiele słów pochlebnych i uspakajających, a następnie znów zatarł ręce i do obojga przemówił:

— Powiem wam coś więcej jeszcze — ciągnął dalej Fagin, uspokoiwszy Karolinę porozumiewawczemi gestami i szeptami słowy — mam bardzo dobrego przyjaciela, który może wam dopomóc i wprowadzić na właściwą drogę. On was nauczy tej gałęzi naszego rzemiosła, jaka wam przypadnie do gustu.

— Czy w tem, co mówicie, niema przypadkiem jakiego figla? — zapytał niedowierzająco Noe.

— Dlaczegobym miał was okłamywać? — wzruszył ramionami Żyd. — Pójdź ze mną na chwilę do drugiej izby, pomówimy ze sobą w cztery oczy.

— Poco mamy zadawać sobie fatygę i ruszać się stąd — rzekł Noe, wydobywając nogi z pod krzesła i wyciągając je znów przed siebie. — Ta dziewczyna zaniesie nasze rzeczy na górę. Karolino — zabierz te tłomoki.

Karolina, nie rzekłszy słowa, zabrała węzełki, a Noe trzymał drzwi i śledził za nią oczyma.

— A co? Wszak dobrze wyćwiczona? — zapytał, wracając na miejsce i mówiąc tonem pogromcy dzikich zwierząt.

— Bardzo dobrze — pochwalił Żyd, klepiąc go po ramieniu. — Z ciebie doprawdy genjusz, mój drogi!

— Gdybym nim nie był, to nie siedziałbym z wami przy tym stole — wycedził Noe. — Ale do rzeczy. Spieszmy się, bo ona niebawem wróci.

— Więc jak myślisz, mój drogi? — zaczął Żyd — Co mówisz na moją propozycję?

— Niby co myślę o tym waszym przyjacielu?

— Tak. Dobrze byłoby zawrzeć z nim umowę.

— Hm... — rzekł Noe, mrugając małemi oczkami — to zależy... Muszę naprzód wiedzieć, czy jego interes przynosi dobre i pewne zarobki?

— Daję ci na to moją rękę — zapewnił Żyd — zatrudnia wiele osób i to z najlepszego towarzystwa,

— Ludzie jego są tutejsi? — wypytywał Noe.

— Wszyscy z miasta, niema pomiędzy nimi ani jednego z prowincji. Nie przyjąłby ciebie nawet z mego polecenia, gdyby mu teraz przypadkiem nie było potrzeba zdolnych ludzi.

— Czy ten wasz przyjaciel żąda jakiego wpisowego? — zagadnął Noe, uderzając się ręką po spodniach.

— Oczywiście. Bez tego nie może być mowy o niczem — rzekł Fagin stanowczo.

— Dwadzieścia funtów! — mówił Noe. — To bardzo dużo...

— Gdzie tam dużo! To nic prawie, zwłaszcza, jeżeli kto ma te pieniądze w jednym banknocie, którego nie może zmienić. Bank zna z pewnością jego numer i datę. Z takim papierem trzeba ostrożnie manewrować.

— Kiedy mogę się z nim widzieć? — spytał Noe z niedowierzaniem.

— Jutro rano.

— Gdzie?

— Tutaj.

— A jaki będę miał zarobek — zapytał jeszcze Noe?

— Będziesz sobie żył, jak pan, bez żadnych kłopotów — rzekł Fagin; — będziesz miał mieszkanie, wikt, tytoń, wódkę i jeszcze połowę tego, co ty sam zarobisz, i tego, co zarobi twoja dziewczyna.

Noe Claypole byłby prawdopodobnie nie zgodził się na propozycję, chociaż mu ją Fagin w tak świetnych przedstawiał barwach; ale rozważywszy, że nowy przyjaciel, znając doskonale jego położenie i zamiary, z jakiemi przybył do Londynu, trzyma go w swej mocy i, w razie odmowy, może oddać go

w ręce policji, doszedł do wniosku, że nie pozostaje mu nic innego, jak zgodzić się i przystać do niego.

— Ano, spróbuję. Zobaczymy co z tego będzie. Moja dziewczyna jest bardzo sprytna, można użyć ją do najcięższej roboty; co zaś do mnie, to pragnąłbym mieć jakie lżejsze zajęcie.

— Rozumiem — rzekł Żyd — chciałbyś mieć zajęcie wesołe i zabawne?

— Właśnie! — potwierdził Noe. — Tak, tak, nic ciężkiego, nic trudnego i nic niebezpiecznego... Znajdzie się coś w tym rodzaju? Powiedzcie szczerze.

— Dlaczego nie? — rzekł Żyd... — Zdaje się, że chętniebyś się podjął tajemniczego śledzenia ludzi... Otóż mój przyjaciel potrzebuje takiego człowieka.

— Nie przeczę, że chętniebym się tego podjął — odparł Noe — ale to samo przez się, nie przynosi żadnej korzyści.

— To prawda — mruknął Żyd, rozmyślając nad czemś, czy też udając, że rozmyśla.

— A więc co? — zapytał Noe, patrząc na swego nowego przyjaciela z obawą — jak myślicie... gdybym, naprzykład, wziął się do łowienia drobnych rzeczy, i to w ten sposób, żeby się bardzo nie narażać.

— Hm... a co powiesz o starych, bogatych kobietach? — odezwał się Żyd. — Bardzo korzystne zatrudnienie, wyciągać pierścionki, bransolety, a potem znikać za rogiem ulicy.

— Hm... — mruknął Noe, kręcąc niechętnie głową — takie stare baby zwykle wrzeszczą okropnie, a czasem nawet drapią. Nie sądzę, żeby ten rodzaj zajęcia odpowiadał memu usposobieniu. Wynajdźcie co innego. Czy nie macie innego wakansu?

— Poczekaj — zawołał Żyd, kładąc rękę na jego kolanie. — Mam coś! To właśnie będzie dla ciebie: „taniec z bębnami".

— Co to takiego? — zapytał Noe.

— Bębnami, mój drogi — objaśnił go Żyd — nazywamy małe dzieci, wysyłane przez matki do miasta po zakupy jakich drobiazgów. Otóż „tańczyć z bębnami" znaczy wyrywać owym dzieciom z rąk pieniądze, które mocno trzymają one w garści, dzieci wywracać do rynsztoka i iść sobie dalej najspokojniej, tak jakby dziecko upadło samo, nabiło sobie guza i wrzeszczało z tego powodu. Ha, ha, ha!

— Ha, ha, ha! To bardzo zabawne — śmiał się Claypole, podnosząc z uciechy nogi do góry — takie zatrudnienie podoba mi się bardzo.

— A widzisz, żem ci trafił do gustu — rzekł Fagin. — Odbywając taki taniec w Candew-town, Barfle-bridge i w dzielnicach sąsiednich, możesz liczyć na znaczne zyski, na obfite żniwo, gdyż tam mnóstwo dzieci posyłają z pieniędzmi do sklepów. Ha, ha, ha!

W tem miejscu Żyd uderzył Noego w bok i obydwaj wybuchnęli długim i głośnym śmiechem.

— Zatem zgoda — rzekł Noe, poważniejąc na widok wracającej Karoliny. — O której godzinie zobaczymy się jutro?

— Niech będzie o dziesiątej.

— A kogo mam przyjacielowi memu zapowiedzieć?

Noe był przygotowany na to pytanie, odparł więc bez zająknienia:

— Pana Bolter... Pana Maurycego Bolter i panią Bolter.

— Doskonale. A zatem dowidzenia panu, panie Bolter, uniżony sługa pani Bolter — kłaniał się Żyd

z przesadną grzecznością. — Mam nadzieję, że zawrzemy wkrótce bliższą znajomość.

— Karolino! — zagrzmiał Noe — nie uważasz, że ten pan żegna się z tobą?

— Uważam, mój drogi Noe, uważam — odparła pani Bolter, podając Żydowi rękę.

— Ona nazywa mię Noem, tak... pieszczotliwie — objaśnił Fagina pan Maurycy Bolter, były Noe Claypole — pan rozumie?

— Rozumiem bardzo dobrze — odparł Fagin. — Dobranoc państwu. Dobranoc.

Żyd wysunął się w ukłonach za drzwi, a Noe, zaleciwszy Karolinie skupić całą uwagę, zaczął ją wtajemniczać w treść zawartej przed chwilą umowy. Przemawiał przytem z godnością i poczuciem wyższości, należnej nietylko przedstawicielowi rodzaju męskiego, ale również gentlemanowi, który docenia należycie stanowisko tancerza z bębnami w Londynie i okolicy.

Rozdział czterdziesty trzeci,

w którym jest opowiedziane, jak przebiegły Smyk znalazł się w trudnem położeniu.

— Więc to pan sam jesteś swoim przyjacielem? — zawołał pan Claypole, inaczej Bolter, gdy Fagin, na mocy zawartej umowy, zaprowadził go następnego dnia do swego mieszkania. — Czemu nie domyśliłem się tego wczoraj.

— Każdy człowiek jest przyjacielem samego siebie, mój drogi — rzekł Żyd szyderczo — i lepszego przyjaciela nie znajdzie na całym świecie.

— Zdarzają się wyjątki — zauważył Maurycy Bolter, usiłując nadać sobie ton światowego bywalca. — Są ludzie, którzy dla samych siebie są największymi wrogami.

— Nie wierz temu, mój drogi — zaprzeczył Żyd. — Jeżeli człowiek staje się dla siebie wrogiem, to tylko dlatego, że jest zbyt wielkim swoim przyjacielem, a nie dlatego, że troszczy się tylko o siebie. To już leży w naturze ludzkiej.

— Jeżeli tak jest rzeczywiście — wywnioskował Bolter — to jednak tak być nie powinno.

— To kwestja do dowiedzenia, mój drogi — rzekł Żyd. — Niektórzy mędrcy utrzymują, że liczba trzy jest liczbą kabalistyczną, inni znowu twierdzą, że taką liczbą jest siedem. Otóż, mój drogi, ani ta, ani tamta; liczbą kabalistyczną jest jedynka.

— Ha, ha, ha! Wybornie! — roześmiał się Bolter. — Niech żyje liczba jeden.

— W takiem szczupłem gronie jak nasze — rzekł Żyd, który uważał za rzecz niezbędną wyjaśnić ten punkt bliżej — jedność stanowi liczbę zbiorową, to znaczy, że ty nie możesz uważać siebie za jedność, nie poczytując mię jednocześnie za taką jedność, oraz nie czyniąc tego samego w stosunku do innych członków grona.

— Do djabła! — zawołał Bolter...

— Widzisz więc — ciągnął dalej Fagin, udając że nie słyszy tego okrzyku — widzisz, że my wszyscy jesteśmy tak ściśle ze sobą złączeni wspólnością interesów, tak wzajem od siebie zależni, że tak być musi, jak mówiłem. Naprzykład. Ty, mój drogi, zamierzasz dbać o liczbę jeden, rozumiejąc przez nią samego siebie...

— Nieinaczej — podchwycił Bolter — to zupełna prawda.

— Ale — ciągnął Żyd — ty nie możesz dbać o siebie, jako o liczbę jeden, nie dbając także o mnie, jako o liczbę jeden.

— Czyli o liczbę dwa — podchwycił Bolter, obdarzony bogato zmysłem interesowności i samolubstwa.

— Bynajmniej. Ja jestem tyle wart dla ciebie, ile ty sam dla siebie.

— Widzę — przerwał Bolter — że jesteście bardzo miłym człowiekiem, to też czuję do was wielką sympatję; mimo to nie jesteśmy jeszcze tak bliskimi przyjaciółmi, jak to przedstawiacie.

— Zastanów się, mój drogi — mówił Żyd, wzruszywszy ramionami; — trzeba, żebyś się zastanowił nad tem, co mówię. Popełniłeś gdzieś piękny uczynek, za który cię lubię, ale który jednocześnie mógłby ci owinąć koło szyi krawat, łatwy do zawiązania, lecz trudny do rozwiązania — słowem — stryczek.

Bolter mimowoli podniósł rękę do chustki na szyi, jak gdyby go ona nagle zaczęła uwierać i jednocześnie mruknął coś pod nosem, co mogło uchodzić za przyznanie słuszności rozumowaniu Żyda.

— Szubienica, mój drogi — wykładał w dalszym ciągu Fagin — to bardzo brzydki drogowskaz, który stoi na gwałtownym zakręcie i który wielu dzielnym osobnikom złamał na szerokiej drodze karjerę. Utrzymać się na obranej drodze i nie zawsze o szubienicę, musi być dla ciebie przedmiotem numer jeden.

— Oczywiście — odparł Bolter — ale dlaczego mówicie o tyle rzeczach?

— Dla jaśniejszego wytłomaczenia mej myśli — rzekł Żyd, podnosząc brwi do góry. — Ażeby dojść do pomyślnych rezultatów, musisz być w zależności ode mnie; ażeby nasz skromny interes szedł pomyślnie, ja uzależniam siebie od ciebie. Pierwsze — jest twoją liczbą jeden, drugie — moją liczbą jeden. Im większą wagę będziesz przywiązywał do

swojej liczby jeden, tem gorliwiej musisz się starać o powodzenie mojej liczby jeden. Słowem doszliśmy wkońcu do tego, co powiedziałem ci na początku: wzgląd na liczbę jeden łączy nas wszystkich wzajemnie; w przeciwnym razie gromadka nasza pójdzie w strzępy.

— To prawda — odezwał się Bolter z namysłem. — Jesteście szczwanym lisem nielada.

Fagin zauważył z zadowoleniem, że to nie była czcza pochwała ze strony nowicjusza, lecz szczere uznanie jego genjalnej przebiegłości, co stanowiło przecież fakt bardzo doniosły na progu świeżo zawartych stosunków.

Chcąc wyzyskać tak pożądane i korzystne wrażenie, Fagin popychał sprawę dalej i rozwijał przed oczyma Boltera obraz swej szerokiej i wielostronnej działalności. Prawdę przeplatał fałszem, o ile było mu to dla własnych celów potrzebne, a czynił to tak umiejętnie, że podziw Boltera wzrastał z każdą chwilą niejako i mieszał się z uczuciem obawy, bardzo dla mistrza pożądanej.

— Ufność, jaką pokładamy w sobie nawzajem, stanowi dla mnie pociechę w ciężkich troskach — mówił Fagin. — Wczoraj właśnie straciłem moją, że tak powiem, prawą rękę.

— Umarł? — zapytał Bolter.

— Nie tak źle — odparł Fagin — nie, nie to najgorsze.

— A więc myślę, że go...

— Przyłapano? — dokończył Żyd. — Niestety tak, schwytano go!

— A czy chodziło o coś znacznego? — pytał Bolter.

— Niebardzo... Posądzono go, że chciał ściągnąć komuś chustkę do nosa, a przy rewizji znaleziono u niego w kieszeni srebrną tabakierkę. Jego własną

tabakierkę, mój drogi, gdyż bardzo lubił zażywać tabakę i nie mógł się bez tabakierki obejść. Dziś ma powtórnie stawać przed sądem, gdyż podobno odszukano dawnego właściciela tabakierki. Wierzaj, mój drogi — ten chłopiec więcej był wart dla mnie, niż pięćdziesiąt takich tabakierek i wiele dałbym za to, żeby go znów mieć przy sobie. Gdybyś ty znał Smyka, mój drogi, gdybyś go znał...

— Mam nadzieję, że poznam go przecież... — zauważył Bolter. — Jak myślicie, czy to nastąpi?

— Bardzo wątpię, mój drogi — odparł Fagin z westchnieniem. — Jeżeli nie ujawnią innych rzeczy, to wszystko naprawi się jakoś i po pięciu, lub sześciu tygodniach znów wróci do nas. W przeciwnym razie jednak sprawa się przeciągnie. Znają go oni dobrze i wiedzą, że to mądry chłopiec, i zamarynują go na całe życie. Zrobią z niego dożywotniaka, mój drogi.

— Nie rozumiem co to znaczy „zamarynują“ i „dożywotniak“ — zapytał Bolter. — Mówcie jasno i wyraźnie.

Fagin chciał spełnić jego żądanie i wytłomaczyć, że „zamarynowanie“ i „dożywotniak‘ znaczą dożywotnie wygnanie, ale zamiarowi temu przeszkodziło zjawienie się Karola Batesa, który wszedł do izby z rękoma w kieszeniach i wyrazem komiczno-bolesnym na twarzy.

— Już po wszystkiem, Faginie — rzekł Karol, gdy go zapoznano z nowym towarzyszem.

— Co przez to rozumiesz?

— Odszukano właściciela tabakierki, i tożsamość osoby potwierdziło dwuch czy trzech świadków — rzekł pan Bates — no i Smyk dostanie kartę wolnego przejazdu. Fagin, musisz mi sprawić grubą żałobę, musisz mi kupić czarnej krepy na kapelusz. Muszę koniecznie odwiedzić go, zanim wyruszy w daleką

podróż. Nie chce mi się wierzyć, żeby Dawkins, sławny Jakób Dawkins, Smyk Przebiegły, miał zostać wyprawiony za morze z powodu głupiej tabakierki, która nawet dwudziestu szylingów nie jest warta. Nie myślałem nigdy, żeby mógł go zgubić nawet złoty zegarek z grubą dewizką, i t. p. rzeczy. Dlaczego nie obdarł jakiego starego dusigrosza ze wszystkich jego kosztowności? Mógłby wtedy przynajmniej wyjechać jak gentleman, a nie jak pospolity złodziej, pozbawiony rozgłosu i chwały!

Wypowiedziawszy swój żal, Karolek Bates rzucił się na krzesło z wyrazem najwyższego strapienia.

— Dlaczego mówisz, że Smyk jest pozbawiony rozgłosu i chwały — wykrzyknął Fagin, rzucając gniewne spojrzenie na swego wychowanka. — Czy nie był on najpierwszym w naszem gronie? Czy dorównał mu który z was na jakiemkolwiek bądź polu? Co?

— Żaden! — przyświadczył Karolek głosem ochrypłym z żalu. — Żaden!

— No więc dlaczego gadasz podobne rzeczy? — zapytał Fagin z podrażnieniem — czego łzy gorzkie wylewasz?

— Bo to nigdzie nie jest zapisane — mówił Karol, którego żal pogrążał w coraz większe zwątpienie na punkcie przyjaciela — bo jego wartość nie wyjdzie na światło dzienne i nikt nigdy w połowie nawet nie będzie wiedział, kim on był. I jak zapiszą go w księgach New-Gate? Może go nawet wcale do nich nie zaciągną... O, nędzo, nędzo! Co za cios!

— Ha! Ha! Ha! — zawołał Żyd, trzęsąc się ze śmiechu i zwracając się do Boltera. — Widzisz z jaką dumą oddają się oni swemu powołaniu, mój drogi? Czy to nie pięknie z ich strony?

Bolter skinął głową na znak potwierdzenia, a Żyd, przyglądając się z widocznem zadowoleniem rozpa-

czy Karola, podszedł wkońcu do niego i poklepał po ramieniu.

— Nie trap się, mój drogi, — rzekł słodko — wszystko kiedyś wyjdzie na jaw. Oni dowiedzą się jeszcze, jaki z niego był mądry chłopiec, on sam ich o tem przekona i nie zrobi wstydu swym starym nauczycielom i towarzyszom. Weź pod uwagę jego młodość, mój drogi... Jaki to zaszczyt w tak młodym wieku być już skazanym na zamarynowanie...

— To prawda, że zaszczyt — rzekł Karolek z niejaką ulgą.

— Będzie miał wszystko, czego zapragnie — ciągnął dalej Żyd. — Wsadzą go do Kamiennego Dzbanka, jak jakiego gentlemana, jak gentlemana! Piwo na codzień, a w kieszeni tyle pieniędzy, że mu wystarczy na grę w zgadywanego, czy na inne rozrywki...

— Czy aby prawda? — zapytał Karolek.

— Niewątpliwie! — zapewnił Żyd. — A my, mój drogi, wynajdziemy mu adwokata, największego krętacza w całym Londynie, i on Smyka będzie bronił. Potem Smyk sam zabierze głos, jeżeli zechce, i przeczytamy wkońcu we wszystkich dziennikach: „Smyk Przebiegły — wybuchy śmiechu — w tem miejscu izba wiła się poprostu —". I cóż ty na to, Karolku?

— Ha! Ha! — śmiał się Karolek Bates — to byłoby paradne! Toby im zadał bobu.

— I zada, gdy zechce! — potakiwał Żyd.

— Zechce z pewnością — dodał Karol, zacierając ręce...

— Zdaje mi się nawet, że go widzę w tej sytuacji — mówił Żyd, zwracając oczy na wychowańca.

— I ja także — wykrzyknął Karol Bates. — Ha, ha, ha, i ja także widzę wszystko, dalibóg. Co za komedja! Prawdziwa komedja. Mężowie w ogromnych

perukach usiłują wyglądać uroczyście, a nasz Jakób Dawkins przemawia do nich tak śmiało i poufale, jak gdyby był synem sędziego, wygłaszającym mówkę po obiedzie. Ha, ha, ha!

W ten sposób stary łotr nietylko pocieszył swego wychowańca, ale usposobił go tak pogodnie, że chłopiec myślał teraz tylko o nowym triumfie przyjaciela, którego opłakiwał przed chwilą, jako ofiarę srogiego losu.

— Wszelako musimy koniecznie dowiedzieć się — rzekł Fagin — co się z nim teraz dzieje i kiedy będzie jego sprawa. Trzeba o tem pomyśleć.

— Czy ja mam pójść? — zapytał Karolek.

— Nigdy! — zawołał Żyd. — Czyś ty oszalał? Co ci też do głowy przychodzi, żeby się rwać tam, gdzie... Nigdy! Nigdy! Dosyć tymczasem jednej straty.

— Ale chyba nie zamierzasz udać się tam sam, Faginie? — rzucił Karolek, uśmiechając się żartobliwie.

— A właśnie! — mruknął Fagin, potrząsając głową. — Tegoby jeszcze brakowało!

— Więc najlepiej będzie, jeżeli poślemy tego nowicjusza — rzekł Karolek, kładąc rękę na ramieniu Boltera. — Nikt go nie zna.

— To prawda, byleby tylko zechciał — mruknął Żyd.

— Co to jest „zechciał"? — oburzył się Karolek. — Czy on ma prawo chcieć, lub nie chcieć?

— Naturalnie, że nie ma — rzekł Fagin, zwracając się do Boltera.

— Spodziewam się, że mam — podchwycił Noe, kierując się ku drzwiom i potrząsając niespokojnie głową. — Nie uczynię tego. To zresztą nie należy do mojego wydziału.

— Wydziału? A jakiż to wydział ma on u nas, Faginie? — zawołał Karolek, obrzucając pogardliwem spojrzeniem niezgrabną postać nowicjusza. — Może kryć się wobec grożącego niebezpieczeństwa i zjadać najsmaczniejsze kąski, kiedy wszystko jest w porządku? To jest jego wydział?

— Nic podobnego — odrzucił Bolter. — A nie pozwalaj sobie za wiele w stosunku do twoich przełożonych, chłopczyku, bo ci to tylko może wyjść na złe.

Karolek Bates wybuchnął takim śmiechem na tę uwagę, że sporo czasu upłynęło, zanim Fagin mógł w tej sprawie wystąpić. Wreszcie zaczął on perswadować Bolterowi, że wizyta jego w urzędzie policyjnym nie narazi go na żadne niebezpieczeństwo, jako że nie doszła jeszcze do Londynu wiadomość o drobnej sprawie, w jaką się był przedtem zaplątał, a więc i rysopis jego nie jest nikomu znany i nie padło na niego żadne podejrzenie.

Pozatem odpowiednie przebranie uczyni go tak bezpiecznym, że może wędrować po całym Londynie bez narażenia się na niebezpieczeństwo, a już nikomu nie przyjdzie na myśl, żeby go co innego sprowadziło do urzędu policyjnego, niż jego własna, nieprzymuszona wola.

Bolter, przekonany poniekąd temi argumentami, w wyższym stopniu jednak powodowany obawą narażenia się Żydowi, zgodził się wreszcie z wielką niechęcią na odbycie wywiadu. Fagin niezwłocznie wydobył ze swego niewyczerpanego składu odzieży strój ciężarowego woźnicy, a więc niebieską koszulkę, manszestrowe spodnie, buty z długiemi cholewami, ponadto Bolter dostał kapelusz okrągły, bicz w rękę i w tem przebraniu wyglądał, jak parobek, który, przywiózłszy wiejskie produkty na targ do miasta, stanął na placu Couvent-Garden i wiedziony

prostaczą ciekawością, udał się do urzędu policyjnego, aby przysłuchać się badaniom złoczyńców.

Na zakończenie Fagin obejrzał go szczegółowo od stóp do głowy i oświadczył, że wykluczone jest prawdopodobieństwo jakichkolwiek bądź podejrzeń. Udzielił mu potem niezbędnych wskazówek, co do zachowania się, dał mu dokładny rysopis Smyka i wyprawił go na miasto z Karolkiem Bates, który nowego kolegę doprowadził przez rozmaite ciemne i kręte uliczki do miejsca, skąd łatwo już można było trafić do urzędu policji przy Bowstreet.

Opisawszy dokładnie położenie urzędu, opowiedziawszy jaki należy wziąć kierunek, by minąć podwórze i pójść po schodach na górę do pokoju, położonego na prawo, zaleciwszy zdjąć kapelusz po przestąpieniu progu izby, — Karol Bates opuścił Boltera z najwyższym pośpiechem, lecz przyrzekł mu przedtem, że będzie oczekiwał na jego powrót w tem miejscu, gdzie się rozstają.

Noe Claypole, albo Moryc Bolter — jak czytelnik woli — zastosował się sumiennie do otrzymanych wskazówek, które istotnie były tak dokładne — pan Karol Bates posiadał gruntowną znajomość lokalu — że bez najmniejszej trudności trafił do celu, nie potrzebując pytać nikogo o nic po drodze.

Znalazłszy się w ciemnej i brudnej sali, wmieszał się w tłum, złożony przeważnie z kobiet. W jednym końcu izby urządzone było wzniesienie, odgrodzone od reszty sali barjerą; na wzniesieniu z lewej strony stała ława oskarżonych, otoczona kratą, z prawej zasiadali sędzia śledczy i pisarz, a pośrodku było miejsce dla świadków.

Na ławie oskarżonych siedziało kilka kobiet, które wdzięczyły się do swych przyjaciół, podczas gdy pisarz sądowy odczytywał pewne rozporządzenie kilku policjantom oraz jakiemuś panu w pełnym

stroju. Przy ławie oskarżonych stał dozorca, oparty niedbale o kraty, i stukał się po nosie wielkim kluczem; zajęcie to przerywał jedynie wtedy, gdy zachodziła potrzeba uciszenia zbyt głośnej rozmowy aresztantek, lub ofuknięcia jakiejś kobiety, której wynędzniały następca tronu, owinięty w szal matczyny, naruszał swym cichym płaczem powagę przybytku sprawiedliwości.

W sali panowała atmosfera duszna i niezdrowa; ściany były szare z brudu, sufit czarny. Nad kominkiem stało jakieś zakopcone popiersie; nad ławą oskarżonych wisiał zegar, okryty również warstwą pyłu. Wszystko zresztą w tej sali miało pozór odrażający; zarówno przedmioty martwe, jak i tłum, złożony z ludzi, na których widoczne było piętno moralnego upadku lub nędzy, lub obu tych rzeczy razem.

Noe rozglądał się na wszystkie strony, upatrując Smyka, a chociaż zauważył wiele kobiet, które mogłyby być matkami lub siostrami tak znakomitej jednostki, i wielu mężczyzn, których możnaby wziąć za jej ojca, postaci jednak samego bohatera nie mógł nigdzie dostrzec. Oczekiwał tedy z wielką ciekawością i niepokojem, dopóki nie przesłuchano wszystkich kobiet i nie wprowadzono nowego więźnia, w którym zdało mu się odrazu, że poznaje poszukiwanego.

Nie omylił się. Był to Jakób Dawkins w swojej własnej osobie. Ubrany jak zwykle w długi kubrak, z zawiniętemi po łokcie rękawami, jedną rękę wsunął w kieszeń od spodni, w drugiej trzymał kapelusz. Wszedł do izby śmiało, rzucając dokoła pogardliwe spojrzenia, a zasiadłszy na ławie oskarżonych, zapytał wyniośle — z jakiej racji wepchnięto go w tak niemiłe położenie.

— A będziesz ty milczał! — zgromił go dozorca.

— Jestem obywatelem Anglji — rzekł Smyk — czyż nie? Upominam się o swoje prawa.

— Patrzajcie go! — roześmiał się dozorca. — Niedługo otrzymasz swoje prawa, w dodatku zaprawione pieprzem.

— Zobaczymy, co powie minister spraw wewnętrznych w razie, jeżeli moje obywatelskie prawa zostaną naruszone! — zawołał Dawkins. — O co chodzi? Zdaje mi się, że panowie urzędnicy powinni przedewszystkiem że mną skończyć, a nie przetrzymywać mię tak długo dlatego, że im się podoba czytać jakieś papiery. Ja mam czas ściśle wyliczony. Mam spotkać się w mieście z pewnym panem, a jestem człowiekiem punktualnym. Mój klient również nie ma czasu do stracenia i z pewnością nie będzie na mnie czekać; jeżeli się spóźnię, wniosę skargę o wynagrodzenie za poniesione straty...

W tym punkcie Dawkins spojrzał groźnie na dozorcę, jakby chcąc mu dać do poznania, że słów na wiatr nie rzuca, poczem wyraził życzenie poznania nazwisk dwuch jegomościów, zasiadających na wzniesieniu.

Publiczność wybuchnęła takim śmiechem, jakim wybuchnąłby z pewnością Karol Bates, gdyby słyszał pytanie.

— Milczeć! — huknął dozorca.

— Co tam takiego? — zapytał jeden z urzędników.

— Zwyczajny złodziej kieszonkowy, panie sędzio.

— Czy ten chłopiec był już kiedy tutaj?

— Powinien już być wiele razy, ale dotąd uchodziło mu jakoś wszystko płazem. Znam ja go dobrze, panie sędzio.

— Znasz mnie dobrze? — powtórzył Smyk, udając, że zapisuje słowa dozorcy. — Doskonale! Otóż mamy słuszną podstawę do skargi o obrazę czci...

Publiczność znów wybuchnęła śmiechem, a dozorca znów nakazał milczenie.

— Gdzie są świadkowie? — zapytał pisarz.

— O to właśnie chodzi! — dodał Smyk. — Gdzie są świadkowie? Pragnę ich widzieć.

Życzenie jego spełniło się niezwłocznie.

Naprzód wystąpił policjant, który zeznał, iż widział na własne oczy, jak oskarżony wyciągnął jakiemuś nieznajomemu chustkę z kieszeni, a spostrzegłszy, że chustka była stara, wytarł w nią nos i wsunął z powrotem do kieszeni właściciela. Świadek chwycił go wówczas i zaaresztował. W areszcie, przy rewizji więźnia znaleziono w jego kieszeni srebrną tabakierkę, z wyrytem na niej nazwiskiem właściciela, którego też odnaleziono.

Z kolei stanął przed sędzią właściciel tabakierki. Ten, po złożeniu przysięgi, oświadczył, iż tabakierka istotnie należy do niego. Skradziono mu ją wczoraj, gdy szedł do zajęcia. Stało się to w tłumie na rogu ulicy. Uczuwszy czyjąś rękę w kieszeni, odwrócił się i spostrzegł kilkunastoletniego chłopca, oddalającego się śpiesznie w przeciwnym kierunku. Chłopiec znikł mu nagle z oczu. Był to właśnie ten sam chłopiec, który siedzi teraz na ławie oskarżonych. Poznaje go doskonale.

— Co możesz powiedzieć na swoją obronę? — zapytał sędzia Dawkinsa.

— Co mogę powiedzieć? — powtórzył Smyk. — Ani myślę poniżać się do rozprawy z tym jegomościem.

— Zapytuję raz jeszcze, czy masz co do powiedzenia?

— Słyszysz, jego wysokość pyta, czy masz co do powiedzenia? — powtórzył dozorca, trącając łokciem milczącego Dawkinsa.

— Ach, przepraszam — zawołał Smyk, udając, że budzi się z zamyślenia. — Czy zwracałeś się do mnie, mój człowieku?

— W życiu mojem nie widziałem tak zuchwałego włóczęgi, wasza wysokość — rzekł dozorca ze zjadliwością. — Prześwietny sąd pyta się, czy masz co do powiedzenia, młody wisielcze?

— Nie mam nic do powiedzenia — odparł Smyk — a przynajmniej nie tutaj, bo to nie jest przybytek sprawiedliwości. Zresztą mój adwokat jest na śniadaniu u wiceprezesa Izby Gmin. Natomiast będę miał dużo do powiedzenie gdzieindziej, i to nietylko ja, ale także mój adwokat i wielu moich bardzo wysoko postawionych przyjaciół, a wtedy ci panowie, którzy siedzą ot tam, na wzniesieniu, — będą bardzo żałowali, że matki wydały ich na świat, i przyznają, że byłoby lepiej, gdyby ich woźni tego urzędu powiesili byli za nogi nim przyszła im do głowy zajmować się moją osobą. Ja...

— Skompromitował się całkowicie — przerwał pisarz — proszę go wyprowadzić.

— Chodź! — rzekł dozorca.

— Zaraz idę — odparł Smyk, gładząc swój kapelusz, — a — dodał, zwracając się do przedstawicieli urzędu — nic nie pomogą wasze przerażone miny. Nie będę miał nad wami litości. Odpokutujecie za wszystko, moi panowie; za żadne pieniądze nie chciałbym być na waszem miejscu. Wiedzcie jeszcze, że nie przyjąłbym od was wolności, choćbyście mnie na kolanach o to prosili. Hola! Dozorco! Zaprowadź mnie do więzienia!

Dozorca ujął go za kołnierz, a Smyk zaczął znów uroczyście protestować, grożąc, iż krzywdę swoją przedstawi parlamentowi, potem spojrzał wyniośle na stróża sprawiedliwości, i zniknął wraz z nim w korytarzu.

Bolter, widząc, że zamknięto Smyka do celi, opuścił urząd i udał się na miejsce, gdzie oczekiwać miał na niego Karol Bates. Lecz Karolek dopiero po chwili wysunął się z jakiejś kryjówki, upewniwszy się przedtem, że za jego nowym przyjacielem nie idzie jaka niepożądana osobistość. Zaraz potem ruszyli spiesznie do domu, niosąc Faginowi tę pocieszającą wiadomość, że Smyk nie zawiódł jego nadziei i podtrzymał chlubną o sobie opinję.

Rozdział czterdziesty czwarty.

Dla Nancy nadchodzi chwila wypełnienia zobowiązania, zaciągniętego wobec Róży Maylie.

Chociaż Nancy celowała w sztuce udawania, nie mogła jednak żadną miarą ukryć niepokoju, jakiego ją nabawiała myśl o przyrzeczeniu, danem Róży. Pamiętała o tem, że zarówno podejrzliwy Fagin, jak gwałtowny Sikes mieli do niej zupełne zaufanie i powierzali jej najtajniejsze swoje plany, ukrywane naogół starannie przed innymi.

Jakkolwiek owe plany były nad wyraz nikczemne, a ich twórcy należeli do zbrodniarzy najgorszego gatunku; jakkolwiek dziewczyna żywiła wrogie uczucia względem Żyda, który wepchnął ją w labirynt występku i zbrodni, skąd nie mogła się już teraz wydobyć, to przecież przychodziły chwile, kiedy litowała się nad nim i wzdrygała się na myśl zdrady, na myśl wydania go w ręce sprawiedliwości i przyspieszenie wymiaru kary, na którą od dawna zasługiwał.

Ostatecznie, chwile podobne były przelotne, co wypływało z niemożności zupełnego oderwania się od starych towarzyszy i wspólników, a szczególniej od jednego z nich. Wierność jej w stosunku do

Billa była czynnikiem szlachetnym i nic jej z tej drogi nie zdołało zawrócić.

Obawa o niego mogła była nawet wpłynąć na złamanie słowa, danego Róży Maylie, lecz Nancy zastrzegła sobie ściśle dochowanie tajemnicy, zatarła wszelkie ślady, mogące doprowadzić do niego, odrzuciła także, ze względu na Billa, wszelką pomoc, ofiarowaną jej do wyrwania się z otchłani nędzy i występku. Słowem uczyniła dla niego wszystko, co było w jej mocy, i miała ręce rozwiązane.

Chociaż wszystkie walki wewnętrzne kończyły się zawsze tym wnioskiem, to jednak dręczyły one ją bardzo i pozostawiały ślady po sobie. W ciągu kilku dni zmizerniała i schudła. Chwilami nie widziała, co się dokoła niej dzieje, i nie brała udziału w rozmowach, które dawniej zajmowały ją bardzo. Chwilami znowu wpadała w szał i krzyczała wówczas bez żadnego powodu i sensu. Zaraz potem siadała w kącie i spędzała długie chwile w milczeniu, z głową opartą na rękach. Wysiłek, z jakim później podnosiła się z miejsca, zdradzał nurtujące ją przygnębienie i wskazywał na to, że dręczą ją jakieś myśli, dalekie od towarzyszy i zwykłych zatrudnień.

Nadeszła niedziela. Zegar na pobliskiej wieży zaczął wydzwaniać godzinę. Fagin i Sikes przerwali rozmowę i liczyli uderzenia. Nancy, siedząca opodal na niskim stołeczku, podniosła głowę i słuchała również.

— Jedenasta!

— Za godzinę północ — odezwał się Sikes, podnosząc zasłonę przy oknie i wracając na miejsce.

— Mglisto i ciemno. Noc odpowiednia dla naszego interesu.

— Jaka szkoda — rzekł Żyd — że nie mamy dziś żadnej roboty.

— Prawda! — mruknął Sikes ponuro. — Tem większa szkoda, że dziś właśnie czuję się w dobrem usposobieniu.

Żyd westchnął i ze smutkiem pochylił głowę.

— Musimy wynagrodzić czas stracony — odezwał się Sikes — i wprowadzić interes na dobre tory. Ot co!

— Tak należy mówić, mój drogi — rzekł Żyd, klepiąc go dłonią po ramieniu. — Przyjemnie mi słyszeć podobne słowa.

— Doprawdy? — zawołał Sikes. — Niech i tak będzie!

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Żyd, ubawiony widocznie tem zezwoleniem. — Ty znowu jesteś dzisiaj samym sobą; zupełnie samym sobą.

— A mnie się zdaje, że nie jestem samym sobą gdy czuję na swojem ramieniu twoją wyschłą łapę. Weź ją precz! — rzekł Sikes, odtrącając rękę Żyda.

— To cię denerwuje, Billu. Tobie się zdaje, że chwyta cię któryś z policyjnych wyżłów — rzekł Fagin, widocznie pokojowo usposobiony.

— Zdaje mi się, że szatan mię chwyta — odrzucił Sikes. — Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli od początku świata żył kiedy wśród ludzi człowiek równie obrzydły, jak ty, z wyjątkiem chyba twego ojca, który z pewnością oddawna skwarzy się w piekle. A może twoim ojcem był sam Lucyper, co zresztą nie dziwiłoby mię ani trochę.

Fagin pozostawił ten komplement bez odpowiedzi, lecz pociągnął Billa za rękaw i wskazał mu Nancy, która, korzystając z ich rozmowy, włożyła na głowę kapelusz i zabierała się do wyjścia.

— Hola! A to co? — wrzasnął Sikes. — Nancy! Dokąd to wybierasz się o tak późnej godzinie?

— Niedaleko.

— Co to za odpowiedź? — burczał Sikes. — Mów wyraźnie, dokąd chcesz iść?

— Powiedziałam ci już, że niedaleko.

— A ja pytam się, dokąd? — zawołał Sikes. — Słyszysz?

— Sama nie wiem dokąd... — odparła Nancy.

— Ale ja wiem — krzyknął Sikes, powodowany raczej uporem, niż chęcią zabronienia dziewczynie wyjścia z domu. — Nie pójdziesz nigdzie! Siadaj!

— Niedobrze mi jakoś — tłumaczyła się Nancy — mówiłam ci to przedtem. Muszę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

— Otwórz okno i wysuń głowę na ulicę — rzekł Sikes.

— To nie wystarczy, muszę koniecznie przejść się po ulicy.

— Przekonam cię, że nie musisz.

To rzekłszy, bandyta wstał, zamknął drzwi na klucz, schował klucz do kieszeni, potem zerwał kapeleusz z głowy Nancy i rzucił go na szafę.

— A teraz siedź mi cicho — dodał — rozumiesz?

— Pójdę bez kapelusza — rzekła Nancy, blada, jak chusta... — Co ty sobie myślisz, Billu? Czy ty wiesz, co robisz?

— Czy wiem, co robię?— zawołał Sikes, zwracając się do Żyda. — Musiała chyba postradać zmysły, bo inaczej nie ośmieliłaby się tak mówić do mnie.

— Ty doprowadzisz mię do rozpaczy, Billu — mówiła dziewczyna i przyciskała ręcę do piersi, jak gdyby usiłując stłumić przemocą jakiś gwałtowny wybuch. — Puszczaj mnie! Czy słyszysz? Puść mnie natychmiast!

— Nie! — zawziął się Sikes.

— Fagin... powiedz mu... żeby mię puścił. To będzie dla jego dobra — krzyczała Nancy, tupiąc nogą o podłogę. — Czy słyszycie?

— Ja mam ciebie słuchać? — zawołał Sikes, obracając się ku niej na krześle. — Zapowiadam ci, że jeżeli się nie uspokoisz, to mój pies ściśnie cię tak za gardło, że słowa już nigdy nie piśniesz... Co się z tobą dzisiaj stało, dziewczyno?

— Puść mnie — błagała Nancy, usiadłszy na podłodze, tuż przy drzwiach...— Billu, puszczaj mnie! Nie wiesz co robisz, zatrzymując mię w domu... Proszę cię, otwórz drzwi... Tylko na godzinkę, nie dłużej!

— Pozwolę porąbać się na sztuki — wrzasnął bandyta, szarpnąwszy ją za rękę, — jeżeli ta dziewczyna nie postradała zmysłów... Wstań!

— Nie wstanę, dopóki mnie nie wypuścisz! — wrzasnęła Nancy. — Nie wstanę za nic w świecie!

Sikes spojrzał na nią badawczo i nagle, chwyciwszy ją za obie ręce, powlôkł ją, mimo jej rozpaczliwego oporu, do przylegającej izdebki, usadowił przemocą na krześle, a sam usiadł naprzeciw na małej ławeczce.

Dziewczyna broniła się, szarpała tak długo, dopóki nie usłyszała, że zegar bije północ. Wtedy uspokoiła się nagle i Sikes, zagroziwszy jej najsurowiej, z dodatkiem oczywiście całego szeregu przekleństw, żeby nie ważyła się tej nocy wychodzić z domu, zostawił ją samą i wrócił do Fagina.

— Tfu! — zawołał bandyta, ocierając pot z czoła i twarzy. — To dziwna dziewka!

— To prawda, Billu, to prawda! — potwierdził Żyd zamyślony.

— Co takiego strzeliło jej dziś do głowy, że upierała się gwałtem wyjść na miasto? — zastanawiał się Sikes. — Fagin, znasz ją przecie lepiej ode mnie — co to miało znaczyć?

— Upór, zwyczajny upór kobiecy, myślę, mój drogi.

— I ja tak sądzę — zgodził się Sikes. — Myślałem, że poskromiłem ją całkiem, tymczasem widzę, że pozostała taka, jak dawniej.

— Gorsza — wtrącił Fagin, wciąż coś rozważając. — Nigdy nie widziałem jej w takiej pasji i to z powodu drobnostki!

— Ani ja! — potwierdził Sikes. — Przypuszczam, że zaraziła się ode mnie gorączką i choroba teraz zaczyna występować... Jak myślisz, Fagin?

— Być może.

— No, to ja ją sam wykuruję bez lekarza, upuszczając jej trochę krwi, jeżeli raz jeszcze zdarzy się coś podobnego.

Fagin skinieniem głowy pochwalił ten sposób leczenia gorączki.

— Czuwała przy mnie dzień i noc — mówił Sikes — kiedy nie mogłem ruszyć się z łóżka, a tyś ani razu nie pokazał się u nas, stary wisielcze! Przez ten czas byliśmy oboje w biedzie i wszystko razem musiało ją zmęczyć i osłabić. Sam brak świeżego powietrza mógł ją zdenerwować, co?

— Zapewne! — potwierdził Żyd szeptem. — Sza!

Do izby weszła Nancy i usiadła na dawnem miejscu. Oczy miała czerwone, nabrzmiałe od płaczu. Po chwili zaczęła rzucać się kowulsyjnie na krześle i w końcu parsknęła śmiechem.

— A to co znów takiego? — zapytał Sikes, spoglądając ze zdumieniem na Fagina.

Żyd kiwnął głową, dając mu znak, aby nie zwracał na to uwagi, i rzeczywiście po paru minutach dziewczyna popadła w zwykły stan odrętwienia.

Fagin szepnął Billowi, że teraz już niema czego się obawiać, poczem włożył kapelusz na głowę i pożegnał go życzeniem „dobrej nocy". Przy drzwiach zatrzymał się jednak, prosząc, aby które z nich poświeciło mu na schodach.

— Nancy, poświeć mu! — rzekł Sikes, nakładając sobie fajkę. — Szkodaby było, gdyby skręcił sobie kark w ciemności, pozbawiając ludzi przyjemnego widowiska.

Nancy, ze świecą w ręku, wyszła z Żydem na schody. Gdy oboje znaleźli się na dole, Fagin, nakazawszy jej gestem milczenie, szepnął:

— Co ci jest, droga Nancy?

— O czem mówicie? — zapytała Nancy, również szeptem.

— O tej całej sprawie. Jeżeli on — tu Żyd chudym palcem wskazał na górę — jeżeli on się z tobą po katowsku obchodzi (bo to dziki zwierz, drapieżna bestja, droga Nancy), to przecież...

— Co takiego? — rzekła Nancy, gdy Żyd urwał nagle, nachylając się ku niej i patrząc jej w oczy przenikliwie.

— Nie teraz... — odparł stary Żyd. — Pomówimy o tem jeszcze innym razem. Masz we mnie wiernego przyjaciela, Nancy... posiadam w pogotowiu wszelkie środki... wszystko może odbyć się spokojnie i cicho. Gdybyś chciała zemścić się na nim za to, że obchodzi się z tobą, jak ze swoim psem... gorzej nawet, bo z tym psem bawi się czasem — gdybyś chciała się zemścić, przyjdź do mnie. Powiadam ci, moja droga, przyjdź do mnie. On jest twoim przyjacielem od pewnego czasu zaledwie, a mnie znasz przecież oddawna.

— O, znam was bardzo dobrze — rzekła Nancy obojętnie. — Dobrej nocy.

Cofnęła się mimowoli, gdy Żyd wyciągnął do niej rękę, lecz życzyła mu raz jeszcze dobrej nocy i, odpowiedziawszy na znaczące jego spojrzenie skinieniem porozumienia, weszła na górę.

Fagin wracał do swego legowiska powoli, rozważając myśli, które snuły mu się po głowie. Już

od dawna powziął podejrzenia, że Nancy, zrażona brutalnością Billa, postanowiła zerwać z nim i zawiązała nawet stosunek miłosny z innym bandytą. Podejrzenie to z biegem czasu coraz większego nabierało prawdopodobieństwa, a dzisiejsza awantura tylko je potwierdziła. Jej niezwykłe zachowanie, jej niepokój, częste samotne wycieczki z domu, coraz bardziej wzrastająca obojętność na wszelkie sprawy zawodowe, które dawniej obchodziły ją bardzo, wreszcie dzisiejsze uporczywe żądanie wyjścia z domu w nocy, o pewnej oznaczonej godzinie — wszystko wskazywało na to, że przypuszczenia Fagina mają słuszną podstawę.

Nowy kochanek Nancy nie należał zapewne do liczby jego uczniów. Ów nieznajomy bandyta, działając wspólnie z tak bystrą dziewczyną, stałby się bardzo cennym nabytkiem.

Fagin planował oprócz tego inny interes.

Sikes znał już za dużo jego osobistych tajemnic, przytem lekceważył go, drwił sobie z niego przy każdej sposobności. Niecierpliwiło to Żyda do wysokiego stopnia, lecz musiał to oburzenie tłumić w sobie.

Nancy z pewnością zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby zerwała z Sikesem otwarcie i porzuciła go, to nietylko sama nigdzie nie byłaby bezpieczną przed jego straszliwą zemstą, ale zagrożony byłby także jej nowy kochanek. Sikes ścigałby ich oboje uparcie, a nóż i kula służyłyby mu do załatwienia rachunku.

— Wobec takiej perspektywy — mówił do siebie Fagin — łatwo będzie można skłonić ją do otrucia Billa. Kobiety często się posuwają do czegoś podobnego, jeżeli chodzi o uratowanie życia kochanka. Nawet nie wahają się używać gorszych jeszcze środków. Gdyby zdobyła się na to, wówczas

byłbym uwolniony od bardzo dla mnie niebezpiecznego łotra, którego nienawidzę z całej duszy; na jego miejsce znajdzie się ktoś inny, a ponieważ będę wiedział o zbrodni, popełnionej przez Nancy, to osiągnę na nią wpływ nieograniczony.

Plan ten powstał w jego głowie jeszcze w mieszkaniu Sikesa, gdy sam w niem na jakiś czas pozostał. Znalazłszy się potem z Nancy na schodach, postanowił wykorzystać sposobność i szepnął jej kilka słów, pełnych znaczenia. Zdawało mu się, że dziewczyna zrozumiała je dobrze; wysłuchała ich spokojnie, bez najmniejszego zdziwienia. Zrozumiała z pewnością: dowodziło tego jej spojrzenie przed samem odejściem.

A może przecież nie będzie śmiała targnąć się na życie Sikesa, a jemu, Faginowi, zgładzenie bandyty było koniecznie potrzebne.

— W jaki sposób zwiększyć mój wpływ na nią — rozmyślał Żyd, wlokąc się ku domowi. — Czemby ją usidlić?

Podobne mózgi są bardzo płodne w pomysły.

Jeżeli naśle na nią szpiega i odkryje przedmiot jej uczuć, jeżeli w dalszym ciągu zagrozi jej wyjawieniem całej sprawy Billowi (którego boi się panicznie), to w takim razie czyż nie będzie mógł liczyć na jej zgodę?

— Tak — rzekł Fagin prawie głośno. — Nie będzie mogła mi odmówić, jeżeli jej życie miłe. Tak, moja Nancy, trzymam cię teraz całą w ręku. Plan gotowy, trzeba go tylko wykonać. No, teraz mi się nie wymkniesz!

Przystanął i zwróciwszy się w stronę mieszkania Billa, pogroził zaciśniętą pięścią, rzucając jednocześnie w tym kierunku spojrzenie pełne niewypowiedzianej nienawiści. Poczem powlókł się dalej ku

domowi, ukrywszy swe wyschłe ręce w fałdach wytartego płaszcza, który miął zapalczywie, jak gdyby to on właśnie był znienawidzonym wrogiem.

Rozdział czterdziesty piąty.

Noe Claypole ma powierzoną sobie przez Fagina nową misję.

Nazajutrz starzec zerwał się wcześnie z łóżka, oczekując z wielką niecierpliwością przybycia swego nowego wychowańca, który jednak kazał długo na siebie czekać, a zjawiwszy się nareszcie, rzucił się z żarłocznością na przygotowane śniadanie.

— Słuchajno, Bolter — odezwał się Fagin, przysuwając sobie krzesło i siadając naprzeciw niego.

— Jestem — przerwał Noe. — O co chodzi? Nie zaprzątajcie mi głowy niczem, dopóki nie zjem śniadania. W tym domu panuje głupi zwyczaj. Nie pozwolą człowiekowi nigdy porządnie się posilić.

— Czy ty podczas jedzenia nie możesz mówić i słuchać? — zawołał Żyd, przeklinając w duszy nienasycone obżarstwo swego nowego wychowańca.

— Dlaczego nie? — odparł Noe, smarując sobie ogromną kromkę chleba grubą warstwą masła. — Smakuje mi lepiej, gdy rozmawiam. A gdzie Karolina?

— Na mieście — rzekł Żyd. — Wysłałem ją dziś umyślnie wcześniej z innemi dziewczętami, ponieważ chciałem pomówić z tobą w cztery oczy.

— Oho! — rzekł Noe. — Szkoda, żeście nie kazali przedtem Karolinie przyrządzić dla mnie trochę grzanek No, mówcie teraz. To nie będzie mi przeszkadzało.

To rzekłszy, nadstawił wielkich uszu, nie przestając walecznie zmiatać śniadania.

— Dobrze sprawiłeś się wczoraj, mój drogi — rozpoczął Żyd. — Cudownie! Sześć szylingów i dziewięć pensów, to na początek dobry kusz. Zrobisz majątek na tańcu z bębnami.

— A pamiętajcie, żem przyniósł jeszcze trzy kubki do piwa i garnuszek do mleka — zauważył Bolter.

— Pamiętam dobrze, mój drogi. Już kubki do piwa świadczą o twoich wielkich zdolnościach, a garnuszek do śmietanki, no, ten garnuszek to było mistrzowskie pociągnięcie.

— Jak na nowicjusza — wtrącił Bolter z zadowoleniem — popisałem się nieźle. Kubki sprzątnąłem z okna jakiejś suteryny a garnuszek z progu garkuchni. Pomyślałem sobie: mogą zardzewieć na wilgotnem powietrzu. Ha, ha!...

Żyd udawał, że podziwia ten dowcip, a Bolter, wyśmiawszy się dowoli, zabrał się do nowej serji chleba z masłem.

— Mam dla ciebie robotę, mój drogi Bolter — rzekł Fagin, przechylając się przez stół — która jest dla mnie wielkiej wagi, a która wymaga ostrożności i starania.

— Dobrze — odpowiedział Bolter. — Ale stawiam warunki: przedewszystkiem, żebyście nie narażali mię na niebezpieczeństwo, a po drugie — żebyście nie posyłali mię znów do jakiego policyjnego urzędu; taka robota nie podoba mi się zupełnie i nie zgadza się z mojem usposobieniem.

— W tem, co ci proponuję, niema najmniejszego niebezpieczeństwa — zepewnił Żyd. — Chodzi o śledzenie pewnej kobiety.

— Starej? — zapytał pan Bolter.

— Młodej — odparł Fagin.

— Mogę podjąć się tego — podchwycił Bolter — na takiej robocie znam się doskonale. Zajmowałem

się nią z wielkiem powodzeniem jeszcze w szkole. Co mam wyśledzić? Może...

— Chodzi tylko o to — przerwał Żyd — żeby mnie zawiadomić, dokąd chodzi, kogo widuje, a zwłaszcza — co mówi; musisz zapamiętać ulicę, o ile rzecz będzie miała miejsce na ulicy, dom, o ile uczęszcza do jakiego domu. O tem wszystkiem muszę wiedzieć najdokładniej.

— A ile za to dostanę? — spytał Noe, stawiając kufel na stole i patrząc Faginowi w oczy.

— To zależy, mój drogi... — odparł Żyd. — Jeżeli sprawisz się dobrze, dostaniesz cały funt. Słyszysz, mój drogi, okrągły funt szterlingów. Nigdy nie płaciłem nikomu tyle za robotę, która nie przyniesie wiele zysku.

— Kogo mam śledzić?

— Jedną z naszych.

— O! — zawołał Noe ździwiony. — Czy nie ufacie jej?

— Ona, mój drogi — odparł Żyd — zawarła nową znajomość, a ja muszę koniecznie wiedzieć, kto to taki?

— Rozumiem — podchwycił Noe. — Wy także chcecie zawrzeć nową znajomość, jeżeli uznacie to za właściwe. Ha, ha, ha! Jestem na wasze usługi.

— Wiedziałem, że tak będzie — rzekł Fagin, mocno uradowany tak pomyślnem załatwieniem sprawy.

— Oczywiście, oczywiście — mówił Noe. — Gdzie ona jest? Gdzie mam na nią czekać i kiedy mam zacząć robotę?

— O wszystkiem dowiesz się w swoim czasie, mój drogi. Od tej chwili bądź gotów, a o resztę się nie troszcz.

Jakoż począwszy od tej nocy i kilku następnych szpieg nie rozbierał się wcale, w wysokich butach,

w ubiorze furmana wozów ładunkowych, oczekiwał na skinienie swego chlebodawcy. Fagin wychodził codziennie z domu wieczorem i wracał około północy, zawiedziony, kwaśny, i oznajmiał krótko, że czas rozpoczęcia roboty jeszcze nie nadszedł. Wreszcie siódmego dnia wrócił wcześniej niż zwykle, widocznie w najlepszym humorze.

— Dziś w nocy — rzekł do Boltera — wyjdzie z domu na włóczęgę. Cały dzień siedziała samą jedną. Człowiek, którego się bardzo boi, poszedł za swemi interesami i wróci zapewne dopiero nad ranem Chodź ze mną prędko.

Wyszli spiesznie i, minąwszy cały szereg ulic i zaułków, stanęli przed szynkiem, znanym Bolterowi dobrze, gdyż w nim właśnie stanął, przybywszy do Londynu.

Było już po jedenastej. Drzwi szynku zastali zamknięte. Żyd świsnął w sposób szczególny, a na ten znak drzwi otworzyły się i natychmiast zamknęły za nimi bez hałasu. Weszli cicho do izby. Fagin rozmówił się na migi z Barneyem, który wskazał Bolterowi znane nam okienko, kazał mu wejść na stołek i przypatrzeć się osobie, znajdującej się w sąsiedniej izbie.

— To jest owa kobieta? — zapytał Bolter szeptem.

Żyd skinął głową potwierdzająco.

— Nie mogę widzieć jej twarzy — szepnął znów Noe — ma głowę pochyloną, a świeca stoi poza nią.

— Poczekaj chwilę — rzekł Fagin.

Trącił Barneya i dał mu jakąś cichą wskazówkę.

Barney natychmiast udał się do sąsiedniego pokoju i pod pretekstem objaśnienia świecy, postawił ją tak, że światło padało na twarz dziewczyny, siedzącej przy stole. Barney przemówił do niej kilka

słów i zmusił ją w ten sposób do podniesienia głowy.

— Teraz ją widzę — szepnął Noe.

— Dobrze?

— Poznam ją z pewnością w tłumie.

Po chwili Nancy wstała, widocznie zabierając się do opuszczenia szynku, i niebawem ukazała się w izbie frontowej. Fagin i Noe przytulili się do ściany, zatrzymując oddech w piersiach. Dziewczyna nie zauważyła ich wcale, przeszła przez izbę i zniknęła za drzwiami od ulicy.

— Teraz na was kolej — szepnął Barney do Fagina i Boltera — spieszcie się.

Mistrz i jego uczeń wymknęli się również chyłkiem na ulicę, a Barney rzucił jeszcze Bolterowi do ucha:

— Zwróć się w lewo i przejdź na drugą stronę.

Noe, zastosowawszy się do polecenia Barneya, spostrzegł wkrótce przy świetle latarni postać dziewczyny, dążącej o kilka kroków od niego.

— Już ją mam! — mruknął przez zęby i biegł za nią we właściwej odległości, nie spuszczając jej z oczu ani na chwilę.

Nancy szła z początku z obawą, zatrzymywała się i rozglądała dokoła, ale nie zauważywszy nic podejrzanego, uspokoiła się i szła już dalej pewnym krokiem.

Noe szedł za nią jak cień, śledząc bacznie jej ruchy.

Rozdział czterdziesty szósty.

Wypełnienie zobowiązania.

Zegar wieżowy wybił trzy kwadranse na dwunastą, kiedy dwie postacie ukazały się na Londyńskim Moście.

Jedną z nich była kobieta; biegła ona lekko i szybko, oglądając się na wszystkie strony, jakby w poszukiwaniu kogoś spodziewanego; drugą — mężczyzna, skradający się w pewnej odległości od niej i wybierający dla swych kroków cień jak największy. Mężczyzna nie spuszczał oka z kobiety, zatrzymywał się, gdy ona przystanęła, i posuwał się naprzód, gdy w dalszą ruszała drogę.

Tak przebyli cały most.

Znalazłszy się na drugim jego końcu, kobieta, zawiedziona widocznie w oczekiwaniu, zatrzymała się i po chwili zaczęła iść z powrotem. Mężczyzna odskoczył wbok, stanął w najciemniejszem miejscu przy barjerze, przechylił się przez nią, wrósł w nią niejako i dopiero, gdy przekonał się, że kobieta go nie spostrzegła i oddaliła się dostatecznie, dopiero wówczas odczepił się od barjery i znów ruszył naprzód, zachowując dawną ostrożność.

Na środku mostu kobieta przystanęła, przystanął również mężczyzna.

Noc była bardzo ciemna i ruch publiczny o tej porze i na tem miejscu bardzo mały; nieliczni przechodnie należeli przeważnie do nędzarzy, którzy poszukiwali schronienia pod arkadą lub wnęką mostu. aby noc przepędzić w niejakiem zabezpieczeniu od zimnego wiatru i słoty. Ludzi tego rodzaju mało obchodzi, co się dokoła nich dzieje, to też tajemnicza para nie zwracała niczyjej uwagi i stała sobie spokojnie, nie zaczepiając nikogo i nie będąc przez nikogo zaczepianą.

Gęsta mgła unosiła się nad rzeką, przyćmiewając blask czerwonych ognisk, płonących na kilku małych statkach, które stały przy brzegu. W słabem oświetleniu domy i zabudowania nadbrzeżne zlewały się w jedną, fantastyczną masę. Stare, wysokie magazyny, wznoszące się po obu stronach rzeki,

wybijały się w ciężkich i posępnych zarysach ponad gęste rojowisko dachów, szczytów i kominów i spoglądały ponuro na płynące u ich stóp nurty, które były zbyt ciemne, aby jakiekolwiek bądź kształty mogły się w nich odbijać.

Z mgły i ciemności występowały nieco wyraźniej wieże dwuch starych kościołów: Zbawiciela i Św. Magnusa, będących niejako olbrzymiemi strażnicami prastarego mostu, natomiast maszty i żagle statków na rzece, oraz sięgające wysoko w górę wieżyce innych kościołów, zarysowywały się ledwie widocznie.

Kobieta przeszła kilkakrotnie most tam i z powrotem, mając za sobą stale tajemniczego towarzysza, kiedy zegar na wieży Św. Pawła zaczął wydzwaniać śmierć ubiegłego dnia. Północ zstępowała na miasto; na wspaniałe pałace i najnędzniejsze szynkownie, na więzienia i domy obłąkanych, na miejsca narodzin i śmierci, zdrowia i choroby, na stężałe twarze nieboszczyków i spokojny sen dziecinny. Północ zstępowała na wszystko i wszystkich.

Zaledwie przebrzmiały ostatnie uderzenia zegara, gdy dał się słyszeć turkot nadjeżdżającego powozu, który zatrzymał się w pobliżu mostu. Wysiadła z niego młoda panienka, a za nią siwy jegomość. Oboje weszli na most i przystanęli, rozglądając się dokoła. Kobieta, która od pewnego czasu spacerowała tam i z powrotem, spostrzegła ich zaraz i niezwłocznie zwróciła się ku nim. Oni zaś, nie zauważywszy jej jeszcze, ruszyli powoli naprzód. Widoczne było, że poszukują kogoś, z małą jednak nadzieją znalezienia tej osoby. Gdy zobaczyli nadbiegającą kobietę, zatrzymali się, a z ust ich wyrwał się lekki okrzyk zdumienia, który stłumili jednak natychmiast, zauważywszy człowieka w robotniczem

ubraniu, który przeszedł tuż obok i nawet otarł się o nich.

— Chodźmy stąd — szepnęła Nancy gorączkowo. — Boję się rozmawiać w tem miejscu. Zejdźmy ludziom z drogi... Tam na tych schodach będziemy może bezpieczni.

Właśnie kończyła te słowa, wskazując ręką schody, na których chciała się rozmówić, gdy ów furman obrócił się nagle, zapytał rubasznie, dlaczego zajmują cały chodnik i tamują ruch publiczny, poczem powlókł się dalej.

Schody, które Nancy wskazała Róży i panu Brownlow, znajdują się po tej stronie mostu, gdzie wznosił się kościół Zbawiciela, i prowadzą ku miejscu, do którego przybijają zwykłe mniejsze statki. Do owych schodów furman dobiegł tak szybko, że nikt go nie zauważył, a obejrzawszy się ostrożnie, zaczął schodzić po nich nadół.

Schody składały się z trzech kondygnacyj i stanowiły część mostu. Między jedną kondygnacją a drugą wznosiła się ściana, zakończona ozdobnym słupem, który mógł służyć za doskonałe schronienie przed osobami, znajdującemi się na schodach.

Furman, znalazłszy się w tem miejscu, rzucił bacznie okiem dokoła, a przekonawszy się, że nikt go nie widzi, wsunął się za słup, oparł o niego plecami i oczekiwał przybycia Nancy oraz dwojga jej znajomych. Przypuszczał, że zatrzymają się właśnie tutaj. Gdyby nawet nie mógł słyszeć ich rozmowy, to w każdym razie kryjówka była dla niego dogodna, bo nie tracił Nancy z oczu i mógł udać się za nią, skoro tylko stąd się oddali.

Czas dłużył się Bolterowi niezmiernie, pragnął bowiem jak najprędzej odkryć powody tajemniczej schadzki. Chwilami zaczynał nawet przypuszczać, że wszystko jest stracone, że owa trójka albo za-

trzymała się wyżej, albo udała się na rozmowę gdzieindziej. Zamierzał nawet opuścić kryjówkę, lecz w tej chwili właśnie usłyszał odgłos kroków, a niebawem i głosy rozmawiających. Wyprężył się wzdłuż słupa i, tamując oddech, słuchał uważnie.

— Już dostatecznie daleko — mówił głos, należący zapewne do starszego pana. — Dalej nie pójdziemy. Okazaliśmy już chyba dosyć chęci dogodzenia ci, idąc za tobą aż tutaj.

— Dogodzenia mi? — powtórzył głos dziewczyny, którą śledzono. — Jest pan, jak widzę, bardzo ostrożny. Dogodzenia mi! Ostatecznie nie o to chodzi.

— Więc wyjaśnij nam — odezwał się pan Brownlow nieco łagodniej — dlaczego sprowadziłaś nas aż tutaj? Przecież mogliśmy rozmówić się na górze, gdzie jest nieco jaśniej i ruchliwiej. Poco przywiodłaś nas w tą ciemną i wstrętną dziurę?

— Mówiłam już państwu — odparła Nancy — że obawiałam się rozmawiać z niemi na moście. Coś dziwnego dzieje się dzisiaj ze mną — dodała, wzdrygnąwszy się. — Czuję taki niepokój, że ledwie mogę utrzymać się na nogach.

— Niepokój przed czem? — zapytał pan Brownlow jakby ze współczuciem.

— Nie wiem — odpowiedziała dziewczyna. — Przez cały dzień snuły mi się przed oczyma obrazy śmierci, białe całuny, krwią zbryzgane; ogarniała mnie trwoga, czułam żar ognia... Chcąc skrócić oczekiwanie nadejścia nocy, zaczęłam czytać, ale te same obrazy widziałam na kartach książki.

— Urojenia — rzekł uspokajająco pan Brownlow.

— Nie, to nie urojenia — zaprzeczyła Nancy ochrypłym głosem. — Przysiąc mogę, że na każdej karcie książki widziałam wyraz „trumna“, odbity

wielkiemi, czarnemi głoskami. A gdy przechodziłam ulicą, przeniesiono trumnę tuż koło mnie tej nocy.

— No, to przecież nic szczególnego — zauważył pan Brownlow. — W mieście często można spotkać trumnę.

— Prawdziwą, tak — rzekła dziewczyna — ale ta nie była prawdziwa...

Nancy przemawiała tak dziwnie, że Bolter, pozostający ciągle w ukryciu, doznał ścierpnięcia skóry i krew mu w żyłach zastygła; prawdziwą ulgę przyniósł mu głos Róży, która zaczęła uspakajać Nancy i przekonywać ją, że obawy tego rodzaju nie mają żadnej podstawy.

— Proszę być dla niej dobrym — mówiła Róża, zwracając się do pana Brownlow. — Biedaczka! Potrzebuje ciepłego słowa.

— Gdyby widziały mię były dzisiaj pobożne kobiety — mówiła Nancy — niewątpliwie uznałyby moje udręczenia za słuszną i sprawiedliwą karę Bożą, i mówiłyby mi o mękach piekielnych. Ach, droga pani, dlaczego wśród ludzi, uważających się za wybrańców Boga, niema więcej równie wyrozumiałych i dobrych jak pani! Dlaczego pani, posiadająca wszystkie zalety, jakie kobieta posiadać może, dlaczego pani nie wydaje się wcale dumną, i okazuje litość nam, nieszczęśliwym nędzarzom?

— Ach — rzekł starszy pan — Turek zwraca ku Wschodowi twarz, obmytą przedtem starannie, gdy zabiera się do modlitwy; pobożniś obraca ją ku najciemniejszej stronie nieba, a zamiast ablucji, ściera z niej wszelki uśmiech w stosunku do otaczającego świata. Doprawdy, porównanie między muzułmaninem a faryzeuszem wypada na korzyść pierwszego!

Pan Brownlow wypowiedział prawdopodobnie te słowa do młodej pani, aby pozwolić Nancy przyjść

tymczasem do siebie. Po chwili zwrócił się wprost do dziewczyny:

— Nie byłaś tutaj ubiegłej niedzieli?

— Nie mogłam przyjść, zatrzymano mię w domu przemocą — odparła Nancy.

— Kto cię zatrzymał?

— Ten człowiek, o którym opowiadałam pani przedtem.

— Spodziewam się jednak — przerwał pan Brownlow — że nie podejrzewa cię nikt o zawiązanie stosunku z obcymi ludźmi we wiadomej nam sprawie?

— To wykluczone — odparła Nancy. — Ale trudno mi wyjść z domu bez opowiedzenia się. I wówczas nie byłabym się wymknęła, gdyby nie dawka opjum, dodana do lekarstwa.

— A gdy wróciłaś, czy spał jeszcze?

— Spał jeszcze długo. I jestem pewna, że nie podejrzewa mię zupełnie.

— To dobrze. A teraz posłuchaj.

— Słucham — rzekła dziewczyna.

— Ta panienka — rozpoczął pan Brownlow — powtórzyła mnie i kilku jeszcze zaufanym przyjaciołom to wszystko, co opowiedziałaś jej przed dwoma tygodniami. Przyznam się otwarcie, że z początku nie dowierzałem ci, nie byłem pewny, czy wiadomości twoje są wiarogodne. Teraz nabrałem przekonania, że można na tobie polegać.

— Można — rzekła Nancy poważnie.

— Powtarzam raz jeszcze — ciągnął dalej staruszek — że już w to nie wątpię. Ażeby dać ci dowód naszego zaufania, mówię bez dalszych zastrzeżeń, że postanowiliśmy wydobyć od Monksa tajemnicę, dotyczącą Oliwera. Jeżeli jednak nie będziemy mogli go ująć, lub w razie ujęcia nawet nie zdołamy

wydobyć z niego potrzebnych wiadomości, w takim razie będziesz musiała wydać nam Żyda.

— Fagina?! — zawołała Nancy przerażona.

— Tak jest — potwierdził pan Brownlow. — Tego łotra musisz nam wydać.

— Nigdy tego nie uczynię! Za nic na świecie — rzekła Nancy. — Choć to prawdziwy szatan, a nawet w stosunku do mnie gorzej niż szatan, mimo to nie zdradzę go nigdy.

— Więc odmawiasz? — zapytał staruszek, który zdawał się być przygotowany na podobną odpowiedź.

— Odmawiam.

— Dlaczego?

— Przedewszystkiem z powodu, o którym pani wie. Uznała go pani za słuszny i teraz stanie pani po mojej stronie, gdyż mi to pani przyrzekła. Wydając Żyda, naraziłabym człowieka, który prowadzi życie nikczemne, lecz i ja lepsza nie jestem. Wszyscy zresztą moi towarzysze prowadzą takie życie, ale ja ich nie zdradzę, tak jak nie zdradzili mię oni nigdy, choć mogli byli to uczynić.

— W takim razie — podchwycił żywo pan Brownlow — wydaj nam Monksa i pozwól, że postąpimy z nim tak, jak uznamy za stosowne.

— A jeśli zdradzi on innych?

— Daję ci słowo, że wszelkie inne jego zeznania puścimy w niepamięć, a skorzystamy tylko z tych, które dotyczą naszej sprawy. Z pochodzeniem Oliwera i jego życiem są prawdopodobnie związane okoliczności, którychbyśmy nie chcieli światu przedstawić. Jeżeli zaś wydostaniemy od Monksa to, czego nam potrzeba, wówczas spożytkujemy to bez rozgłosu.

— Jeżeli jednak Monks nie uczyni zadość waszym żądaniom, cóż wtedy będzie?

— I wówczas nie zaczepimy Żyda bez twojej zgody. Gdy będziemy zmuszeni chwycić się tej ostateczności, przedstawimy ci takie powody, że z pewnością uznasz je za słuszne.

— Czy i panienka ręczy za to wszystko? — spytała Nancy.

— Ręczę — potwierdziła Róża. — Masz na to moje szczere i prawdziwe przyrzeczenie.

— A czy Monks nie dowie się nigdy, kto dostarczył wam wiadomości o nim? — zapytała jeszcze Nancy.

— Nigdy! — zapewnił pan Brownlow. — Będziemy postępowali tak ostrożnie, że nie poweźmie nigdy najmniejszego podejrzenia.

— Kłamałam często i od kolebki żyję wśród ludzi, którzy karmią się tylko fałszem — rzekła Nancy po chwili milczenia — a jednak ufam waszemu słowu.

Po uzyskaniu żądanego przyrzeczenia, Nancy wskazała im dokładnie szynk „Pod Trzema Kalekami“, w którym Monks widuje się zwykle z Faginem, opisała cały jej rozkład, objaśniła w jakich dniach i godzinach zastać go tam można, nawet z jakiego miejsca należy go śledzić, bez zwrócenia na siebie czyjejkolwiek uwagi. Mówiła tak cicho, że Noe nie mógł wszystkiego usłyszeć. Często przerywała dawane informacje, z czego można było wnosić, że pan Brownlow notuje jej zeznania.

— A teraz powiedz, jak wygląda? — rzekł stary jegomość, gdy skończyła opis szynku.

— Jest wysokiego wzrostu — mówiła powoli — barczysty, ale niezbyt silny. Chód ma ostrożny, skradający się. Idąc, ma zwyczaj często w tył spoglądać, to przez jedno ramię, to przez drugie. Oczy ma dziwne, są one tak zapadnięte, że zwracają na siebie uwagę. Twarz smagła, śniada, włos i oczy

czarne. Lat około 26—28, ale wygląda daleko starzej. Usta miewa często sine, poranione zębami, gdyż cierpi na wielką chorobę i podczas ataku kaleczy sobie nietylko usta, ale i piersi. Co panu jest? — przerwała nagle Nancy.

— Nic mi nie jest — odparł pan Brownlow — proszę cię, mów dalej.

— Cały ten opis wyciągnęłam nieznacznie od innych, bo sama widziałam go zaledwie dwa razy i w dodatku otulonego płaszczem... Nie przypominam sobie innych szczegółów jego postaci...

— A, to ważne — dodała po chwili milczenia. — Gdy odwróci głowę, to można spostrzec na jego szyi powyżej kołnierzyka...

— Wielkie, czerwone znamię! — podchwycił żywo pan Brownlow.

— Jakto, więc pan go zna? — zawołała Nancy zdumiona.

Róża także nie mogła powstrzymać okrzyku, poczem chwilę panowało takie milczenie, że Noe mógł słyszeć ich oddechy.

— Zdaje się, że go znam — rzekł pan Brownlow, przerywając milczenie. — Twój rysopis zgadza się zupełnie z dobrze mi znaną postacią. Zobaczymy zresztą. Często można spotkać osoby bardzo do siebie podobne; kto wie, czy i w danym razie nie zachodzi to samo.

Wypowiedziawszy to napozór obojętnie, pan Brownlow podszedł widocznie ku murowanej barjerze, gdyż Bolter usłyszał wyraźnie, że szepnął do siebie:

— To on! Nie ulega wątpliwości, że to on.

Potem, sądząc po natężeniu głosu, musiał znowu zbliżyć się do Róży i Nancy.

— Oddałaś nam, dziewczyno, ważną przysługę — rzekł — pragnęlibyśmy odwdzięczyć ci się należycie. Powiedz, proszę, co możemy dla ciebie uczynić?

— Nic — odparła Nancy.

— Spodziewam się, że to nie jest ostateczna twoja odpowiedź — rzekł staruszek z ujmującą i serdeczną szczerością. — Namyśl się dobrze i powiedz.

— Nic, proszę pana — szepnęła Nancy przez łzy.

— Ja już jestem zgubiona, niema dla mnie żadnej nadziei ratunku

— Wmawiasz w siebie tę beznadziejność — podjął pan Brownlow. — Los cię dotknął srodze; zmarnowałaś pierwsze twoje lata, roztrwoniłaś skarby młodości, któremi Bóg wyposaża człowieka raz tylko w życiu. Ale masz przed sobą całą przyszłość. Nie możemy cię łudzić zapewnieniem, że w naszej mocy spoczywa możność przywrócenia ci spokoju sumienia i duszy, gdyż o to sama musisz się postarać; ale możemy zapewnić ci bezpieczne schronienie, z dostatniem utrzymaniem, bądź w Anglji, bądź w innym kraju, i to pragniemy uczynić. Zanim nadejdzie dzień i pierwsze promienie słońca oświecą nurty tej rzeki, możesz już być stąd bardzo daleko, poza obrębem wszelkich śledztw i poszukiwań twoich towarzyszy. Zginiesz dla nich, przepadniesz raz na zawsze, nie pozostawiwszy po sobie najmniejszego śladu. Daj się namówić; nie chciałbym, żebyś miała wrócić do otchłani hańby i zbrodni, żebyś zamieniła choć jedno słówko z dawnymi towarzyszami, żebyś znów miała oddychać zabójczem powietrzem występku. Porzuć hańbiące życie, skoro zdarza się po temu czas i sposobność.

— Ona da się namówić — zawołała Róża. — Już się waha, jak widzę.

— A ja myślę, że nie — rzekł pan Brownlow.

— Tak jest, nie dam się namówić — odezwała się Nancy po krótkiej wewnętrznej walce. — Jestem przykuta do dawnego życia. Nienawidzę go teraz, ale wyrzec się go nie mogę. Zbyt daleko już zaszłam, żebym teraz mogła wracać. Gdybyście przemówili do mnie wcześniej nieco w ten sposób, kto wie...

Nagle rozejrzała się z obawą dokoła i szepnęła:

— Znów ogarnia mię niepokój... Muszę wracać do domu.

— Do domu! — powtórzyła Róża z naciskiem.

— Do domu, proszę pani — odparła Nancy — do takiego domu, jaki sobie sama swojem życiem zbudowałam. Chodźmy już stąd. Obawiam się, czy kto mię nie śledzi i nie widzi... Chodźmy! Chodźmy! Jeżeli istotnie oddałam wam przysługę, to wzamian za nią pozwólcie mi oddalić się, nie zatrzymujcie mię dłużej!

— Więc wszystkie usiłowania nasze były daremne... — rzekł pan Brownlow z westchnieniem. — Może w samej rzeczy narażamy ją na niebezpieczeństwo, zatrzymując dłużej. Może nawet zabraliśmy jej zbyt wiele czasu.

— To prawda! To prawda! — potwierdziła Nancy.

— I jakiż koniec twego życia, biedaczko? Co cię czeka — zawołała Róża.

— Co mnie czeka? — powtórzyła Nancy. — Rzuć okiem przed siebie, panienko, spojrzyj na te mętne nurty... Często czytasz w dziennikach o istotach, równie jak ja nieszczęśliwych, które szukają w tych nurtach śmierci. Giną, nie pozostawiając po sobie żalu, bo nie mają nikogo na świecie, ktoby łzę po nich uronił, lub chociażby wspomniał o nich ze współczuciem. Może za kilka lat, a może już za kilka tygodni i ja ostatecznie dojdę do tego samego.

— O proszę cię, nie mów tak! — przerwała Róża, nie mogąc łez powstrzymać.

— To nigdy do ciebie nie dojdzie, proszę pani — rzekła Nancy — i niech Bóg panią przed tem strzeże! Dobrej nocy! Dobrej nocy!

Pan Brownlow zawrócił z powrotem.

— Przyjmijże choć trochę grosza, bardzo cię o to proszę — mówiła młoda panna. — Będziesz miała przynajmniej jaką zapomogę na czarną godzinę.

— Nie — rzekła Nancy — czyż ja oddałam wam przysługę dla pieniędzy? Nie krzywdźcie mię takiem posądzeniem... Ale niech mi pani da coś, co pani na sobie nosiła, jaki drobiazg...

A widząc, że Róża ściąga pierścionek z palca, dodała pospiesznie:

— Nie, nie pierścionek, ani nic kosztownego. Chusteczkę, rękawiczkę, coś, co należało do pani. O, to właśnie...

— Niech was Bóg błogosławi i strzeże... Dobranoc! Dobranoc!

Pan Brownlow z Różą udali się na górę, pozostawiając Nancy przy murowanym słupie.

Na ostatnim stopniu schodów Róża zatrzymała się jeszcze.

— Czy to nie ona woła? — szepnęła nadsłuchując. — Zdaje mi się, że słyszałam jej głos.

— Myli się pani, panno Różo — rzekł pan Brownlow — nie ruszała się z miejsca i nie ruszy dopóty, dopóki nie będzie pewna, żeśmy się stąd oddalili.

Róża ociągała się jeszcze, ale staruszek ujął ją pod rękę i prawie przemocą zaprowadził do oczekującego przy moście powozu.

Gdy znikli, Nancy upadła na kamienne stopnie i zalała się gorzkiemi łzami. Przyniosły one ulgę jej zbolałemu sercu. Po chwili wstała, otarła oczy i powoli ciężkim krokiem powlokła się również na górę.

Noe, zdumiony dokonanem odkryciem, czas jakiś nie ruszał się z miejsca. Wreszcie wysunął głowę z kryjówki, obejrzał się na wszystkie strony, a upewniwszy się, że niema w pobliżu żywej duszy, wrócił na górę w ten sam sposób, w jaki był zeszedł nadół. Tutaj raz jeszcze zbadał dokładnie sytuację, poczem rozpoczął odwrót ku mieszkaniu Fagina tak szybko, ile mu tylko sił starczyło.

Rozdział czterdziesty siódmy.

Fatalne skutki.

Dochodziła czwarta rano.

O tej godzinie, którą w jesieni można nazwać konaniem nocy, ulice Londynu są jeszcze puste i milczące; wszelkie odgłosy brzmią jakby sennie, leniwo; złość i rozpusta przyczajają się po domach dla chwilowego odpoczynku.

O tej cichej godzinie Fagin jednak nie spał. Czuwał w swojej ohydnej norze, a twarz miał tak bladą i zmienioną, oczy krwią nabiegłe, że wyglądał raczej na upiora, który powstał z grobu i jest dręczony przez złego ducha, niż na żywego człowieka. Siedział zgarbiony przy wygasłym kominku, otulony starą, podartą kołdrą, wpatrzony w dopalającą się tuż obok na małym stoliczku świecę. Prawą rękę trzymał przy ustach i, zatopiony w ponurych myślach, odgryzał zawzięcie długie, brudne paznokcie; przy tej czynności odsłaniał dziąsła, w których sterczało na przedzie kilka pieńków, podobnych do zębów buldoga, czy też szczura.

Na sienniku, rozpostartym na ziemi, chrapał głośno Noe Claypole.

Od czasu do czasu Żyd zwracał oczy ku niemu, lecz zaraz potem kierował je znowu na świecę, której knot, dawno nie objaśniany, zwieszał się nadół

zwęglonem pasmem, wydawał swąd nieznośny i topił łój, spływający po lichtarzu na blat stołu.

Stary łotr miał o czem myśleć. Wściekłość spowodowana rozwianiem się planów; nienawiść do dziewczyny, która ośmieliła się wejść w porozumienie z nieznanymi ludźmi; obawa, czy dziewczyna wytrwa w postanowieniu, i nie wyda go w ręce sprawiedliwości; zawód, doznany w zamiarze zemszczenia się na Bilu, groza uwięzienia sądu i śmierci; oto były namiętne uczucia, które burzyły go do najwyższego stopnia i ogarniały szaloną niemal rozpaczą. Głowa pękała mu od nawału myśli, które tłoczyły się bezładnie, tworząc w niej dziki chaos...

Siedział tak długo bez ruchu, nie licząc upływającego czasu, i dopiero odgłos kroków na ulicy wyprowadził go z odrętwienia.

— Nareszcie! — szepnął, przesuwając palcami po wyschłych, spieczonych wargach. — Nareszcie!

W tej chwili odezwał się cichy dzwonek.

Fagin natychmiast wstał, wyszedł i niebawem wrócił w towarzystwie człowieka, otulonego szczelnie płaszczem, i dźwigającego jakiś tłomok.

Gdy człowiek usiadł i zrzucił płaszcz ze siebie, ukazała się otyła postać Billa Sikesa.

— Masz! — zawołał, rzucając zawiniątko na stół. — Zabierz to pod swoją opiekę i stop jak najkorzystniej. Dużo kosztowało mię to pracy. Myślałem, że załatwię się z tem trzy godziny wcześniej.

Fagin wziął tłomok, schował go do skrzyni i, nie rzekłszy słowa, usiadł znów naprzeciwko Billa i wlepił w niego oczy. Wargi mu przytem drżały, ciało dygotało jak w febrze, co w połączeniu z okropnym wyrazem jego twarzy tak zaniepokoiło bandytę, że odsunął się od niego z krzesłem i zapytał:

— Co ci jest, Fagin? Dlaczego na mnie tak spoglądasz?

Żyd podniósł prawą rękę do góry, skinął kilkakrotnie kościstym palcem, zabierając się widocznie do odpowiedzi, lecz wzruszenie nie pozwoliło mu wymówić ani słowa.

— Do djabła — mruknął Sikes coraz bardziej zaniepokojony. — Oszalał chyba, muszę się mieć na ostrożności.

— Nie obawiaj się, Billu — wyjąknął nakoniec Fagin. — To nie o ciebie chodzi, Billu, to nie ty... Ja nic nie mam przeciwko tobie...

— Czy tak? Nic nie masz przeciwko mnie? — powtórzył Bill, wydobywając z zanadrza pistolet i wsuwając go do zewnętrznej kieszeni. — Tem lepiej dla jednego z nas. Mniejsza o to dla którego.

— Mam ci coś powiedzieć, Billu — odezwał się Żyd, przysuwając się z krzesłem do niego. — Mam ci coś powiedzieć, co przerazi cię jeszcze więcej, niż mnie.

— Doprawdy? — mruknął bandyta niedowierzająco. — Więc mów prędko, bo Nancy będzie myślała, żem przepadł.

— Przepadł? — powtórzył Fagin. — Wiedz, Billu, że ona czeka tylko na to.

Sikes spojrzał na Żyda, ale nie mógł nic wyczytać z jego wykrzywionej twarzy, więc chwycił go swą muskularną dłonią za kark i wstrząsnął z całej siły.

— Gadaj zaraz — rzekł — albo cię tak przycisnę, że ducha wyzioniesz! Otwórz raz gębę i gadaj jasno, wyraźnie... Zaczynaj, przeklęty kościotrupie!...

— Przypuśćmy, że ten młokos, co tu leży... — zaczął Fagin.

Sikes spojrzał na Boltera, jak gdyby go dotąd nie zauważył, potem rzucił krótko:

— Dalej!

— Przypuśćmy, że ten chłopiec zdradził nas, w porozumieniu z obcymi ludźmi. Z ludźmi tymi

miewał schadzki, podczas których dał im najdokładniejszy rysopis wszystkich, opisał szczególne, charakterystyczne znamiona; wskazał ponadto kryjówkę, gdzie zbieramy się w celu wzajemnego porozumienia. I to wszystko uczynił z fantazji, bez najmniejszego powodu, dlatego tylko, że mu się tak podobało. Uważaj, Billu! Uczynił to nie z konieczności, nie z musu, nie będąc aresztowanym i uwięzionym, nie będąc badanym, bez gróźb, lecz dobrowolnie, mając w tem jakiś cel własny. Wykradał się w nocy i biegł do naszych wrogów, aby zdradzić nas i wydać... Słyszysz, Billu — krzyczał Żyd z wściekłością w oczach. — Przypuśćmy, że on to uczynił. Jakbyś z nim postąpił w takim razie?

— Jakbym z nim postąpił — powtórzył bandyta ponuro. — Ująłbym go natychmiast i tym oto obcasem roztrzaskałbym mu łeb na tyle kawałków, ile mam włosów na głowie.

— A gdybym, naprzykład, ja to uczynił, Billu? — wrzasnął znów Żyd. — Ja, co znam wszystkie nasze sprawy, ja, który mogę pociągnąć za sobą na szubienicę niejednego?

— Nie wiem! — mruknął bandyta, zgrzytając zębami i blednąc z przerażenia na samą myśl o podobnej rzeczy. — Chyba postarałbym się o to, żeby okuto mię w więzieniu w najcięższe kajdany i tak stawiono przed sądem wówczas, gdy ty będziesz nas oskarżał. I rzuciłbym się wtedy na ciebie przy wszystkich i roztrzaskałbym ci czaszkę...

To rzekłszy, potrząsnął potężną pięścią i dodał jeszcze:

— A bądź pewien, że zmiażdżyłbym ci mózgownicę, jak gdyby przejechały po niej koła ciężarowego wozu.

— Uczyniłbyś to w samej rzeczy?

— Niewątpliwie. Jak mnie tu żywego widzisz.

— A gdyby tym zdrajcą był Smyk, Karołek, Betsy, lub...

— Wszystko jedno — przerwał mu Sikes niecierpliwie. — Ktokolwiek dopuściłby się zdrady, odpłaciłbym mu w ten sposób.

Fagin spojrzał badawczo w oczy bandyty, poprosił go o chwilowy spokój, poczem zbliżył się do Boltera i szarpnął go silnie za ramię. Sikes, siedząc na krześle, z rękoma wspartemi o kolana, patrzył z podziwem na te zagadkowe przygotowania.

— Bolter! Obudźno się, Bolter! Biedny chłopiec — mówił Żyd z udanem ubolewaniem, w którym przebijała się głucha wściekłość — on jest bardzo, bardzo znużony, gdyż z jej powodu musiał dziś długo czuwać. Tak, Billu, z jej powodu.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał Sikes, rzucając się na krześle.

Żyd nie dał mu żadnej odpowiedzi, tylko w dalszym ciągu budził Boltera, którego wkońcu podniósł i usadowił na barłogu. Bolter ocknął się, przetarł oczy, ziewnął kilkakrotnie i spojrzał dokoła sennym wzrokiem.

— Opowiedz jeszcze raz wszystko, on musi usłyszeć wszystko z twoich ust — rzekł Fagin, wskazując ręką Billa.

— Co mam opowiedzieć? — zapytał zaspany Noe przeciągle.

— Wszystko o Nancy — rzekł Fagin, chwytając Billa za rękę, jak gdyby chciał przykuć go do miejsca i zmusić do wysłuchania całej opowieści. — Wszakżeś ją śledził?

— Ano tak.

— Aż do Londyńskiego Mostu.

— Tak.

— Gdzie spotkała się z dwoma osobami?

— Nieinaczej.

— Był to jakiś stary pan i młoda panienka, prawda? Z tą panienką Nancy widziała się dawniej. Stary pan zażądał od Nancy, żeby mu wskazała nas wszystkich, a naprzód Monksa — co też uczyniła, prawda? Zażądał, żeby opisała mu Monksa dokładnie — co też uczyniła, prawda? Zażądał, żeby wskazała mu dom, gdzie się wszyscy zbieramy — co też uczyniła, żeby powiedziała mu, w jakich godzinach tam się schodzimy — co też uczyniła. Słowem dała wszystkie wskazówki, jakich chciał, powiedziała wszystko bez najmniejszego wahania, bez oporu, bez zająknienia. Prawda? No, mówże czy to nieprawda? — wrzeszczał Żyd, napół obłąkany z wściekłości.

— Juścić prawda, wszystko to powiedziała — potwierdził Noe, drapiąc się w głowę.

— A co mówiła o przeszłej niedzieli?

— O przeszłej niedzieli? — powtórzył Noe. — Przecież już wam to powiedziałem...

— Powtórz raz jeszcze! Powtórz dokładnie raz jeszcze! — krzyknął Fagin, pryskając z ust spienioną śliną, przyczem jedną ręką ściskał mocno ramię Billa, a drugą wymachiwał gwałtownie.

— Oni chcieli się dowiedzieć, dlaczego wtedy nie przyszła — odparł Noe, który otrzeźwiał prawie zupełnie i zaczął się domyślać, kto siedzi obok Fagina — a ona im powiedziała, że nie mogła.

— Ale dlaczego? Dlaczego nie mogła? Powiedz mu to!

— Dlatego, że zatrzymał ją przemocą w domu Bill, o którym dawniej wspomniała.

— Dalej! Dalej! Co więcej mówiła o tym Billu, mów szczegółowo, mów!

— Co mówiła? Mówiła, że trudno jej wydalać się z domu, że musi opowiadać się zawsze Billowi dokąd i po co idzie — rzekł Noe — mówiła, że kiedy

po raz pierwszy wymknęła się na schadzkę z tą panną, to musiała Billa uśpić opjum.

— Do kroćset djabłów — krzyknął Sikes, wyrywając się z rąk Żyda. — Puszczaj mię!

Odepchnął Fagina i w przystępie dzikiej wściekłości, wypadł z izby i zbiegł ze schodów.

Żyd wyleciał za nim, wołając:

— Billu! Billu Zatrzymaj się... Jedno słowo... Tylko jedno słowo! — krzyknął Fagin, biegnąc za nim.

Bill byłby z pewnością tego słowa nie usłyszał gdyby go nie były zatrzymały drzwi od ulicy, zamknięte na klucz.

— Puszczaj mię! Otwieraj! — wołał. — I nie mów do mnie, nic, nic, bo możesz tego pożałować! Puszczaj!

— Małe słówko Billu! Małe słówko — rzekł Fagin, kładąc rękę na klamce. — Przecież nie myślisz...

— Dosyć — przerwał bandyta.

— Przecież nie będziesz zbyt gwałtowny, Billu?

Dniało już, i w sieni było o tyle jasno, że obaj mogli widzieć dobrze swoje twarze. Wymienili między sobą jedno krótkie spojrzenie, ale ich złowrogo płonące oczy mówiły wyraźnie wszystko.

— Chciałem powiedzieć — rzekł Fagin, chcąc pokazać, że granie wszelkiej komedji jest w tej chwili zbyteczne — chciałem powiedzieć, żebyś nie był zbyt gwałtowny ze względu na własne bezpieczeństwo. Bądź bezwzględny, ale nie zanadto porywczy.

Bill nic na to nie odpowiedział, pchnął drzwi, otwarte kluczem przez Żyda, i rzucił się w puste ulice.

Pędził bez tchu, bez zastanowienia, bez odwracania głowy na prawo, czy na lewo. Oczy miał przed

siebie wpatrzone, szczęki tak zaciśnięte, że zdawały się być widoczne przez skórę. Zatrzymał się dopiero przed domem, w którym mieszkał, otworzył drzwi od mieszkania jak mógł najciszej, a znalazłszy się w pokoju, obrócił dwa razy klucz w zamku, zatarasował wejście stołem, poczem zbliżył się do łóżka i odsunął jego zasłonę.

Na łóżku spała Nancy, napół ubrana. Obudziła się natychmiast i siadła na łóżku, patrząc z przerażeniem dokoła.

— Wstawaj! — zawołał mężczyzna.

— A, to ty, Billu? — powitała go dziewczyna z pewnym odcieniem radości.

— Widzisz przecież — brzmiała odpowiedź. — Wstawaj!

W mieszkaniu paliła się świeca, którą Sikes wyjął z lichtarza i rzucił w kąt.

Nancy, widząc, że już dnieje, chciała podnieść zasłonę u okna.

— Niepotrzeba! — rzekł Sikes, wyciągając przed siebie rękę — mamy dość światła do tego, co chcę uczynić.

— Billu — zapytała dziewczyna cichym głosem — Dlaczego patrzysz tak na mnie?

Bandyta mierzył ją przez chwilę dzikiem spojrzeniem, następnie podskoczył ku niej, chwycił za włosy i gardło, pociągnął na środek izby i potężną dłoń położył na jej ustach.

— Billu! Billu! — jęknęła Nancy, szamocąc się z nim w śmiertelnym strachu — nie będę płakała, nie będę krzyczała, tylko mię wysłuchaj Billu! Czego chcesz ode mnie? Com zawiniła?

— Coś zawiniła — powtórzył Bill chrapliwie. — Ty sama wiesz doskonale, szatanie, coś mówiła! dzisiejszej nocy, podsłuchano wszystko, coś mówiła!

— Billu, na Boga, nie odbieraj mi życia — wołała z rozpaczą dziewczyna, czepiając się obu jego rąk konwulsyjnie. — Billu, drogi Billu, zlituj się nade mną, jak ja dziś litowałam się nad tobą! Billu, czy miałbyś serce mię zabić? Jeżeli wiesz, com mówiła, to musisz wiedzieć, czego wyrzekłam się dla ciebie! Zastanów się nad tem, Billu... Tyś powinien się nad tem zastanowić i przynajmniej tej zbrodni nie popełnić, ty nie możesz mię zabić! Błagam cię, Billu mój, zaklinam na Boga, miej litość nade mną, nad sobą samym, nie odbieraj mi życia, nie przelewaj mojej krwi! Byłam ci zawsze wierną, przysięgam na moją grzeszną duszę.

Bandyta mocował się z nią gwałtownie, usiłując oderwać od siebie jej ręce, któremi go opasała, wysiłki jego przecież pozostawały daremne.

— Billu — wołała dziewczyna, probując oprzeć głowę na jego szerokiej piersi. — Ten stary pan i ta słodka panienka namawiali mię, żebym się przeniosła w dalekie strony, gdzie mogłabym pędzić spokojne i samotne życie. Pozwól mi zobaczyć się z nimi raz jeszcze i błagać ich na kolanach, żeby i dla ciebie okazali się równie wspaniałomyślni. Opuścimy to okropne miejsce i rozpoczniemy gdzieindziej nowe, lepsze życie, wyrzekając się przeszłości, zapominając o niej zupełnie. Na żal i pokutę nie jest nigdy za późno. Tak mi powiedzieli, a ja czuję teraz, że mówili prawdę. Pozwól mi Billu, to uczynić, błagam cię...

W tej chwili bandyta uwolnił jedną rękę z jej ramion i wydobył z kieszeni pistolet. Już odwiódł kurek, gdy nagle, pomimo uniesienia, zorjentował się, że wystrzał sprowadzi ludzi. Wytężył więc wszystkie siły i uderzył kilkakrotnie kolbą pistoletu w głowę i twarz, zwróconą błagalnie ku niemu.

Nancy zachwiała się i upadła, oślepiona krwią, która wytrysła z głębokiej rany na czole. Po chwili

jednak uklękła z trudnością, wydobyła z zanadrza białą chusteczkę, ofiarowaną jej przez Różę, i trzymając ją w złożonych rękach, zaczęła słabym głosem modlić się do Boga, prosząc go, aby przebaczył zabójcy.

Sikes nie mógł znieść tego widoku... Zachwiał się, potoczył ku ścianie i, zasłaniając dłonią oczy, chwycił grubą pałkę i dobił nią nieszczęśliwą ofiarę.

Rozdział czterdziesty ósmy.

Ucieczka Sikesa.

Ze wszystkich zbrodni, jakie popełniono w Londynie tej nocy pod osłoną ciemności, ta, której się Sikes dopuścił, była najokropniejsza. Jej szał i okrucieństwo mieszał się z najohydniejszemi wyziewami, unoszącemi się rano nad miastem.

Słońce, wspaniałe słońce, które nietylko obdarza nas światłem, ale budzi nowe życie w przyrodzie i niesie z sobą nadzieję i świeże siły — to słońce wzeszło nad miastem w całym swym majestacie i świetności. Złote jego promienie przedzierały się przez witraże i małe pozaklejane papierem szybki oświecały domy Boże i nędzne lepianki. Zajrzało też do ponurej izby, w której leżała zamordowana dziewczyna.

Sikes próbował bronić im przystępu, lecz usiłowania jego były daremne.

Przy szarym brzasku dnia widok zamordowanej był okropny, okropniejszy przecież stał się jeszcze teraz, w pełnem słonecznem oświetleniu.

Sikes nie ruszył się z miejsca; stał jak skamieniały.

Naraz uszu jego dobiegł słaby jęk, oczy dostrzegły kurczowe drgania jej ręki. — Wówczas, ogar-

nięty trwogą i wściekłością, rzucił się znów ku nieszczęśliwej i zadawał jej cios po ciosie.

Potem ściągnął z łóżka kołdrę i rzucił ją na trupa. Ale tym sposobem nie pozbył się widoku ofiary. Wciąż widział przed sobą jej konające spojrzenie. Wizja ta, opromieniona blaskiem słońca, snuła się przed nim wszędzie, gdziekolwiek się zwrócił...

Nie mogąc znieść tej męczarni, zdjął kołdrę z trupa.

Teraz widział przed sobą na ziemi martwe już ciało, zbroczone krzepnącą krwią... Krew i ciało — nic więcej. Ale takie ciało i tyle krwi!

Rozpalił ogień na kominku i wrzucił weń pałkę. Przy końcu pałki wisiało pasmo włosów, które, skwiercząc cicho, zmieniły się w lekki popielaty pyłek i zostały uniesione w głąb komina.

I to nawet przeraziło zbrodniarza.

Wyrwał pałkę z ognia, połamał na kawałki, potem znów rzucił w płomienie i nie odstąpił od kominka, dopóki nie spłonęły doszczętnie i nie zamieniły się w popiół.

Poczem zaczął się myć, wywabiać ślady krwi z odzieży. Niektórych plam jednak nie mógł żadną miarą usunąć. Zniecierpliwiony powycinał skrwawione miejsca i rzucił je w ogień.

W izbie było mnóstwo plam krwi; nawet łapy psa były nią zbryzgane.

Krzątając się w ten sposób, Sikes ani razu nie spojrzał na trupa — ani razu...

Uporządkowawszy odzież, zbliżył się do drzwi, unikając widoku zamordowanej, pociągnął za sobą psa, którego jak najstaranniej oczyścił, żeby ślady zbrodni nie zostały wyniesione na ulicę. Poczem otworzył drzwi ostrożnie, zamknął je na klucz, i wyszedł z domu.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i spojrzał w okno swego mieszkania, aby się przekonać, czy nie zdradza ono popełnionej zbrodni. Okno zasłaniała ta sama firanka, którą Nancy chciała podnieść, aby wpuścić światło do izby.

Zwłoki zamordowanej leżały tuż pod oknem. Sikes wiedział o tem... Boże, jak wspaniale słońce oświecało właśnie to miejsce.

Sikes odwrócił głowę. Uczuł niejaką ulgę, że wydostał się nareszcie z tej izby. Świsnął na psa i ruszył przed siebie.

Puścił się ku Islington, minął wzgórze z pomnikiem Wellingtona koło Highgate, zwrócił się potem ku Highgate Hill, wahając się jeszcze, w którą stronę się udać. Bezwiednie puścił się na prawo, małą ścieżką przez pola, minął Coaen Wood i doszedł aż do Hamstead Heath.

Znalazł się w parowie około Vale of Heath, wspiął się na brzeg przeciwny, dostał się na drogę, prowadzącą przez Hamstead i Highgate, puścił się potem przez pole, a upatrzywszy sobie miejsce pod płotem, wyciągnął się tam i zasnął.

Niebawem jednak zerwał się i zaczął iść szybko bitym gościńcem nie przed siebie jednak, a z powrotem do Londynu. Potem znów skierował się w inną stronę, po upływie pół godziny zawrócił ku Londynowi tem samem polem, przez które już raz przechodził. I tak wciąż błąkał się po polach, kładł z zamiarem wypoczynku w rowach, lub pod płotami, aby po chwili zerwać się i wędrować dalej bez celu.

Dokąd pójść, aby pokrzepić się i posilić nieco?

Hendon. Tak, to dogodna miejscowość.

Zwrócił się natychmiast w tę stronę.

Biegł szybko, to znów zwalniał kroku i wlókł się powoli, ociężale; często zatrzymywał się przy płotach lub krzakach i strącał kijem gałązki i liście.

Znalazłszy się w Hendon, doznał wrażenia, że wszyscy, nawet dzieci, stojące na progach chat, patrzą na niego podejrzliwie.

Więc uciekł, nie mając odwagi poprosić kogokolwiek o kęs chleba lub kubek wody, chociaż od kilkunastu godzin nic do ust nie wziął, i znów błądził po polach, nie wiedząc, dokąd się udać.

Przebiegł całe mile, wracając ciągle w to samo miejsce. Dzień minął i zbliżał się wieczór, a on, krążył to w tę to w ową stronę i wracał stale na to samo miejsce.

Nakoniec zebrał wszystkie siły i udał się ku Halfield.

Około godziny 9-ej wieczorem, znużony, z psem niemniej zmęczonym u nogi, znalazł się na wzgórzu tuż przy skromnym kościele cichej wioski, i stąd powlókł się powoli małą uliczką ku karczmie, której światło spostrzegł zdaleka.

W izbie płonął na kominie ogień, przy nim zaś siedziało kilku wieśniaków, rozmawiając i popijając piwo i wódkę. Spostrzegłszy nieznajomego gościa, wskazali mu miejsce obok siebie, lecz on usiadł w najodleglejszym kącie izby i tam posilał się samotnie, a raczej w towarzystwie psa, któremu od czasu do czasu rzucał kawały mięsa.

Wieśniacy rozmawiali o sprawach miejscowych i o swoich sąsiadach, a gdy powyższa treść została wyczerpana, zaczęli się zastanawiać nad wiekiem pewnego starca, którego pochowali parę dni temu. Młodsi utrzymywali, że był on już bardzo stary, że należał mu się wypoczynek po tak długiem życiu; starsi przeczyli temu, twierdząc, że był w sile

wieku. Jeden z tych ostatnich nadmienił, że przecież nieboszczyk nie był starszy od niego.

— Mógłby żyć najmniej z dziesięć lub piętnaście lat, gdyby się oszczędzał i pamiętał o sobie — dodał z mocnem przekonaniem.

W rozmowie gości nie było nic zajmującego, ani niepokojącego; Sikes też, zapłaciwszy za wieczerzę, siedział w swoim kącie spokojnie, nie zwracając niczyjej uwagi; zdrzemnął się nawet i byłby zasnął na dobre, gdyby nie było temu przeszkodziło hałaśliwe przybycie nowego gościa.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, kuglarz i zarazem wędrowny handlarz. Włóczył się po wsiach z przenośnym kramem na plecach, w którym miał brzytwy, scyzoryki, igły, nici, mydła, olejki, pomady, przeróżne leki dla ludzi, psów, koni, pachnidła, esencje i tym podobne przedmioty.

Wieśniacy przywitali go wesołemi żartami i śmiechem, lecz on naprzód posilił się obficie, a dopiero potem przyłączył się do towarzystwa; nie zapominając o swoim interesie, otworzył pudło i zaczął wychwalać posiadane skarby, łącząc w ten sposób przyjemne z pożytecznem.

— A to co jest? — zapytał jeden z wieśniaków, wskazując jakąś gałeczkę, leżącą w rogu pudła. — Czy to do jedzenia, Harry?

— To jest, szanowny obywatelu, środek nieoszacowany! Wywabia on najpewniej wszelkie plamy, pochodzące z brudu, rdzy, szmalcu, łoju, oleju, smoły; wywabia zaś z materyj jedwabnych, z tkanin lnianych, konopianych i bawełnianych, z sukna, wełny, aksamitu, muślinu, tybetu i merynosu. Plamy z wina, owoców, piwa, wody, farb, wszelkie zresztą plamy nikną odrazu za potarciem tą gałeczką. Jeżeli jaka dziewczyna lub mężatka zgrzeszyła przeciw cnocie, niech połknie tę gałeczkę, a zosta-

nie rozgrzeszona, jako że to jest trucizna. Jeżeli kto jest zmuszony bronić swego honoru, niech zada ją sędziemu, a z pewnością przeczyć mu nie będą. I za taki skarb żądam tylko pensa. Jednego pensa, obywatele!

Na tak szacowny towar znaleźli się zaraz dwaj amatorowie; inni goście wahali się, co widząc, kuglarz zaczął jeszcze wymowniej go zachwalać.

— Te gałeczki — mówił — tak są rozchwytywane, że liczne fabryki nie mogą wydążyć z ich dostarczeniem. Czternaście młynów wodnych, sześć machin parowych, baterja galwaniczna dniem i nocą są w ruchu, a jednak towaru wciąż braknie. Robotnicy pracują jak woły, zarabiając oczywiście ładny grosz. Kupujcie, obywatele! Pensa za gałkę, jednego tylko pensa. Albo dwa półpensy, jak kto woli... Plamy z wody, wina, farb, tłustości, krwi... Oto właśnie widzę na kapeluszu tego obywatela plamę, którą mu prędzej wywabię, zanim mi kubek piwa podać każe...

— Nie ruszaj tego kapelusza! — zawołał Sikes, zrywając się z ławy. — Połóż go!

— Chcę wywabić plamę na kapeluszu — ciągnął kuglarz, mrugając na wieśniaków — wywabię, zanim jegomość zdąży przyjść ze swego kąta, żeby mi kapelusz odebrać. Uwaga, obywatele! Patrzcie, oto ciemna plama wielkości szylinga, ale grubości pół korony. Czy to będzie plama z wina, czy z owoców, czy piwa, wody, błota, krwi...

Nie dokończył zdania, gdyż Sikes, miotając straszne przekleństwa, wydarł mu z ręki kapelusz i uciekł z karczmy.

Niepokój, obawa, strach, groza niebezpieczeństwa, które dręczyły go przez cały dzień, teraz ogarnęły go znów z powrotem. Przekonawszy się jednak, że nikt nie puścił się za nim w pogoń i że

prawdopodobnie wzięli go za pijanego, zwolnił niebawem kroku.

Szedł przed siebie bez planu. Przed najbliższą stacją pocztową stał dyliżans, wiozący podróżnych z Londynu i zabierający nowych po drodze. Konduktor rozmawiał z ludźmi, którzy zbliżali się do niego stąd lub zowąd. Sikes przeczuł, o czem toczyła się rozmowa, mimo to jednak zbliżył się do pojazdu i słuchał.

Konduktor czekał jeszcze na listy. Po chwili zbliżył się do niego jakiś człowek w ubraniu leśniczego. Konduktor wręczył mu przygotowany koszyk, nadmieniając:

— To dla waszych ludzi, otwórzcie koszyk i zobaczcie, czy czego nie brakuje.

— A co tam słychać nowego w Londynie? — zapytał leśniczy.

— Nic tak dalece ważnego się nie stało — odparł konduktor, wciągając rękawiczki. — Mówią coś o morderstwie w dzielnicy Spitalsfield, ale nic dokładniejszego o tem nie wiem.

— I ja słyszałem o tem morderstwie — odezwał się jakiś podróżny z głębi powozu. — Ma to być straszna zbrodnia.

— Kto zamordowany — spytał konduktor, dotykając ręką kapelusza — kobieta, czy mężczyzna?

— Kobieta — odparł podróżny. — Są poszlaki, że to...

— Panie konduktorze, już czas — zawołał z kozła zniecierpliwiony woźnica.

— Tam, do kaduka! — rzekł konduktor — czyście zasnęli nad temi listami?

— Oto są! — odezwał się urzędnik pocztowy, podając worek.

— Nareszcie — burknął konduktor. — Jaki wielki wór! Wolałbym piękną, młodą i bogatą pa-

nienkę, którąby mogła zakochać się we mnie i oddać mi swą rękę, wraz z posagiem... No, teraz jazda!

Trąbka pocztowa zagrała charakterystyczny sygnał i dyliżans potoczył się po drodze.

Sikes pozostał czas jakiś przed domem pocztowym. Usłyszana wiadomość nie poruszyła go, przynajmniej pozornie, natomiast zajmowała go myśl: dokąd ma się udać? Nakoniec postanowił zawrócić i poszedł drogą, prowadzącą z Hatfield do St. Albans.

Szedł powoli, lecz śmiało, gdy jednak minął miasteczko i znalazł się w szczerem polu, wśród ciemności, uczuł niepokój, który niebawem zmienił się w tak wielką trwogę, że włosy stanęły mu na głowie i skóra na ciele cierpła.

Każdy spostrzeżony przedmiot, rzeczywisty czy cień tylko, ruchomy czy nieruchomy, przybierał w jego oczach przerażające kształty, lecz mimo to były one niczem wobec widma zamordowanej, idącego za nim wszędzie.

Pomimo ciemności nocnej, widział on je wyraźnie, rozpoznawał każdy rys postaci, słyszał nawet szelest odzieży, zaczepiającej się o liście krzaków, a każdy powiew wiatru donosił do jego uszu cichy, żałosny jęk konającej ofiary

Gdy przystawał — widmo przystawało także; gdy uciekał — ścigało go, lecz nie biegło tak, jak ludzie, co może mniejby go przerażało — ale unosiło się i płynęło w powietrzu.

Zrozpaczony, obracał się niekiedy, z zamiarem odstraszenia mary, chociażby w tej walce miał życie postradać, zginąć od wzroku widma; lecz wówczas ogarniało go jeszcze większe przerażenie, bo widmo cofało się i stawało tuż za nim. Przez cały dzień

widział je przed sobą, a teraz w nocy wlokło się ztyłu za nim.

Oparł się plecami o ścianę stromego rowu, lecz czuł, że uniosła się wgórę i odcina się wyraźnie na zimnym błękicie nieba. Pobiegł na gościniec, rzucił się nawznak: tym razem mara stanęła przy jego głowie, milcząca, ponura, nieruchoma, niby grobowiec z krwawym napisem.

Zaiste, niech nikt nie mówi, że zabójca może ujść sprawiedliwości i że Opatrzność Boża nie śledzi ludzkich kroków. Sikes doznawał męczarni dwudziestu gwałtownych śmierci w czasie jednej długiej minuty walki ze strachem.

Spostrzegłszy w polu szopę, skleconą z desek, mniemał, że będzie mógł schronić się w niej i wypocząć.

U wejścia do szopy stały trzy wysokie topole, które zwiększały jeszcze ciemność, panującą wewnątrz; liście ich, poruszane wiatrem, wydawały żałosny szelest.

Zbrodniarz nie mógł przez całą noc błądzić po polach — sił mu już brakło. Wsunął się do szopy, przytulił do ściany, starając się zasnąć. Ale zamiast snu czekały go nowe katusze. Teraz bowiem widmo stanęło przed nim stokroć jeszcze groźniejsze. W ciemnościach ukazały się oczy szeroko rozwarte, osłupiałe; nie miały one blasku, a jednak płonęły jakoś dziwnie. Była ich tylko para, prześladowała go ona przecież wszędzie, gdziekolwiek się zwrócił.

Gdy sam zamykał oczy, lub je zasłaniał, natychmiast zjawiał się przed nim widok jego mieszkania, ze wszystkiemi tak dobrze znanemi mu przedmiotami.

Każdy znajdował się na swojem miejscu. I zwłoki zamordowanej dziewczyny znajdowały się rów-

nież na swojem, straszne zwłoki z oczyma tak patrzącemi, jak wówczas, kiedy się z izby wymykał.

Nie mogąc znieść tego widoku, zerwał się i popędził w pole. Widmo wciąż go ścigało. Wrócił do szopy i przytulił się całą siłą do ściany. Martwe oczy Nancy zjawiły się znów przed nim.

Naraz usłyszał w oddali głosy ludzkie. Nasunęły mu one myśl o grożącem niebezpieczeństwie. Myśl ta spłoszyła przywidzenia, wróciła mu przytomność. Zerwał się znów i wybiegł z szopy.

Sklepienie nieba krwawiła łuna pożaru. Widział unoszące się w górę potężne słupy ognia, które oświecały dokoła szeroki pas przestrzeni. Silny wiatr podniecał je i pędził tumany dymu w stronę, w której znajdował się zbrodniarz.

Pożar wzmagał się coraz bardziej, wzmagały się też krzyki ludzi, których widocznie coraz więcej zbiegało się do ognia.

Ich głosy tworzyły zgiełk, pełen grozy, wśród którego dały się słyszeć rozpaczliwe wołania:

— Gore! Gore!

Do głosów ludzkich przyłączyły się jęki dzwonów, bijących na alarm, trzask płonących belek, huk upadających ścian i charakterystyczny szum płomieni, pastwiących się nad coraz to nowemi przeszkodami.

Wszystko to Sikes widział i słyszał dokładnie; widział zbity tłum ludzi, uwijających się dokoła płomieni, widział ogień i walkę z nim.

Widok ten ożywił go nagle; popędził wprost na miejsce pożaru, przebywając zręcznie rowy i płoty, przedzierając się przez krzaki, nie zważając na żadne przeszkody. — Przed nim biegł pies z wyciem i szczekaniem.

Nakoniec dotarł do ognia.

Dokoła uwijały się półnagie postacie, biegając w tę i w ową stronę. Jedni wyprowadzali ze stajni przerażone konie, inni wypędzali bydło z obór, inni snuli się, jak potępieńcy, wśród kłębów płomieni, wśród gęstego gradu iskier, nie zważając na walące się belki, pale, cegły...

Z otworów, które przed godziną jeszcze były oknami i drzwiami, buchały teraz kłęby płomieni i dymu. Ściany pękały, chwiały się i padały w morze ognia, stopiony ołów i żelazo z głuchym odgłosem padały na ziemię.

Kobiety i dzieci płakały, mężczyźni zachęcali i ośmielali się wzajem głośnemi nawoływaniami. Hałas pracujących sikawek, syczenie wody, padającej na gorejące belki i rozpalone żelazo, powiększały zgiełk ogólny.

Sikes wrzeszczał także, aż ochrypł z krzyku. Uciekając przed wspomnieniami i samym sobą, rzucił się pomiędzy tych, którzy okazywali największą gorliwość ratunku. Zwijał się dzielnie. To pracował przy sikawkach, to przedzierał się przez kłęby dymu i płomieni. Umyślnie szukał miejsc najbardziej zagrożonych.

Wspinał się po drabinach na sam szczyt płonącego domu, przebiegał sienie i izby, których zwęglone podłogi trzeszczały pod nogami, nie zważał na walące się ściany, na toczące się z góry belki i kamienie. Wysilał się, wytężał, narażał, a jednak nie czuł znużenia, nie poniósł najmniejszego szwanku.

Nad ranem opanowano ogień, który jednak strawił doszczętnie kilka budowli, pozostawiając czarne, okopcone rumowiska, ziejące dymem i iskrami.

W zbrodniarzu odżyła znowu pamięć popełnionego morderstwa. Widząc, że ludzie zbierają się w pojedyncze gromadki i żywo o czemś rozprawiają, rozejrzał się podejrzliwie dokoła w obawie,

czy to czasem nie on jest przedmiotem ich rozmów. Świsnął więc na psa, który ulegle usłuchał tego znaku, i chyłkiem wymknął się z miejsca pożaru.

Po drodze minął gromadkę ludzi, którzy, siedząc przy sikawce, pokrzepiali się skromnie po ciężkim trudzie. Ludzie ci, spostrzegłszy Sikesa, zaprosili go na śniadanie. Sikes zbliżył się do nich, ukrajał kęs chleba i kawałek mięsa. Gdy zabierał się do piwa, usłyszał, że jeden ze strażaków, którzy przybyli z Londynu, opowiada o zbrodni.

— Podobno morderca schronił się do Birmingham — mówił ów człowiek — ale nie uda mu się uciec, cały oddział policyjnych agentów rozesłano za nim na wszystkie strony. Jutro już cała okolica będzie znała jego rysopis.

Sikes zerwał się i popędził przed siebie. Biegł, dopóki mu sił starczyło; rozciągnął się wreszcie na dnie jakiejś rozpadliny i zasnął.

Spał niespokojnie, gorączkowo. Nakoniec wstał i znów zaczął błąkać się bez celu, dręczony obawą spędzenia jeszcze jednej takiej nocy, jak ostatnia. Ostatecznie powziął rozpaczliwe postanowienie wrócić do Londynu.

— To jedyna rada — mówił do siebie. — Mam tam przecież swoich kamratów, którzy mi pomogą, znam niejedną bezpieczną kryjówkę. Policja nie spodziewa się, żebym czaił się tuż pod jej nosem. Po tygodniu zmuszę Fagina, żeby dał floty, i schronię się na czas jakiś do Francji. Do djabła — będę ryzykował.

Udał się tedy do Londynu, wybierając odludne ścieżki i manowce. W drodze uplanował sobie, że dzień przepędzi w pobliżu Londynu, w znanej mu kryjówce, i dopiero pod osłoną nocy przekradnie się do miasta.

— Ale pies...

Jeżeli rozesłano jego rysopis, to z pewnością nie pominięto psa, który mu wszędzie i zawsze towarzyszył. Pies zdradziłby go z wszelką pewnością, należało więc go się pozbyć.

Jakoż Sikes postanowił psa utopić.

Odbywając w dalszym ciągu wędrówkę, szukał dokoła studni lub rzeki. Idąc, podniósł z ziemi ciężki kamień i zawiązał go w chustkę.

W czasie tych przygotowań pies spoglądał uważnie na swego pana i widocznie przeczuł instynktem jego zamiary, gdyż biegł teraz w znacznie większej od niego odległości. Gdy Sikes, znalazłszy nakoniec studnię, zatrzymał się i obejrzał poza siebie, spostrzegł psa daleko od siebie.

— Chodź zaraz, słyszysz, — zawołał Sikes.

Pies, przyzwyczajony do posłuszeństwa, zbliżył się powoli, lecz gdy Sikes nachylił się, aby przywiązać mu na szyi chustkę z kamieniem, — zmyślne zwierzę zawarczało groźnie i odskoczyło.

— Chodź tu zaraz! — zawołał bandyta.

Pies zamachał ogonem, lecz nie ruszył z miejsca. Sikes zaczął iść ku niemu, wabiąc go ciągle. — Pies wahał się — to przybliżał się nieco, to cofał, wreszcie zawarczał i umknął z całych sił.

Bandyta wabił go, wołał, świstał, ale nadaremnie. Zniecierpliwiony, usiadł przy ścieżce, sądząc, że pies wróci. Zwierzę jednak nie zjawiło się z powrotem i Sikes dalszą drogę musiał odbyć samotnie.

Rozdział czterdziesty dziewiąty.

Ich rozmowa przerwana otrzymaniem pewnej wiadomości. Spotkanie Monksa i pan Brownlow.

Późnym wieczorem, przed domem, w którym mieszkał pan Brownlow, stanął fiakier, z którego wysiadł sam pan Brownlow i zadzwonił na odźwiernego. Gdy ten otworzył drzwi, z kozła zeskoczył wysoki, bar-

czysty mężczyzna i stanął przy drzwiach powozu z jednej strony, poczas gdy uczynił to samo z drugiej mężczyzna, siedzący dotychczas wewnątrz. Na znak, dany przez pana Brownlow, obaj mężczyżni wysadzili z fiakra trzeciego jeszcze i zniknęli z nim razem w drzwiach domu.

Tym trzecim był Monks.

Szli w ten sam sposób milcząc po schodach, prowadzeni przez pana Brownlow na piętro do osobnego gabinetu.

Przy drzwiach pokoju, Monks zatrzymał się z widoczną chęcią stawiania oporu. Dwaj mężczyżni spojrzeli na pana Brownlow, oczekując rozkazów.

— On wie dobrze, co go czeka w razie oporu — rzekł pan Brownlow. — Jeżli będzie kaprysił, wyprowadźcie go na ulicę, zawołajcie policję i każcie go w mojem imieniu aresztować, jako oszusta i zbrodniarza.

— Jak pan śmie mówić tak o mnie? — zawołał Monks.

— A ty jak śmiesz stawiać mi opór? — zapytał pan Brownlow, patrząc na niego surowo. — Chcesz popełnić szaleństwo i ujść stąd? Dobrze. Puszczajcie go! Jesteś teraz wolny, mój panie, możesz pójść, ale my pójdziemy za tobą. Uprzedzam cię nadto i przysięgam na wszystko dla mnie najdroższe i najświętsze, że jeżeli przekroczysz próg tego domu i wyjdziesz na ulicę, natychmiast każę cię aresztować, a potem powołam przed sąd jako oszusta, złodzieja i rabusia. Moje postanowienie jest niezłomne, niewzruszone. Jeżeli i twoje również jest takie, to pamiętaj, że sam ściągniesz krew na własną głowę!

— Jakiem prawem — zapytał Monks, spoglądając z wściekłością na towarzyszących mu mężczyzn — jakiem prawem psy te napadły mię na ulicy i tu przywlekły?

— Z mego polecenia — odparł pan Brownlow. — Całą odpowiedzialność biorę na siebie. Uskarżasz się, że pozbawiłem cię wolności? A przecież mogłeś ją łatwo odzyskać w drodze, wydzierając się nam przemocą? Aleś osądził, że będzie lepiej zachować spokój. I w samej rzeczy postąpiłeś roztropnie. Jeszcze raz powtarzam, oddaj się pod opiekę prawa. Ale wówczas i ja uczynię to samo. Jeżeli posuniesz jednak sprawę tak daleko, że potem żadną miarą cofnąć się nie będzie można, to nie obwiniaj mię wówczas o smutne i hańbiące konsekwencje, nie obwiniaj, że wtrąciłem cię w otchłań zguby. Sam się w nią rzucisz, oddając się w ręce sprawiedliwości.

Monks stracił pewność siebie, ogarnął go niepokój.

— Decyduj się prędko — mówił dalej pan Brownlow powoli i spokojnie. — Jeżeli chcesz, żebym oskarżył cię przed sądem, i co za tem idzie, naraził na wszelkie, płynące z tego skutki, to jest na karę, której wysokości, oznaczyć w tej chwili nie mogę, chociaż przewiduję ją ze zgrozą — to masz wolną drogę. Jeżeli jednak wolisz uciec się do mojej wyrozumiałości i wyjednać sobie przebaczenie tych, których tak nikczemnie skrzywdziłeś — to wejdź bez oporu do tego gabinetu i usiądź na krześle, które od dwuch dni czeka tutaj na ciebie.

Monks mruknął coś niezrozumiałego, lecz nie ruszał się z miejsca.

— Namyślaj się prędzej! — rzekł pan Brownlow. — Jedno słowo, i rzecz skończona.

Monks wahał się jeszcze.

— Nie myślę tracić słów naprózno — rzekł pan Brownlow. — Jestem rzecznikiem osób, upominających się o swoją krzywdę, i nie mam do tego prawa.

— Czy nie możnaby znaleźć innego środka? — zapytał Monks niepewnie.

— Nie!

Monks spojrzał na niego ze strachem, widząc jednak, że twarz staruszka wyraża surową niezłomność, wszedł do gabinetu i, wzruszając ramionami, siadł na wskazanem sobie krześle.

— Zamknijcie drzwi — rzekł pan Brownlow do ludzi, którzy przyprowadzili Monksa — i bądźcie na każde zawołanie.

Dozorcy spełnili polecenie.

W gabinecie panowało czas jakiś milczenie. Przerwał je pierwszy Monks, zdejmując kapelusz i palto.

— Pięknie obchodzi się ze mną najlepszy przyjaciel mego ojca!

— Właśnie dlatego — podchwycił pan Brownlow — że byłem najstarszym i najlepszym przyjacielem twego ojca; dlatego, że wszelkie moje pragnienia i nadzieje szczęśliwych lat młodości łączyły się z nim i z tą ukochaną istotą, w której żyłach jego krew płynęła, a która w kwiecie wieku odeszła do Boga, osieracając mię na ziemi; dlatego, że ojciec twój klęczał ze mną jako mały chłopczyna jeszcze przy łożu swej konającej siostry tego dnia, w którym ona miała zostać moją żoną, a na co Bóg nie pozwolił; dlatego, że moje zranione serce było mu wierne aż do ostatniej chwili jego życia, pomimo wszelkich błędów i przewinień, jakich się dopuścił; dlatego, że wspomnienia i obrazy dawnego szczęścia do dziś dnia przepełniają moje serce; dlatego, że twój widok przywodzi mi na pamięć wspomnienia o nim: dlatego tak łagodnie obchodzę się z tobą w tej chwili nawet. Tak jest, Edwardzie Leeford, nawet teraz, chociaż shańbiłeś swoje nazwisko.

— Jakiż związek ma to nazwisko z całą sprawą? — zapytał Monks, który przez chwilę z pewnem zdumieniem przypatrywał się uniesionemu i wzbu-

rzonemu wspomnieniami starcowi. — Co ono dla mnie znaczy?

— Nic! — rzekł pan Brownlow. — Wiem dobrze, że tobie na niem nic nie zależy. Ale nazwisko to było i jej zarazem, i dźwięk jego wywołuje we mnie, starym człowieku, po tylu latach, to samo drżenie i gorącość uczuć, jakich doznawałem dawniej. Bardzo mię to cieszy, panie, że przybrałeś inne nazwisko, bardzo, bardzo cieszy.

— Wszystko to bardzo piękne i subtelne — odezwał się po chwili Monks z miną wyzywającą, kołysząc się na krześle, podczas gdy pan Brownlow, wypowiedziawszy ostatnie słowa, ukrył twarz w dłoniach i milczał — ale niechże się dowiem, czego pan ode mnie żąda?

— Masz brata — przemówił pan Brownlow, wyrwawszy się z bolesnych marzeń. — Wystarczyło, że szepnąłem ci do ucha jego imię, idąc za tobą po ulicy, byś z trwogą i zdumieniem towarzyszył mi aż tutaj.

— Nie mam wcale brata! — zaprzeczył Monks. — Wiesz dobrze, mój panie, że byłem jedynakiem, dlaczego więc wspominasz o jakimś bracie? Znasz przecież moje stosunki rodzinne równie dobrze, jak ja.

— Chwilę cierpliwości, może wiem więcej od ciebie — rzekł pan Brownlow. — Wiem, że jesteś i zgniłym potomkiem nieszczęsnego związku małżeńskiego, do którego zmusiły twego ojca, gdy był prawie w chłopięcym wieku, najciaśniejsze i najbardziej wyrachowane względy rodowe.

— Nie dbam o twarde słowa — przerwał Monks z szyderczym śmiechem. — Zna pan fakty i to wystarczy.

— Nietylko fakty — ciągnął dalej staruszek — ale wiem, jakie skutki, jakie cierpienia i męczarnie spowodował ten najniestosowniejszy i najgorzej dobrany związek, o którym mówię. Wiem, jakie katu-

sze znosili nieszczęśliwi ludzie, przykuci do siebie kajdanami instytucji małżeńskiej, i z jakim trudem wlekli to życie, które im narzucono. Wiem i o tem również, mój panie, że po okresie obojętności nastąpił okres coraz gwałtowniejszych sporów, waśni i niesnasek; po nim wstręt i odraza, wreszcie nienawiść w najwyższym stopniu. Rozeszli się, niosąc oddzielnie znienawidzone kajdany i zachowując dla świata uśmiech zadowolenia. Twoja matka miała powodzenie; zapomniała wkrótce o wszystkiem, ale twój ojciec męczył się strasznie przez długie lata...

— Przecież nie żyli z sobą — wtrącił Monks; — więc dlaczego się męczył?

— Twoja matka — ciągnął dalej pan Brownlow — przeniosła się na kontynent i, rzuciwszy się w wir wesołego życia, zapomniała o mężu, młodszym od niej o dziesięć lat zgórą. On tymczasem pędził życie samotne, zamknięte, bez przyszłości. Stało się jednak, że znalazł nowych przyjaciół... O tem wiesz zapewne, mój panie, nieprawdaż?

— Nie! — odparł Monks, odwracając oczy i tupiąc niecierpliwie nogą o ziemię. — Nie wiem o tem wcale..

— Całe twoje postępowanie — przerwał pan Brownlow — dowodzi, że nie zapomniałeś o tym fakcie i myślałeś o nim nawet z największą goryczą. Mówię o wypadkach, które zaszły przed piętnastu laty. Miałeś wtedy lat jedenaście, a twój ojciec trzydzieści jeden, gdyż — jak nadmieniłem — dziad twój zmusił go do małżeństwa w bardzo wczesnym wieku... Czy mam przypomnieć zdarzenia, które rzucają cień na twego ojca, czy też uwolnisz mię od tej bolesnej konieczności i sam wyjawisz prawdę?

— Ja nic nie mam do wyjawienia! — zawołał Monks. — Niech pan mówi dalej, o ile pan ma ochotę.

— A więc — rzekł staruszek. — Nowym przyjacielem twego ojca był oficer marynarki na emeryturze, który, straciwszy żonę, zajmował się sam wychowaniem dwojga dzieci. Mieli oni więcej dzieci, ale dwoje tylko przeżyło matkę — dwie córki. Jedna z nich, piękna dziewczyna, miała wówczas lat dziewiętnaście; druga zaczęła zaledwie trzeci rok życia.

— Co mnie to wszystko obchodzi? — mruknął Monks.

— Były oficer marynarki — mówił pan Brownlow, nie zważając na pomruk słuchacza — mieszkał z dziećmi w miejscowości, którą ojciec twój często odwiedzał i w której nakoniec zamieszkał. Oficer nawiązał z nim znajomość, która rychło przeistoczyła się w przyjaźń. Ojciec twój był człowiekiem wielkich zalet i niepospolitych zdolności. Posiadał serce i rysy swej siostry... Im bardziej poznawał go ów oficer, tem więcej szanował i lubił. Cóżbym dał za to, żeby ich stosunek skończył się był na tej przyjaźni! Młodziutka córka oficera zakochała się w twoim ojcu.

Pan Brownlow przerwał na chwilę. Monks siedział z oczyma wpatrzonemi w ziemię, gryząc gorączkowo wargi.

— Po roku — podjął opowieść starzec — ojciec twój zaręczył się uroczyście; był przedmiotem pierwszej, prawdziwej, gorącej miłości szczerego dziewczęcia.

— Twoja historja, panie, jest bardzo długa — przerwał Monks, poruszając się niecierpliwie na krześle.

— Bo jest historją smutną, mój panie — zauważył pan Brownlow — historją cierpienia i przejść bolesnych, a takie bywają zwykle bardzo długie. Opowiadanie o szczęściu byłoby nieskończenie krótsze. Wracam jednak do rzeczy. Właśnie w tym cza-

sie, gdy ojciec twój zaręczył się z córką oficera, zmarł jeden z jego bliskich krewnych, ten właśnie, dla którego rodzina poświęciła szczęście twego ojca, ażeby wpływ, stosunki i znaczenie tamtego powiększyć. Ów krewny zostawił w spadku dla tego, który za niego cierpiał, olbrzymią fortunę. Trzeba było, aby spadkobierca niezwłocznie udał się do Rzymu, gdzie bogaty krewny umarł, bawiąc na kuracji. Ojciec twój przedsięwziął tę podróż, lecz przybywszy na miejsce, zapadł niebezpiecznie na zdrowiu. Dano natychmiast znać do Paryża twojej matce, która wraz z tobą przybyła do ojca. W dzień po waszym przyjeździe mój nieszczęśliwy przyjaciel zakończył męczeński żywot. Ponieważ — jak mówiono — nie zostawił żadnego testamentu, żadnego rozporządzenia, cały więc jego majątek osobisty i spadkowy, przypadł na twoją matkę i na ciebie...

Monks słuchał teraz z natężoną ciekawością, z zapartym w piersi oddechem, ale nie patrzył na opowiadającego. Gdy usłyszał ostatnie wyrazy, odetchnął z ulgą i przesunął chustkę po rozpalonej twarzy.

— Zanim twój ojciec wyjechał z kraju — rozpoczął znów pan Brownlow, nie spuszczając oczu z twarzy słuchacza — odwiedził mię w Londynie...

— Nie mówiono mi o tem — wtrącił Monks takim tonem, jak gdyby chciał wyrazić niedowierzanie; w gruncie rzeczy jednak ta uwaga zdradzała niemiłe zdziwienie.

— Odwiedził mię w Londynie — powtórzył pan Brownlow — i zostawił na przechowanie wiele rzeczy, pomiędzy zaś innemi portret, namalowany przez siebie. Był to portret biednej córki oficera. Obrazu tego nikomu nie chciał powierzyć, a zabrać ze sobą nie mógł. Niepokój, zgryzoty, uczyniły z niego cień człowieka. Zwierzył się przede mną ze wszystkiego.

Rozpaczał nad postępkiem, którego się dopuścił, uwodząc niewinną dziewczynę, i wyjawił zamiar sprzedaży wszystkich swoich posiadłości. Postanowił przeznaczyć tobie i twojej matce tylko część otrzymanej w spadku fortuny, resztę zaś miał zabrać z sobą i kraj opuścić na zawsze. Wiedziałem dobrze, że nie sam zamyśla wyjechać z kraju... On jednak nawet mnie, swemu najlepszemu i najdawniejszemu przyjacielowi, z którym łączyło go wspólne przywiązanie do istoty, spoczywającej w mogile, nawet mnie, powtarzam, nie odkrył wszystkich szczegółów swego zamiaru. Powiedział tylko, że nadeśle list obszerny z Rzymu i że odwiedzi mię raz jeszcze, aby pożegnać się na wieki. Niestety, nie odebrałem od niego ani listu, ani też nie widziałem go więcej.

— Skoro dowiedziałem się o jego śmierci — mówił pan Brownlow po krótkiej chwil milczenia — postanowiłem udać się na miejsce — że użyję tu wyrażenia, jakiego użyłby świat w tym wypadku — na miejsce jego występnej miłości, z mocnem postanowieniem ofiarowania pomocy i schronienia nieszczęśliwej dziewczynie. Przyjechałem zapóźno. Cała rodzina opuściła właśnie przed tygodniem tę miejscowość, zapłaciwszy przedtem wszystkie należności. Dokąd się udała — nikt nie umiał powiedzieć.

Monks chrząknął z zadowoleniem, wyraz radosnego triumfu odbił się w jego spojrzeniu.

Pan Brownlow mówił dalej:

— Gdy zrządzenie losu wprowadziło do mego domu twego brata, dziecko wątłe, nędzne, zaniedbane, postanowiłem wyrwać go ze środowiska zbrodni i hańby.

— Co takiego? — przerwał Monks.

— Do mego domu, mój panie — odparł pan Brownlow. — Widzę, że powieść moja zaczyna cię

zajmować. Widzę też, że twój przebiegły sprzymierzeniec nie wymienił ci mego nazwiska, czemu się nie dziwię, bo nie mógł wiedzieć, że cię ono może zainteresować. Otóż skoro postanowiłem zająć się losem sieroty, nie wiedziałem z początku, co to za dziecko. Dopiero gdy zaczął przychodzić do zdrowia, uderzyło mię dziwne podobieństwo rysów jego twarzy do portretu, który twój ojciec zostawił u mnie na przechowanie. To przytem zauważyłem jeszcze, że twarz chłopca, jego wyraz, przypominają twego ojca, a mojego przyjaciela. Nie mogłem przekonać się, o ile moje domysły były słuszne, gdyż wykradziono chłopca przedtem, nim zdołał on opowiedzieć dzieje swego krótkiego życia. Historji wykradzenia opowiadać ci nie będę...

— Dlaczego? — podchwycił Monks skwapliwie.

— Dlatego, że znasz ją bardzo dobrze.

— Ja?

— Nie wypieraj się daremnie; przekonasz się wkrótce, że wiem coś więcej jeszcze.

— Mój panie — wyjąkał Monks. — Nie możesz mi niczego dowieść. Proszę o dowody...

— Powoli — odparł pan Brownlow, patrząc mu w oczy badawczo. — Wykradziono mi chłopca, a wszelkie starania odnalezienia go okazały się bezowocnemi. Ponieważ twoja matka już nie żyje, doszedłem do wniosku, że ty jedynie możesz wyjaśnić tajemnicę chłopca. Dowiedziawszy się, że masz stanowisko w Indjach Zachodnich, dokąd schroniłeś się po śmierci matki, aby uniknąć skutków rozwięzłego życia w Londynie, udałem się tam do ciebie. Po przybyciu na miejsce, dowiedziałem się jednak, że niema cię tam już od kilku mięsięcy. Przypuszczano, żeś wrócił znów do Londynu, ale nikt nie wiedział napewno, gdzie się obracasz. Wróciłem tedy i ja do Londynu. Twoi plenipotenci nie

znali twego adresu. Powiedzieli mi, że podobnie jak dawniej, tak i teraz, zjawiasz się niespodzianie i również niespodzianie znikasz; że nie widzą cię po kilka tygodni, a nawet po kilka miesięcy; że prowadzisz prawdopodobnie, jak dawniej, życie hulaszcze, w towarzystwie tych samych nikczemników, z którymi zadawałeś się w bardzo młodym wieku. Postanowiłem jednak odnaleźć cię za wszelką cenę. Poleciłem szukać cię wszędzie i nawet sam się tem zajmowałem. Trwało to długo. Nareszcie dzisiaj, przed dwiema godzinami, udało mi się cię zobaczyć.

— I cóż teraz zamyślasz uczynić, mój panie? — odezwał się Monks drwiąco. — Oszustwo, kradzież — to silne słowa, ale o te zbrodnie nie można oskarżać człowieka na podstawie przypadkowego podobieństwa jakiegoś włóczęgi z niedorzeczną fuszerką malarską kogoś, kto zmarł przed laty! Przecież ty nawet nie wiesz o tem, mój panie, czy stosunek mego ojca, z jakąś głupią dziewczyną był uwieńczony potomkiem... Przypuszczasz, ale nie wiesz napewno.

— Nie wiedziałem — rzekł pan Brownlow, wstając — ale od dwuch tygodni wiem napewno. Ty masz brata, Edwardzie Leeford, wiesz o tem doskonale i znasz go dobrze. Ojciec twój pozostawił testament, który twoja matka zniszczyła z twoją wiedzą i wolą. W tym testamencie ojciec wspomina o dziecku, którego spodziewa się ze swego nieprawego związku. Dziecko istotnie przyszło na świat. Tyś zobaczył je kiedyś przypadkiem, a uderzające podobieństwo do twego ojca nasunęło ci odrazu domysł o jego pochodzeniu. Udałeś się na miejsce jego urodzin. Tam znalazłeś niezbite dowody, które chłopcu skradziono i ukryto. Ty je odszukałeś i zniszczyłeś. Sam przecież zwierzyłeś się swemu pomocnikowi, Faginowi, mówiąc: „Jedyne dowody urodzenia i pochodzenia chłopca, leżą na dnie rzeki, a ta stara czarownica, która skrad-

ła je matce, gnije już teraz w grobie". Niegodziwy synu, nikczemniku, rabusiu sierocego mienia, podły kłamco, który wiążesz się ze złodziejami i mordercami i nocą miewasz z nimi schadzki w ich norach; któryś przez swoje zdradzieckie matactwa przyprawił śmierć istotę miljon razy więcej wartą od ciebie, który od lat najmłodszych karmiłeś goryczą własnego ojca, którego serce toczyły i toczą najohydniejsze namiętności, aż znalazły one ujście w okropnej, nieuleczalnej chorobie i hańbiącem piętnem odbiły się na twojej twarzy... Edwardzie Leeford! Czy i teraz jeszcze odważysz się zachowywać wobec mnie zuchwale?

— Nie! Nie! — odpowiedział nędznik, złamany siłą niezbitych dowodów.

— Każde słowo, które zamieniłeś ze starym zbrodniarzem, jest mi znane — wołał pan Brownlow. — Cienie na ścianach słuchały waszych szeptów i przyniosły je do moich uszu. Widok niewinnie prześladowanego sieroty obudził litość nawet w występnem sercu, natchnął je odwagą do spełnienia szlachetnego czynu, który pociągnął za sobą ohydną zbrodnię. Może nie przyłożyłeś do niej ręki, lecz byłeś w znacznej mierze jej moralnym wspólnikiem.

— Nie! — zaprzeczył Monks. — Nie wiedziałem nic o tej zbrodni. Chciałem właśnie zasięgnąć o niej wiadomości, kiedy zostałem ujęty przez pańskich ludzi. Nie wiedziałem wcale o powodach morderstwa; sądziłem, że było ono skutkiem zwykłej kłótni.

— Dowiedz się zatem — rzekł pan Brownlow — że spowodowało je wykrycie części twoich zbrodniczych tajemnic. Czy zechcesz wyjawić mi teraz wszystko?

— Uczynię to.

— Żądam też, żebyś zeznanie swoje powtórzył przy świadkach i stwierdził swoim podpisem.

— Przyrzekam i to zrobić.

— Pozostań zatem w tym gabinecie, dopóki akt urzędowy nie zostanie spisany. Jeszcze jedno. Żądam, żebyś podpisał akt w tej miejscowości, którą uznam za właściwą.

— Jeżeli to konieczne, zgadzam się — odparł Monks.

— Nie na tem koniec — nadmienił pan Brownlow. — Musisz wynagrodzić krzywdę, jaką wyrządziłeś niewinnemu i poczciwemu sierocie, jakkolwiek jest on owocem nieszczęśliwej i występnej miłości. Pamiętasz dobrze rozporządzenie ojca, umieszczone w zniszczonym przez ciebie testamencie a dotyczące twego brata. Musisz je wypełnić w zupełności, a potem pożegnamy się na zawsze.

Monks, miotany obawą z jednej, a nienawiścią z drugiej strony, przechadzał się nerwowo po pokoju, rozmyślając nad tem, czy nie możnaby jakim zręcznym fortelem wydobyć się z tej matni.

Naraz drzwi otworzyły się z hałasem i do gabinetu wpadł wzburzony bardzo doktór Losberne, wołając:

— Zbrodniarz zostanie ujęty! Tej nocy jeszcze będzie ujęty!

— Morderca dziewczyny? — zapytał pan Brownlow.

— Tak. Zauważono jego psa, błąkającego się około pewnej nędznej rudery, stąd wniosek niewątpliwy, że jego pan albo już się tam ukrył, albo niebawem przybędzie. Może czeka nadejścia nocy. Rozesłano tajnych agentów na wszystkie strony. Jeden z nich zapewniał mię, że teraz im się nie wymknie. Rząd ogłosił sto funtów nagrody za schwytanie ptaszka.

— Ja jeszcze pięćdziesiąt dołożę! — zawołał pan Brownlow. — A gdzie Henryk?

— Henryk? Henryk, widząc, że pan wsiadł do powozu z tym oto jegomościem, udał się do domu, ka-

zał osiodłać konia i popędził w to miejsce, gdzie spodziewają się ująć mordercę.

— No, a co się stało z Żydem?

— Kiedy dopytywałem się o niego, nie był jeszcze ujęty. Ale to wkrótce nastąpi; może nawet już siedzi w klatce.

— Cóż, czyś się już namyślił? — zapytał pan Brownlow Monksa po cichu.

— Zgadzam się na wszystko — odparł zapytany, — Czy... czy... pan każe mię aresztować?

— Nie. — Pozostań w tym gabinecie, dopóki nie wrócę. Jedyna droga ocalenia cię od haniebnej kary — to zastosowanie się do mojej woli.

Pan Brownlow z lekarzem wyszli z gabinetu, zamykając starannie drzwi za sobą.

— Cóż Monks? — zapytał szeptem lekarz.

— Nadspodziewanie powiodło mi się z nim — odparł pan Brownlow. — Posiadając wiadomości, dostarczone przez nieszczęśliwą dziewczynę, dołączywszy do nich te, które już dawniej o tej sprawie zebrałem, oraz te, które przywiózł mi Henryk z miejsca urodzenia chłopca, przyparłem łotra do muru, i zgodził się na wszystko. Trzeba wysłać zawiadomienie w umówione miejsce, że przybędziemy o godzinie siódmej wieczorem. Musimy wyjechać o parę godzin wcześniej, żeby móc wypocząć, co szczególniej będzie potrzebne dla panny Róży, która powinna mieć zapas sił i energji... Wracając do nieszczęśliwej zamordowanej, muszę ci się przyznać, kochany doktorze, że nie uspokoję się, dopóki nie schwytają zbrodniarza... Jakie obrano sposoby działania?

— Dowiesz się pan w urzędzie policyjnym. Udaj się pan tam, a ja tymczasem tu pozostanę.

Obaj panowie rozstali się z najwyższem zdenerwowaniem.

Rozdział pięćdziesiąty.

Pościg i ucieczka.

Dzielnicę, obejmującą część wybrzeża Tamizy, przylegającego do kościoła w Rotherhithe, zamieszkuje najnędzniejsza ludność Londynu. Wznoszą się tam budowle, zupełnie czarne od pyłu węglowego i dymu, tłoczą się bezładnie niskie, nędzne lepianki.

Aby dostać się do tej dzielnicy, trzeba przebrnąć przez nieskończony labirynt ciasnych i ciemnych, uliczek pełnych śmiecia i błota, zamieszkany przez tak zwane „szumowiny społeczne". W charakterystycznych kramach i sklepikach sprzedają tu artykuły żywności najgorszego gatunku.

Wszędzie snują się gromady ludzi, szukających przygodnego zajęcia: robotnicy fabryczni, drwale, tragarze, górnicy, wśród których przewijają się ladacznice, bezzębne śmieciarki i dzieci w łachmanach. Wszystko to ciśnie się, tłoczy, przelewa, jakby umyślnie utrudniając przejście. Z brudnych uliczek, z bram i sieni domów buchają swędy i cuchnące wonie; od rana do wieczora rozlega się ze wszystkich stron turkot i brzęczenie ciężkich wozów, rozwożących skrzynie, i olbrzymie paki towarów ze składów nadbrzeżnych do miasta.

Wydostawszy się z tego tłoku i wrzawy, znajdujemy się wśród gmatwaniny uliczek i zaułków prawie pustych. Stoją tu domy, a raczej rudery, zapadłe w ziemię lub pochylone nad ulicą. Mury ich są popękane, kominy napół zburzone, okna powybijane, okratowane gdzieniegdzie żelaznemi, okrytemi rdzą prętami. Zewsząd wyziera nędza i opuszczenie.

W takiem to sąsiedztwie znajduje się wyspa Jakóba, otoczona dokoła błotnistym kanałem, sześć

do ośmiu stóp głębokim, piętnaście do dwudziestu szerokim, napełniającym się podczas przypływu brudną, gęstą wodą. Nosił on niegdyś nazwę Młynarskiej Grobli, później nazwano go Folly Ditch (Błotnisko). Kanał ów stanowi niejako małą zatokę Tamizy, a w razie potrzeby może być w każdym czasie napełniony wodą, o ile otworzy się śluzy młyńskie Leale Mills.

Stanąwszy na którymkolwiek z licznych drewnianych mostków, prowadzących przez kanał do młyna i ulicy Młyńskiej, widzi się mieszkańców tej dzielnicy, wychylonych przez okna i drzwi swoich mieszkań i spuszczających na dół konwie, dzbanki i inne naczynia, by zaczerpnąć niemi brudnej, błotnistej wody.

Same domy nad kanałem przedstawiają również osobliwy widok. Drewniane, spróchniałe ganki, łączące tyły kilkunastu naraz domów, są zaopatrzone w mniejsze lub większe otwory, przez które można obserwować kanał; okna, potłuczone i połatane, mają nazewnątrz drążki do suszenia bielizny, która jednak nie ukazuje się na nich nigdy; izby w domach są małe, niskie, zimne i wilgotne, atmosfera zaś w nich jest tak zepsuta i ciężka, że oddychać trudno; drewniane ściany pochylają się nad kanałem, grożąc lada chwila zawaleniem; fundamenty również nadwerężone, niepewne, grożą bezpieczeństwem. Słowem i tu opuszczenie, spustoszenie, ruina, brud i zgnilizna.

Składy na wyspie Jakóba stoją próżne, bez dachów; ściany ich rozpadają się, w otworach okiennych niema futryn, czarne kominy nie zieją dymem. Przed laty panował tu ożywiony ruch handlowy; dziś wyspa jest zapomnianą pustką. Domy nie mają lokatorów ani właścicieli; ci, którzy mają odwagę wprowadzić się do nich, należą do kategorji ludzi,

których skłania do tego albo ostatnia nędza, albo gwałtowna potrzeba ukrycia się przed niebezpieczeństwem.

W izbie jednego z takich domów, położonej na piętrze, siedziało w ponurem milczeniu trzech ludzi. Dom stał samotnie na uboczu, miał pozór zupełnie opuszczonego; drzwi i okna były mocno zabite; tył tej budowli wychodził na wyżej opisany kanał. Ludzie, siedzący w izbie, byli czemś mocno zaniepokojeni. Kiedy niekiedy spoglądali na siebie z trwogą i zaraz potem spuszczali oczy ku ziemi, nic nie mówiąc.

Trójkę ową tworzyli: Tobjasz Crackit, Tomasz Chitling, oraz znany, lat pięćdziesiąt liczący, bandyta z rozpłaszczonym w utarczce z policją nosem, z bliznami na odrażającej twarzy. Zwał on się Kags. Skazany przed laty na dożywotni pobyt w Karnych Kolonjach, zdołał umknąć stamtąd i wrócił do Londynu.

— Byłbyś zrobił lepiej — odezwał się Crackit do Chitlinga — gdybyś był sobie inną kryjówkę wyszukał, kiedy was z dwuch dawnych wykurzono. Byłoby to o wiele rozsądniej.

— Dlaczegoś tak nie uczynił, ty łbie wołowy?! — fuknął Kags. — Dlaczegoś się aż tutaj przywlókł?...

— Sądziłem, że zrobię wam moją osobą przyjemność — odparł smętnie Chitling.

— Trzeba ci wiedzieć, mleczaku — pouczał Crackit — że jeżeli człowiek upodoba sobie życie samotne, jak ja naprzykład, jeżeli znajdzie kąt ustronny, gdzie może spokojnie mieszkać zdala od zgiełku świata, to taki człowiek nie zachwyca się bynajmniej wizytą młodzika, choćby, mówiąc nawiasem, ów młodzik był skądinąd bardzo sympatyczny i można było coś nie coś wygrać od niego w karty. Zwłaszcza, jeżeli młody samotnik gości u siebie

przyjaciela, który przybył wcześniej z odległych krajów i z wrodzonej skromności nie życzy sobie wcale, by policja dowiedziała się o jego powrocie — dodał Kags.

Po tych uwagach nastąpiła chwila milczenia. Tobjasz Crackit, widząc, że nie zdoła skłonić Chitlinga do opuszczenia jego kryjówki, zaniechał zwykłego swego żargonu, w którym zwracał się do towarzyszy, i zapytał wprost:

— Kiedy uwięziono Fagina?

— Podczas obiadu, o drugiej po południu — odparł Chitling. — Karolek Bates i ja uciekliśmy przez komin pralni. Bolter, uciekając, wpadł do beczki z wodą głową na dół; ponieważ ma nogi nadzwyczaj długie, więc wystawały mu one z beczki. To go zgubiło.

— A Betsy?

— Biedna Betsy! — mówił Chitling z coraz większem przygnębieniem. — Poszła zobaczyć zamordowaną Nancy, ale widok trupa przyprawił ją o pomieszanie zmysłów. Zaczęła krzyczeć, płakać, głową bić o mur tak, że ubrano ją w kaftan bezpieczeństwa i odwieziono do szpitala warjatów.

— A Bates gdzie się obraca? — spytał Kags.

— Przyjdzie tutaj wieczorem. Mówiąc prawdę, niema teraz bezpiecznego miejsca. Z szynku „Pod Trzema Kalekami" policja wyłowiła wszystkich, a sam dom obsadziła ajentami. Idąc tamtędy, sam się przekonałem.

— Obława na wielką skalę! — mruknął Tobjasz Crackit, zagryzając wargi. — W ten sposób złowią jeszcze niejednego z naszych.

— Oczywiście — potwierdził Kags. — Właśnie Sądy Przysięgłych rozpoczynają swoje posiedzenia, Bolter będzie świadczył przeciwko Faginowi i Żyd za pięć, sześć dni może dyndać.

— Trzeba było widzieć aresztowanie Fagina — odezwał się Chitling. — Przed domem zebrał się tłum ludzi. Gdy wyprowadzono aresztowanego, tłum rzucił się na Fagina i byłby go rozszarpał, gdyby nie obrona policjantów. Żyd dostał się nawet w ręce rozbestwionego motłochu, ale policjanci wzięli go pomiędzy siebie i zaprowadzili do więzienia. Fagin szedł skurczony, tocząc przerażonym wzrokiem dokoła i tuląc się do policjantów, jak gdyby oni byli jego najserdeczniejszymi przyjaciółmi. Ledwie mógł się utrzymać na nogach. Motłoch wygrażał mu, złorzeczył, ciskał błotem i kamieniami. Najbardziej dokuczały mu kobiety. Rzucając się na niego, plwały mu w twarz, drapały, przysięgały, że serce wydrą mu z piersi. A on szedł oplwany, skrwawiony, cały drżący, z rozwichrzoną brodą.

Chitling, przejęty zgrozą opowiedzianej sceny, zasłonił sobie rękoma uszy, przymknął oczy i zaczął chodzić po izbie tam i z powrotem.

Obaj słuchacze siedzieli w milczeniu, z oczyma wlepionemi w ziemię.

Naraz dał się słyszeć lekki szmer na schodach i po chwili do izby wpadł pies Sikesa.

Zobaczywszy go, wszyscy trzej podskoczyli ku oknu, potem wybiegli na schody, a stamtąd na ulicę. Pies musiał dostać się do domu przez dziurę w murze; pana jego nigdzie w pobliżu nie było widać.

— Co to znaczy? — zawołał Crackit, gdy wrócili do siebie. — Chyba nie myśli przyjść tutaj? Przynajmniej nie spodziewam się tego.

— Gdyby zamierzał przyjść, byłby się zjawił z psem razem — rzekł Kags, przypatrując się psu, który wyciągnął się na ziemi i dyszał ciężko. — Dajcie mu trochę wody, musiał przybiec zdaleka.

— Wypił co do kropli — zauważył Crackit — cały jest w błocie, okaleczony, napół ślepy.

— Skąd mógł przybiec? — zastanawiał się Crackit. — Przypuszczam, że obleciał wszystkie nasze kryjówki w mieście, a znalazłszy wszędzie pełno obcych ludzi, zwrócił się aż tutaj, gdyż nieraz ukrywał się tu ze swoim panem. W każdym razie to ciekawe, gdzie był, dlaczego sam tutaj się schronił?

— A może — domyślił się Kags — Bill opuścił kraj i psa zostawił? Musiał jednak wziąć się na sposób, żeby psa przepędzić...

— Gdyby zamierzał przyjść, toby się zjawił z psem. Przypuszczenie wydało się wszystkim słuszne, pies tymczasem wlazł pod krzesło, zwinął się w kłębek i chrapał.

Gdy ściemniło się, bandyci pozamykali okiennice i postawili zapaloną świecę na stole.

Wypadki dni ostatnich oddziałały na nich przygnębiająco, tem bardziej, że rosło grożące im również niebezpieczeństwo. Siedzieli blisko jeden obok drugiego, drżąc za lada szmerem. Mówili mało i szeptem, jakby trup zamordowanej kobiety leżał w sąsiednim pokoju.

Naraz usłyszeli głośne pukanie do drzwi od ulicy.

— Karolek Bates — rzekł Kags, rozglądając się dokoła i usiłując pokryć ogarniające go przerażenie.

Pukanie powtórzyło się. Nie mógł to jednak być Karolek Bates, gdyż on nie miał zwyczaju dobijać się tak głośno.

Crackit zbliżył się do okna, odchylił je i wysunąwszy głowę na ulicę, natychmiast ją cofnął. Nie potrzebował oznajmiać towarzyszom, kto dobijał się do drzwi: jego pobladła twarz mówiła sama za siebie. Pies porwał się z pod krzesła i wyciem pobiegł do drzwi.

— Trzeba go wpuścić — rzekł Crackit, biorąc świecę ze stołu.

— Czy koniecznie? — zapytał Kags.

— Koniecznie — odparł Crackit.

— Nie zostawiajże nas przynajmniej w ciemnościach — rzekł Kags, biorąc drugą świecę z kominka i zapalając ją drżącą ręką.

Crackit zeszedł na dół i niebawem wrócił w towarzystwie człowieka, którego twarz była od dołu zasłonięta chustką, od góry naciśniętym na oczy kapeluszem. Człowiek odwiązał powoli chustkę i wówczas ukazała się twarz trupio blada, zapadłe i zarośnięte policzki, oczy patrzące błędnie.

Był to Bill Sikes, a raczej cień dawnego Billa.

Oddychał ciężko i chwiał się na nogach.

Zbliżył się do krzesła i chciał usiąść, lecz nagle wzdrygnął się, obejrzał się za siebie, potem przysunął krzesło tuż do ściany i dopiero na niem usiadł.

Żaden z trzech towarzyszy nie przemówił do niego ani słowa.

On patrzył na nich również milcząc, oni zaś odwracali od niego oczy.

Wreszcie odezwał się takim głosem, że dreszcz ich przeszedł:

— Skąd ten pies wziął się tutaj?

— Przybiegł przed wieczorem.

— Czytałem w dziennikach, że aresztowano Fagina... Czy to prawda?

— Prawda!

Znów zapanowało milczenie.

— Niech was piorun trzaśnie! Dlaczego milczycie? — krzyknął Sikes, przesuwając ręką po czole.— Hej, ty, co odgrywasz tu rolę gospodarza — dodał, zwracając się do Crackita — powiedz, czy mię wydasz, czy też pozwolisz mi ukryć się tutaj, dopóki burza nie przeminie?

— Możesz pozostać, jeżeli sądzisz, że będziesz tutaj bezpieczny — odparł po namyśle Crackit.

Sikes obejrzał się poza siebie i zapytał:

— Czy ona... to jest... czy ciało jest pochowane?

Zapytani potrząsnęli głowami.

— Dlaczego nie pochowali? — mruknął Sikes, spojrzawszy znów poza siebie. — Dlaczego trzymają taką obrzydliwość tak długo na ziemi? Ale co to? Ktoś puka?

Crackit skinął ręką uspakajająco, zeszedł na dół i wrócił z Karolkiem Bates.

Sikes siedział wprost drzwi, więc Bates spostrzegł go natychmiast. Cofnął się wtył i rzekł do Crackita:

— Tobjaszu, dlaczegoś nie powiedział mi na dole, że on jest tutaj?

Było coś tak przejmującego w słowach chłopca, że Crackit, Chitling i Kags wzdrygnęli się i spojrzeli na Sikesa, ten zaś usiłował widocznie przejednać Karola, gdyż powitał go skinieniem głowy i wyciągnął do niego rękę.

— Zaprowadźcie mnie do innej izby! — zawołał Bates, usuwając się w przeciwną stronę.

— Czy ty mnie nie poznajesz, Karolku? — odezwał się Sikes, wstając z krzesła i zbliżając się do chłopca.

— Nie zbliżaj się do mnie! — zawołał Karolek, odskakując od niego z przerażeniem w oczach. — Ty potworze!

Bill stanął; przez chwilę mierzyli się obaj wzrokiem, poczem Sikes zwrócił oczy ku ziemi.

— Mówię przy świadkach — zawołał Bates, grożąc pięścią i podniecając się coraz bardziej — że nie boję się go zupełnie i jeżeli przyjdą tutaj szukać go, to go wydam bez najmniejszego wahania. Może mię za to zabić, ale powtarzam, że wydam go i wydałbym nawet wówczas, gdybym wiedział, że będzie żywcem spalony! Morderca! Chwytać go!

Jeżeli nie jesteście nikczemnymi tchórzami, to pomóżcie mi go ująć! Morderca! Pomóżcie mi! Precz z nim!

I nagle ów niezbyt silny chłopiec, rzucił się sam jeden z gołemi rękoma na owego olbrzyma z taką wściekłością i tak gwałtownie, że niespodzianym napadem powalił go na ziemię.

Zdumienie i przestrach ogarnęły trzech świadków tej sceny, żaden jednak nie pospieszył, aby spełnić rolę rozjemcy.

Tymczasem zapaśnicy tarzali się po ziemi; Karolek, nie czując jakby potężnych ciosów, jakie mu Sikes zadawał, wpijał coraz silniej ręce w ciało bandyty i nie przestawał z całych sił wołać o pomoc.

Tak nierówna walka nie mogła trwać długo.

Sikesowi udało podnieść się i przyklęknąć, co dla Karolka było fatalną zapowiedzią, w tej chwili jednak podskoczył do walczących Crackit i, porwawszy Billa za ramię, wskazał mu ręką na okno.

Nazewnątrz domu migotały liczne światła i rozlegały się coraz głośniejsze rozmowy, oraz tupot nóg po drewnianym moście. W tłumie musiał znajdować się jakiś jeździec, gdyż słychać było tętent konia i brzęk podków, uderzających o nierówny bruk.

Świateł ukazywało się coraz więcej, zgiełk i wrzawa rosły, tłum zbliżał się coraz bardziej.

Wreszcie zaczęto dobijać się do drzwi od ulicy, a podniecone, ochrypłe głosy domagały się ich otworzenia.

Tymczasem Karolek Bates nie przestawał wołać:

— Na pomoc! Na pomoc! Chodźcie, jest tutaj! Wyważcie drzwi!

— Otwórzcie w imieniu króla i prawa! — odezwał się głos urzędowy, a zawtórował mu ogłuszający krzyk tłumu.

— Wyłamać drzwi! — krzyczał wciąż Bates. — Dobrowolnie nie otworzą wam... Wyważcie drzwi i przychodźcie wprost do izby, gdzie jest światło! Prędzej! Prędzej!

W drzwi parterowe i okiennice zaczęły walić pięści, drągi i siekiery, wydając złowrogie odgłosy. Tłum powitał energiczny szturm policji radosnym, a tak potężnym okrzykiem, że ukryci złoczyńcy teraz dopiero mogli powziąć wyobrażenie o niebywałych rozmiarach zbiegowiska.

— Otwórzcie jaką dziurę, w której mógłbym zamknąć tego przeklętego krzykacza... — wołał Sikes rozwścieczony, biegając po izbie i włokąc za sobą Karola, jak pusty worek. — Tu są drzwi! Otwórzcie je!

Wepchnął chłopca do ciemnej kryjówki i zamknął ją na klucz.

— Czy drzwi od sieni są dobrze obwarowane? — zapytał.

— Zamknięte na dwa rygle i łańcuch — odparł Crackit, który, równie jak i dwaj jego towarzysze, stracił przytomność i nie wiedział co począć.

— A drzwi wytrzymają długo?

— Okute są żelazem.

— A okiennice?

— Okiennice także.

Oczy Sikesa zapłonęły dziką radością, przysunął się do niedomkniętego okna i, wygrażając pięścią tłumowi, zawołał na cały głos:

— Niech was piekło pochłonie, róbcie, co chcecie. Ja was jeszcze wyprowadzę w pole.

Musiano usłyszeć na ulicy tę pogróżkę, gdyż zaraz potem rozległ się groźny wrzask. Znajdujący się bliżej domagali się, żeby dom podpalić; inni żądali od policjantów zastrzelenia mordercy.

Wielką gorliwość w całej akcji okazywał młody jeździec, który teraz zeskoczył z konia, przecisnął się zręcznie przez tłum, a znalazłszy się u drzwi domu, zawołał tak donośnie, że usłyszano go daleko:

— Dwadzieścia gwinej temu, kto przyniesie drabinę.

Osoby, bliżej stojące, podchwyciły to wołanie, i odpowiadały im setki głosów.

Jedni zaczęli szukać drabiny, inni wołali o młoty; ci i owi biegali z pochodniami w rozmaitych kierunkach, poszukując tych przedmiotów, a po chwili wracali na dawne miejsca z próżnemi rękoma; inni zadawalali się miotaniem klątw i gróźb; wielu rzucało się z zapalczywością, wymawiając policji niedołęstwo i bierność; śmielsi usiłowali dostać się do oświeconego okna po rynnach; niektórzy obchodzili dom ze wszystkich stron, poszukując jakiego otworu lub szczeliny, przez którą można byłoby wśliznąć do środka. Cały ten tłum wzburzony, rozjuszony, wrzeszczący, chwiał się, jak łan żyta poruszany wiatrem, a niecierpliwość jego wzmagała się i rosła z każdą chwilą.

Sikes odstąpił od okna i, spoglądając na pobladłe twarze trzech towarzyszy, rzekł:

— Był odpływ, kiedy szedłem dalej... Dajcie mi sznur, długi sznur. Oni wszyscy tłoczą się na froncie. Spuszczę się od tyłu i umknę kanałem. Dajcież mi sznur, bo inaczej trupem was położę, a wreszcie zabiję samego siebie.

Przerażeni mężczyźni wskazali mu miejsce, w którem leżały podobne przedmioty; Sikes, wybrał prędko najdłuższą i najmocniejszą linę i wymknął się na dach domu.

Wszystkie okna od domu były od dawna zatarasowane z wyjątkiem okienka w komórce, w której Sikes zamknął Karolka Bates. Było ono tak małe, że

chłopiec nie mógł się przecisnąć; nie przestawał jednak nawoływać przez nie do strzeżenia tyłów domu, a gdy zbrodniarz wybiegł na dach, chłopiec głośnym okrzykiem oznajmił to zaraz tłumowi. Niezwłocznie też fala ludzi rzuciła się gwałtownie w stronę kanału.

Sikes podparł z zewnątrz drzwi izby drewnianym drągiem tak mocno, że z wielką trudnością tylko można było je od wewnątrz otworzyć; poczem wdrapał się na dach i spojrzał na dół.

W kanale nie było wody, tylko pełno mułu i błota.

Tłum z zapartym oddechem śledził jego ruchy i starał się odgadnąć zamiary. Chwilę przedtem, gdy spostrzeżono Sikesa na spróchniałym dachu, wydano okrzyk tak potężny, że nikły wobec niego wszelkie dotychczasowe wrzaski.

Wrzask wzmagał się, potężniał, rozchodził coraz dalej, ci bowiem, którzy znajdowali się w znacznej odległości, usłyszawszy radosne krzyki pierwszych szeregów, podejmowali je i sami krzyczeli, chociaż nie wiedzieli o co chodzi. W ten sposób wrzawa rosła, jakby cały Londyn brał udział w pościgu.

Ze wszystkich ulic płynęły wciąż ku oblężonemu domowi nowe tłumy. Przybywające gromady naciskały dawniejsze, łączyły się z niemi w zwartą masę, podniecona, gniewną, groźną, burzliwą. Widok tych roznamiętnionych, rozgorączkowanych twarzy, oświeconych jaskrawem światłem tu i owdzie płonących pochodni, wzbudzał niewypowiedzianą grozę.

Tłum zapełnił także domy na przeciwnym brzegu kanału; we wszystkich oknach i okienkach pełno było głów ludzkich, na dachach nawet tłoczyły się całe gromady, spragnione widowiska ujęcia mordercy.

Wszystkie mosty — a było ich trzy w tej stronie — uginały się pod ciężarem ludzi. Każdy wspinał

się na palce, przechylając się przez ramię stojącego przed nim sąsiada, usiłując dojrzeć siedzącego na dachu zbrodniarza.

— Teraz mają go już! — zawołał ktoś.

— Już go mają! Już go mają! — powtórzył tłum radośnie.

— Przyrzekam pięćdziesiąt funtów temu — obwieszczał staruszek, stojący na moście — kto złoczyńcę ujmie żywcem. Pięćdziesiąt funtów! Będę tu czekał na tem miejscu i natychmiast wypłacę pieniądze.

Nowy wrzask zagłuszył te słowa, gdyż rozeszła się wieść, iż wyważono drzwi i że pierwszy wpadł do domu młodzieniec, który żądał drabiny.

Tłumy zakołysały się i zaczęły cisnąć się w stronę drzwi oblężonego domu. Wyglądający z okien opuścili dotychczasowe stanowiska, a wybiegłszy na ulicę, tłoczyli się również w tę stronę. Każdy chciał dostać się jak najbliżej i zobaczyć wyprowadzonego z kryjówki zbrodniarza.

Krzyki przeraźliwe tych, którzy dusili się w tłoku, i tych, co potknąwszy się, upadli pod nogi zwartej ciżby — doszły do najwyższego natężenia. Cała miejscowość teraz w szerokim promieniu zalana była falą ludzi. Wysiłki jednych, by dostać się do obleganego domu, drugich, by wyrwać się z tłumu, odciągnęły jakby ogólną uwagę od mordercy, chociaż wzrastała jednocześnie chęć ujęcia go.

Morderca tymczasem opadł z sił i usiadł na dachu, widząc rozjuszenie tłumu i niemożność ucieczki. Chwilowy popłoch wśród prześladowców dodał mu otuchy; zerwał się szybko i postanowił próbować ryzykownego sposobu ratunku. Miał zamiar spuścić się na linie do kanału i, pomimo obawy ugrzęźnięcia w mule, skorzystać z ciemności nocy i umknąć na przeciwną stronę kanału.

Nadzieja dodała mu odwagi. Nie mógł zwlekać, gdyż słyszał, że policja dostała się już do domu i lada moment może go tu zaskoczyć. Przystąpił więc do dzieła.

Przymocowawszy jeden koniec sznura do komina, na drugim szybko i zręcznie przy pomocy rąk i zębów zadzierzgnął pętlę. Sznur był tak długi, że sięgał prawie do kanału. Z kolei ujął pętlę, chcąc przesunąć przez nią głowę i ramiona w ten sposób, żeby zacisnęła się ona pod pachami. W tej chwili właśnie staruszek, który stał na moście i obiecał pięćdziesiąt funtów nagrody za schwytanie zbrodniarza żywcem, ostrzegał tłum, że morderca zamierza spuścić się z dachu na dół. Sikes właśnie przesunął głowę przez pętlę i miał ją już na szyi, gdy naraz wstrząsnął się, obejrzał za siebie i krzyknął z przerażeniem, wznosząc ręce do góry:

— Znowu te oczy! Te straszne oczy!

Zachwiał się, jak piorunem rażony, stracił równowagę i runął w dół.

Pętla, znajdująca się na szyi, zacisnęła się gwałtownie pod wpływem ciężaru ciała. Zbrodniarz zawisł w powietrzu...

Komin, do którego przywiązany był drugi koniec sznura, wytrzymał silne wstrząśnienie.

Zbrodniarz wisiał ciągle z nożem w zaciśniętej kurczowo ręce. Rzucił się kilka razy gwałtownie, zamachał rękoma, potem ciało wyprężyło się i zwisło nieruchomo wzdłuż ściany domu.

Ciało wisielca znalazło się na wysokości pierwszego piętra, tuż przed okienkiem komórki, w której był zamknięty Karolek Bates. Chłopiec odsunął z przerażeniem trupa od okienka, zaklinając ludzi na wszystko, żeby go stąd zabrali.

Na dach wybiegł za Sikesem pies, który leżał dotychczas spokojnie, lecz teraz zerwał się, zaczął bie-



gać po dachu, skomląc i wyjąc żałośnie... Wreszcie odsadził się i skoczył na barki wisielca. Nie mógł jednak utrzymać się na chwiejnej podporze, spadł na dół i zabił się na miejscu, uderzywszy łbem o kamień.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy,

wyjaśniający wiele spraw tajemniczych i zawierający propozycję małżeństwa.

W dwa dni po opisanych wyżej wypadkach Oliwer z panią Maylie, Różą, panią Bedwin i zacnym doktorem Losberne, jechał wygodnym powozem do miasta, w którem ujrzał światło dzienne. Pan Brownlow jechał drugim powozem w towarzystwie pewnej osoby, której nie wyjawiono imienia.

Oliwer milczał przez całą drogę, miotany różnemi uczuciami, które mąciły mu myśli, nie pozwalając im skupić się na jednym przedmiocie, a tem samem prowadzić rozmowy. Towarzyszące mu osoby również milczały, niemniej bowiem były wzruszone i przejęte ważnością sprawy.

Pan Brownlow wprawdzie zawiadomił zarówno panią Maylie i Różę, jak Oliwera, o treści zeznań, jakie przemocą niemal wydobył od Monksa, lecz cała sprawa, mimo dobrego początku, miała jeszcze wiele stron ciemnych i wątpliwych, które budziły obawy.

Przezorny i dobry pan Brownlow zwykł był zawsze troskliwie odsuwać od swoich przyjaciół wszystko, coby mogło ich zmartwić i zaniepokoić. Jakoż i w danym razie, przy pomocy doktora Losberne, nie dopuścił do pani Maylie, Róży i Oliwera wiadomości o tragicznych wypadkach dni ostatnich.

— Prędzej czy później, muszą się od nich dowiedzieć — mówił do doktora — ale niech to się stanie w chwili bardziej odpowiedniej.

Jechali tedy nasi podróżni w milczeniu, każdy zajęty swojemi myślami. Oliwer, w tej drodze do rodzinnego miasta, był najbardziej poruszony. Wspomnienia przebytych cierpień stawały teraz żywo przed jego oczyma, zwłaszcza gdy znaleźli się na drodze, którą ongi zmuszony był uciekać przed nieludzkiem prześladowaniem złych ludzi. Widział siebie dążącego samotnie tą drogą, siebie, biednego, wędrującego chłopca, pozbawionego wszelkiej opieki i dachu nad głową. Porwany wspomnieniem, zwrócił się do Róży i wskazując ręką przez okno powozu, szepnął:

— Niech pani patrzy, tam... przez ten przełaz przedostałem się z trudnością, a przy tych płotkach kryłem się, żeby mnie, w razie pogoni, nie spostrzeżono... Tamta ścieżka prowadzi do domu, w którym wychowywałem się przez pierwsze lata... Ach, Dicku! Dicku! Żebym mógł zobaczyć cię raz jeszcze i uścisnąć!

— Zobaczysz go wkrótce — rzekła Róża, trzymając obie jego ręce w swych dłoniach — opowiesz mu o szczęśliwej zmianie losu, o tem, że masz przyjaciół, że posiadasz znaczny majątek i że pragniesz uczynić go uczestnikiem swego szczęścia...

— O tak — podchwycił Oliwer. — Zabierzemy stąd Dicka, zaopiekujemy się nim najtroskliwiej, będziemy pamiętali o wszelkich jego potrzebach, a przedewszystkiem o tem, żeby mu zdrowie przywrócić...

Róża skinęła głową potwierdzająco, wzruszona szlachetnemi rojeniami swego ulubieńca, który mówił dalej z ożywieniem:

— Pani będzie dla niego dobrą i łaskawą, tak jak dla wszystkich... Wiem, że rozpłacze się pani nieraz, słuchając jego opowiadania o tem, co przecierpiał, jak go dręczono... Ale łzy obeschną i pani znów będzie się uśmiechała, widząc zachodzącą w nim zmia-

nę. Tak było ze mną. Przy pożegnaniu rzekł do mnie: — Niech cię Bóg błogosławi! — Teraz ja pobłogosławię go i okażę, jak bardzo, bardzo go kocham!

W miarę zbliżania się do celu podróży, coraz więcej wspomnień ogarniało Oliwera, a gdy powóz zapuścił się w wąskie uliczki miasteczka, chłopiec ledwie mógł usiedzieć na miejsce.

Oto dom pana Sowerberry, przedsiębiorcy pogrzebowego; nie zmienił się wcale, ale wydał się teraz Oliwerowi mniejszy i nie tak imponujący. Oto sklepy i kramy, do których go posyłano. Oto wózek Gamfielda stoi pod drzwiami znanej mu gospody. Oto Dom Roboczy, smutne jego więzienie z lat pacholęcych, z tak samo ponuremi oknami, z wychudłym odźwiernym przy bramie. Na jego widok Oliwer cofnął się mimowoli, poczem śmiał się z własnej dziecinniady, potem płakał, potem śmiał się znowu. W oknach widział mnóstwo znajomych twarzy, nic prawie, lub bardzo mało zmienionych. Zdawało mu się, że dopiero wczoraj opuścił miasto i że wszystko, co zdarzyło mu się potem, było snem tylko... a jednak była to radosna rzeczywistość.

Podróżni zatrzymali się przed pierwszorzędną gospodą miasteczka. Ongi w oczach Oliwera uchodził ten dom za najwspanialszy pałac, który jednak teraz przedstawił mu się bardzo skromnie.

Na spotkanie przybyłych wyszedł pan Grimwig i powitał ich bardzo serdecznie. Wysadzając z powozu panią Maylie i Różę, całował je i ściskał, jak gdyby był dziadkiem całego towarzystwa. Był niezmiernie uprzejmy, miły, rozmowny, ani razu nie wspominał o połknięciu swojej głowy, nawet wówczas, gdy posprzeczał się z pocztyljonem o najkrótszą drogę do Londynu, utrzymując z wszelką pewnością, że zna tutejsze strony daleko lepiej niż wszy-

scy pocztyljoni razem wzięci, chociaż pierwszy raz tu przyjechał i do tego spał całą drogę.

Pokoje dla przybyłych były przygotowane, obiad też niebawem znalazł się na stole.

Po ożywionem przywitaniu, całe towarzystwo znów zapadło w nastrój milczący. Pan Brownlow nie zasiadł do wspólnego stołu, lecz kazał sobie podać do osobnego pokoju. Doktór Losberne i pan Grimwig biegali ustawicznie w różne strony, a gdy się z sobą spotkali, usuwali się nabok i rozmawiali szeptem. Raz nawet wywołano do innego pokoju panią Maylie; zabawiła tam godzinę i wróciła z oczyma zaczerwienionemi od płaczu. Wszystko razem niepokoiło Różę i Oliwera, którzy siedzieli w milczeniu, kiedy niekiedy, tylko przemawiając do siebie tak cicho, jak gdyby obawiali się dźwięku własnego głosu.

Wreszcie o godzinie 9-ej wieczorem do pokoju, w którym siedzieli z panią Maylie, wszedł naprzód pan Grimwig z doktorem Losberne, a za nimi pan Brownlow w towarzystwie pewnego mężczyzny. Oliwer przestraszył się bardzo, gdy powiedziano mu, że człowiek ten jest jego bratem, poznał w nim bowiem owego jegomościa, którego już widział dwukrotnie; raz w miasteczku przed pocztą, gdy oddawał list pani Maylie, drugi — przez okno swego pokoiku, do którego nieznajomy zaglądał wraz z Faginem.

Monks rzucił na Oliwera zjadliwe, pełne nienawiści spojrzenie i usiadł na uboczu, blisko drzwi.

Pan Brownlow, trzymając w ręku jakieś papiery, usiadł przy stole pomiędzy Różą i Oliwerem.

— Jest to zadanie przykre — rzekł — ale muszą być przy tych osobach powtórzone zeznania, które złożyłeś już raz w Londynie i podpisałeś przy świadkach. Chciałem ci oszczędzić tego upokorzenia,

ale okoliczności wymagają, żebyś wszystko sam powtórzył. Okoliczności te są ci dobrze znane.

— Proszę więc zacząć — rzekł Monks, unikając wzroku zebranych. — Proszę nie przewlekać sprawy. Z mojej strony uczyniłem już dosyć. Proszę nie zatrzymywać mię tu długo.

— Ten chłopiec — rozpoczął pan Brownlow, przyciągając do siebie Oliwera i kładąc dłoń na jego głowie — jest twoim przyrodnim bratem, synem z nieprawego łoża twego ojca, a mego drogiego przyjaciela Edwina Leeford i nieszczęśliwej Agnieszki Fleming, która, wydawszy go na świat, umarła. Czy to przyznajesz?

— Przyznaję — odparł Monks, spoglądając na drżącego Oliwera, któremu serce biło gwałtownie. — Tak, to jest ten bękart!

— Miarkuj się w słowach! — przestrzegł go surowo pan Brownlow. — Wyrażenie, którego użyłeś, jest oskarżeniem tych, którzy dawno już wyzwolili się od sądu tego świata. Nie uchybia ono nikomu z żyjących, jedynie tobie, który go używasz. Ale do rzeczy. Chłopiec urodził się w tem mieście?

— Tak jest, w Domu Roboczym — potwierdził Monks. — Zostało to przecież zapisane w papierach.

Tu Monks wskazał niecierpliwie na papiery, trzymane przez pana Brownlow.

— Musisz powtórzyć wszystko sam, własnemi ustami — rzekł pan Brownlow.

— Niech i tak będzie — mruknął Monks: — Gdy ojciec mój, bawiąc w Rzymie, zachorował śmiertelnie, dano znać mojej matce. Nie żyła ona z mężem od dłuższego czasu, a wtedy mieszkała wraz ze mną w Paryżu. Po otrzymaniu wiadomości, udaliśmy się natychmiast do Rzymu, chcąc dopilnować spraw majątkowych. O uczuciu nie mogło być mowy. Oboje, zarówno ojciec, jak i matka, nienawidzili się na-

wzajem. Zastaliśmy chorego bez przytomności. Nie poznał nas wcale. W takim stanie przetrwał do następnego dnia, wreszcie umarł. W podręcznej jego szkatule znaleźliśmy dwa papiery, skreślone własnoręcznie przez ojca na kilka dni przed jego chorobą, oraz kartkę do pana Brownlow, zawierającą prośbę, iżby dokumenty zostały właściwie spożytkowane dopiero w pewien czas po śmierci ojca. Jednym z tych dokumentów był list do kochanki ojca, córki oficera marynarki, Agnieszki, a drugim był testament.

— Cóż list opiewał? — zapytał pan Brownlow.

— List? Kawałek złożonego papieru, zawierającego spowiedź i prośbę do Boga o pomoc i opiekę dla niej. Potem następowała historja jego stosunku z Agnieszką. Dowiadujemy się z niej, że pewna tajemnica, która zostanie kiedyś wyjaśniona, nie pozwoliła mu z nią się ożenić, że ona ufała mu bezgranicznie i poszła w tej ufności tak daleko, że straciła ostatecznie to, czego już nie mogła później odebrać. W chwili, kiedy ojciec pisał ten list, Agnieszka czuła się matką. Ojciec zawiadamiał ją, co zamierza przedsięwziąć, aby ukryć jej hańbę przed światem, a na wypadek swej śmierci, błaga ją, aby nie przeklinała jego imienia, aby pamiętała zawsze, że cała odpowiedzialność spada na niego i skutki złego czynu nie mogą mścić się na niej, ani na dziecku. Przypomniał dzień, kiedy ofiarował jej złoty medaljon i takiż pierścionek; na wewnętrznej stronie pierścionka było wyryte jej imię, a dalej zostało puste miejsce na jego imię, gdyż spodziewał się, że wkrótce będzie mógł je tam umieścić. Prosił ją, żeby te przedmioty chowała wiernie, nie powierzając ich nikomu. Potem znów były zaklęcia i prośby o przebaczenie — w kółko jedno i to samo.

— A testament? — nalegał pan Brownlow.

Monks milczał.

— Wyręczę cię, powtarzając go, według własnego twego zeznania — rzekł pan Brownlow. — Testament potwierdzał to wszystko, co zawierał list. Ojciec mówił w nim o nieszczęściach i cierpieniach, jakie żona sprowadziła na niego; o krnąbrności, przewrotności, przedwczesnej rozpuście i innych występkach swego syna, którego matka wprowadziła na złą drogę, wpajając w niego zarazem nienawiść ku ojcu. Tobie i twojej matce przeznaczył tylko osiemset funtów rocznej renty, cały zresztą majątek dzielił na dwie równe części, z których jedną legował Agnieszce Fleming, a drugą jej dziecku. Gdyby dzieckiem była dziewczyna, zapis stawał się jej własnością po dojściu do pełnoletności, bez żadnych zastrzeżeń; gdyby chłopiec, to otrzymywał on legat z tym warunkiem, jeżeli w czasie swej małoletności nie okaże złych skłonności, jeżeli się nie dopuści czynów haniebnych, niezgodnych z uczciwością i honorem. Warunek ten twój ojciec, jak sam objaśnił, położył w celu okazania ufności do matki dziecięcia; był bowiem przekonany, że spodziewane dziecko odziedziczy zalety jej serca i umysłu, jej szlachetność i dobroć. Gdyby nadzieja go zawiodła, część majątku miała dostać się tobie. Ty wtedy miałeś pierwszeństwo do tej części fortuny; chociaż nigdy nie okazywałeś dla ojca serca, przeciwnie, oziębłość i niechęć...

— Moja matka uczyniła to, co zrobiłaby każda kobieta na jej miejscu — odezwał się Monks głośno — spaliła testament. List również nie doszedł do miejsca swego przeznaczenia, matka przechowała go jednak wraz z innemi dowodami, na wypadek, gdyby Agnieszka zechciała kiedykolwiek zaprzeczać. Niezwłocznie też zawiadomiła Fleminga o niesławie jego córki, obarczając ją jeszcze wieloma zmyślonemi oskarżeniami; do wymyślenia ich pomogła nienawiść.

Uwielbiam za to moją matkę. Fleming, złamany nieszczęściem, opuścił zamieszkiwaną przez siebie miejscowość i, zmieniwszy nazwisko, ukrył się w najodleglejszym zakątku Walji, gdzie też wkrótce życie zakończył. Agnieszka uciekła z domu. Parę tygodni przedtem daremnie poszukiwał jej w całej okolicy, chodząc piechotą z miasta do miasta. Wreszcie zaprzestał poszukiwań i wrócił do domu, sądząc, że sama sobie śmierć zadała, aby ukryć przed światem swoją i jego hańbę. Tej nocy pękło mu serce.

Znów zapadł w milczenie, aż dopiero pan Brownlow podjął w dalszym ciągu tragiczną opowieść:

— W lat kilka po tych wypadkach — mówił — przybyła do mnie matka tego człowieka, Edwarda Leeford. On, rodzony jej syn, uciekł od niej, okradłszy ją z pieniędzy i klejnotów. Miał wówczas lat osiemnaście. Zerwał już wtedy ze wszelkiemi względami honoru i sumienia; trwonił pieniądze, zapijał się, grał i dopuszczał się różnych oszustw... Włócząc się po świecie, przybył wreszcie do Londynu, gdzie przez dwa lata prowadził nikczemne życie, utrzymując stosunki z wyrzutkami społeczeństwa. Matka jego, zapadłszy na straszną, nieuleczalną chorobę, zapragnęła zobaczyć go raz jeszcze przed śmiercią. Niełatwo jednak było go znaleźć. Po długich poszukiwaniach odkryto go wreszcie i zawiadomiono o życzeniu matki. Udał się wraz z nią do Paryża...

— Tam umarła — rzekł Monks — po długiej chorobie. Na śmiertelnem łożu powierzyła mi tajemnice rodzinne, o których dotychczas nie wiedziałem, przekazując dozgonną nienawiść do wszystkich osób, które z owemi tajemnicami były lub pozostają związane. Nie potrzebowała uczyć mię tej nienawiści, odczuwałem już ją oddawna. Matka nie wierzyła w samobójstwo Agnieszki, wierzyła natomiast, że przyszło na świat dziecko płci męskiej i że żyje ono

gdzieś w ukryciu. Przysięgłem jej, że o ile spotkam chłopca na drodze mego życia, to prześladować go będę do ostatniego tchnienia, nie dam mu chwili spokoju, nasycę na nim pragnienie zemsty, wyładuję całą nienawiść za testament ojca, poniżający mię i krzywdzący na rzecz nieprawego syna. Ściągnę go na dno występku, doprowadzę do stóp szubienicy. Moja matka przeczuwała dobrze. Spotkałem go. Przystąpiłem do działania. Z początku wszystko szło po mojej myśli i byłbym doprowadził mój zamiar do końca, gdyby nie zdrada dziewczyny.

Monks zacisnął pięści w bezsilnej wściekłości, klnąc przytem złowrogo.

Pan Brownlow zwrócił się tymczasem do przerażonych słuchaczy z bliższemi wyjaśnieniami. Dowiedzieli się, że Monks przyrzekł Faginowi, który od dawna był jego wspólnikiem i towarzyszem, znaczną sumę za chwycenie Oliwera w pułapkę, zastrzegając sobie przytem, że zwróci mu część wypłaconej sumy, o ile Oliwer z rąk mu się wymknie. Ten punkt umowy wywołał spór między nimi; ostatecznie Fagin musiał przekonać Monksa, że Oliwer żyje, że można będzie jeszcze go porwać. W tym celu zaprowadził Monksa na wieś, gdzie Oliwer z panią Maylie i Różą spędzał lato i pokazał mu przez okno chłopca, który zdrzemnął się właśnie w swoim pokoju.

— A medaljon i pierścionek? — spytał pan Brownlow, zwracając się do Monksa.

— Kupiłem je od pewnej pary małżeńskiej, która skradła te przedmioty starej pielęgniarce Domu Roboczego, a ta znowu ograbiła z nich zwłoki Agnieszki — odparł Monks, nie podnosząc oczu. — Pan wie, co się z niemi stało.

Pan Brownlow skinął na pana Grimwiga, który znikł z wielką skwapliwością, lecz wrócił wkrótce,

popychając panią Bumble i ciągnąc za sobą jej niezadowolonego małżonka.

— Co widzę? Czy mnie oczy nie mylą? — zawołał pan Bumble ze źle udaną radością. — Wszak to nasz kochany Oliwer? Ach Oliwerze, Oliwerze, com się o ciebie nakłopotał!

— Milcz, głupcze! — ofuknęła go pani Bumble.

— Droga żono — upomniał ją gospodarz Domu Roboczego — czy można oprzeć się porywom serca? Jakże nie mam się cieszyć? Przecież wychowałem od maleńkości tego kochanego chłopca, który teraz siedzi w gronie zacnych pań i panów! Kochałem go zawsze jak... jak... rodzonego dziadka — dodał, zatrzymując się chwilę w poszukiwaniu odpowiedniego porównania. — Kochany panie Oliwerze, czy przypominasz sobie poczciwego jegomościa w białej kamizelce? Umarł, panie Oliwerze, umarł! Przeniósł się do wieczności! Pochowaliśmy go w pięknej dębowej trumnie ze srebrnemi ozdobami.

— Mój panie — przerwał pan Grimwig z ironją — pohamuj swój wylew serdeczności...

— Postaram się, szanowny panie, postaram — rzekł pan Bumble i zwrócił się do pana Brownlow: — Witam szanownego pana, jak zdrowie?

Pan Brownlow, nie odpowiadając na pytania, zbliżył się do godnej pary i zapytał, wskazując Monksa:

— Czy znacie tego jegomościa?

— Nie! — odpowiedziała krótko pani Bumble.

— A może ty go znasz? — zapytał znów pan Brownlow jej małżonka.

— Widzę go po raz pierwszy w mojem życiu — brzmiała odpowiedź.

— A nie sprzedaliście mu czego przypadkiem?

— Nie! — zaprzeczyła pani Bumble.

— Czy nie wiecie przypadkiem o jakim złotym medaljoniku i pierścionku? — pytał dalej pan Brownlow.

— Nie wiemy! — odparła niewiasta. — Czy przyprowadzono nas tutaj poto, żeby wypytywać o takie głupstwa?

Pan Brownlow skinął powtórnie na swego przyjaciela, a pan Grimwig wprowadził po chwili dwie zgrzybiałe, zgarbione kobiety, które szły powoli, potykając się i kulejąc.

— Zamknęłaś drzwi od izby, pani Bumble, w której konała stara Sally — rzekła jedna z nich, podnosząc wyschłą rękę do góry — ale nie stłumiłaś swego głosu i nie zasłoniłaś szpar we drzwiach.

— Nie zasłoniłaś, nie! — wyseplenila druga, poruszając gwałtownie bezzębną szczęką. — Oj, nie zasłoniłaś.

— Słyszałyśmy i widziały dobrze, co działo się w izbie — ciągnęła pierwsza. — Sally opowiadała wam o popełnionej przez siebie kradzieży, a wyście, pani Bumble, wydarli jej z rąk jakiś papierek. Był to kwit z lombardu.

— Tak! Tak! — potwierdziła druga — kwit z lombardu na zastawiony złoty medaljon i takiż pierścionek. Potem pani Bumble te rzeczy wykupiła z lombardu. Tak! Tak! Myśmy to wszystko wyśledziły, wszystko!

— I wiemy coś więcej jeszcze — rzekła pierwsza. — Stara Sally mówiła nam dawniej, że młoda kobieta, którą okradła po śmierci, przeczuwała, iż nie przeżyje choroby... Zwierzała się Sally, że wybrała się w daleką podróż, aby umrzeć na grobie ojca jej dziecięcia... Ho, ho!

— A może chcecie, żeby sprowadzić tu urzędnika lombardu? — zapytał pan Grimwig, kierując się ku drzwiom.

— Nie potrzeba — odparła pani Bumble. — Jeżeli ten jegomość — dodała, wskazując Monksa — jest takim tchórzem, że wydał wszystko ze strachu, jak się tego domyślam; jeżeliście wytropili przytem dwie stare czarownice i wyciągnęli od nich, co wam potrzeba: to nie widzę racji ukrywania prawdy. Tak jest, miałam te przedmioty i sprzedałam je temu jegomościowi; ale teraz znajdują się one w takiem miejscu, że chyba nie wydobędziecie ich stamtąd? Czego jeszcze od nas żądacie?

— Nic więcej — rzekł pan Brownlow. — Postaramy się tylko, żeby asan i jego małżonka nie zajmowali nadal stanowiska, które wymaga ludzi godnych zaufania. Możecie odejść.

Pan Grimwig wyprowadził staruszki, za któremi wysunęła się dyskretnie pani Bumble; małżonek jej, zmieszany i zaniepokojony, odezwał się pokornie do pana Brownlow:

— Spodziewam się, panie, to jest mam nadzieję... że... ta drobna okoliczność nie pozbawi mię skromnej posady?

— Przeciwnie, mój panie — rzekł pan Brownlow — zostaniesz z niej usunięty i dziękuj Bogu, że na tem wszystko się skończy.

— Ale ja jestem niewinny — błagał pan Bumble, obejrzawszy się wprzód, czy żony niema w pokoju — przysięgam, że to ona, pani Bumble nawarzyła tego piwa. Ja do tego ręki wcale nie przykładałem!

— To nie jest usprawiedliwienie — przerwał pan Brownlow. — Tyś pośredniczył pomiędzy tym jegomościem a twoją żoną w sprzedaży pamiątek i byłeś obecny, jak je jegomość wrzucił do rzeki. Zresztą, jako mąż, jesteś odpowiedzialny za żonę. Prawo przypuszcza, że żona działa zawsze pod kierunkiem męża i podług jego woli.

Pan Bumble oburzył się:

— Jeżeli prawo tak przypuszcza, to jest ono głupcem i osłem! Jest człowiekiem bezżennym, nie mającym żadnego pojęcia o małżeństwie. Życzę mu, tak, życzę, żeby otworzyły mu się oczy na mocy własnego doświadczenia! Tak jest, doświadczenia!

Wypowiedziawszy to z wielkim ferworem, pan Bumble włożył kapelusz na głowę, ręce wsadził do kieszeni i wybiegł z pokoju wślad za swą połowicą.

— Droga panno Różo — zwrócił się pan Brownlow do panny Maylie — proszę o rękę. Niech pani nie drży. Dochodzimy do końca sprawy. Już tylko jedną kwestję mamy do wyjaśnienia.

— Przeczucie mówi mi, że ta kwestja dotyczy mojej osoby — odezwała się Róża. — Jeżeli tak jest to proszę ją odłożyć na kiedyindziej. Jestem bardzo wyczerpana, nie mam już sił.

— Droga pani — uśmiechnął się łagodnie pan Brownlow — jestem przekonany, że posiadasz więcej siły, więcej hartu ducha, niż sama sądzisz. Czy znasz tę panienkę?

— Znam — odparł Monks.

— Ja pana nigdy nie widziałam... — szepnęła Róża zatrwożona.

— Ale ja panią widziałem nieraz — rzekł Monks.

— Ojciec nieszczęśliwej Agnieszki miał dwie córki — odezwał się pan Brownlow. — Cóż się stało z drugą? Była ona jeszcze dzieckiem, kiedy Oliwer przyszedł na świat.

— Ojciec dziecka — objaśnił Monks — umarł w obcem mieście, pod przybranem nazwiskiem, nie pozostawiwszy żadnych dowodów, żadnych śladów nawet, z których można było dowiedzieć się o jego prawdziwem nazwisku, pochodzeniu lub rodzinie. Osieroconem dzieckiem zajęli się ubodzy wieśniacy i wychowali je, jako swoje.

— Dalej, dalej — naglił pan Brownlow, dając znak pani Maylie, żeby słuchała uważnie.

— Pan nie mógł znaleźć tego zakątka — opowiadał Monks — w którym ukrył się Fleming, ale to co nie udało się przyjaźni, to udało się nienawiści. Matka moja wyśledziła to schronienie i odnalazła dziecko.

— Co wówczas zrobiła? Czy wzięła je do siebie?

— Nie. Wieśniacy, którzy przygarnęli dziewczynkę, byli — jak nadmieniłem — ubodzy i zaczęli żałować zaopiekowania się dzieckiem. Matka moja, widząc ich niechęć do sieroty, skłoniła ich, żeby zatrzymali ją przy sobie, ofiarując im skromną kwotę pieniędzy i przyrzekając im co pewien czas podobną kwotę przesyłać. Nie myślała oczywiście dotrzymać obietnicy. Ubóstwo tych ludzi i niechęć do dziecka przemawiały za tem, że będzie ono nieszczęśliwe. Ale to nie wystarczyło mojej matce. Opowiedziała tedy wieśniakom o losach siostry, przedstawiając ją wprost, jako ladacznicę; upominała ich, żeby pilnie strzegli dziewczynki, gdyż w jej żyłach płynie zła krew, która prędzej czy później, sprowadzi ją na bezdroża, zwłaszcza, że jest nieprawem dzieckiem. Wieśniacy uwierzyli we wszystko i traktowali sierotę jak najgorzej. Dziecko było bardzo nieszczęśliwe, traf jednak zdarzył, że pewna bogata pani, mieszkająca w Chertsey, zwróciła na nie uwagę i wzięła je na wychowanie. Piekło musiało się chyba sprzysiąc przeciwko nam, gdyż, pomimo wszelkich usiłowań, sierota pozostała u owej pani i życie jej płynęło szczęśliwie. Straciłem ją z oczu dwa, czy trzy lata temu i dopiero przed trzema miesiącami spotkałem ją znowu.

— Gdzie ona jest teraz?

— Widzę ją przed sobą, wspartą na pańskiem ramieniu...

Róża była bliska omdlenia.

— Różo! Różo! — wołała pani Maylie, chwytając ją w swoje ramiona. — Jesteś i będziesz mojem dzieckiem, moją najukochańszą siostrzenicą... Za żadne skarby świata nie rozstałabym się z tobą, moja najmilsza towarzyszko, moja droga, słodka dzieweczko!

— O, pani! — wyszeptała Róża przez łzy — moja przyjaciółko, jedyna i najlepsza... Boże miłosierny! Serce mi pęka, nie zniosę chyba tego wszystkiego.

— Tyle już wycierpiałaś — mówiła pani Maylie, wciąż tuląc ją w swoich objęciach — a jednak zawsze, pomimo wszystko, rozsiewałaś naokoło siebie hart i pogodę. Uspokój się. Zapominasz o naszym kochanym wychowańcu, który z niecierpliwością oczekuje chwili, kiedy uściska swoją ciotkę.

— Nie ciotkę, droga pani! — zawołał Oliwer, zarzucając Róży ręce na szyję. — Będę ją nazywał ukochaną, najlepszą, najmilszą siostrzyczką... Prawda, Różo, że pozwolisz mi tak siebie nazywać?

Dwoje sierot ściskało się i obsypywało pocałunkami, jakby teraz dopiero odszukało się wzajem i poznało. Ich radość poruszyła obecnych do łez.

Odnajdywano i tracono w tej samej chwili ojca, siostrę, matkę. Radość i ból wypełniały jedno naczynie, lecz nie wywoływało też goryczy; nieraz cierpienie jest łagodne i osłodzone tak rzewnemi wspomnieniami, że traci cechy rozdzierającego bólu i graniczy z uczuciem przyjemności.

Długo, długo sieroty pozostawały sam na sam, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Oliwer otworzył je i wpuścił do pokoju Henryka Maylie, sam zaś usunął się dyskretnie.

— Wiem o wszystkiem, droga Różo — rzekł, siadając obok dziewczęcia. — I nie znalazłem się tu

przypadkiem — dodał po chwili milczenia. — Czy nie domyślasz się, że przybyłem przypomnieć pewną obietnicę?

— Wiesz o wszystkiem? — przerwała Róża.

— Tak, o wszystkiem. Różo, pozwoliłaś mi powrócić w ciągu bieżącego roku do przerwanej ongi rozmowy. Czy pamiętasz?

— Pamiętam.

— Nie chcę robić nacisku na twoją decyzję — ciągnął dalej młody człowiek — chcę tylko usłyszeć ją raz jeszcze. Wtedy pozwoliłaś mi złożyć powtórnie u twoich stóp majątek, stanowisko i wszystko inne, a ja zobowiązałem się nie wpływać ani słowem, ani czynem na twoje postanowienie w razie, gdybyś po raz drugi zechciała mi odmówić.

— Powody, które skłoniły mię wówczas — odparła Róża stanowczo — istnieją i dziś jeszcze, Henryku. Jeżeli już wtedy poczuwałam się do obowiązków względem osoby, której dobroć wyrwała mię z życia nędzy i cierpienia, to cóż dopiero muszę odczuwać dzisiaj po wszystkiem, czego się dowiedziałam? Walka jest bolesna, ale pochlebiam sobie, że stoczę ją bez szemrania.

— Wyjaśnienie wiadomej sprawy... — zaczął Henryk.

— Wyjaśnienie tej sprawy — przerwała Róża łagodnie — nie zmienia ani na jotę mego stanowiska wobec was.

— Różo, na Boga! Chyba masz serce z kamienia — zawołał Henryk z wyrzutem.

— Pragnęłabym, Henryku, żeby tak było — szepnęła Róża, wybuchając płaczem — nie czułabym wówczas bólu i cierpienia.

— Sama je sobie zadajesz! — podchwycił Henryk, ujmując jej rękę. — Przypomnij sobie, droga Różo, to wszystko, coś usłyszała przed chwilą!

— Czegożem się dowiedziała? — powtórzyła Róża. — Dowiedziałam się o niesławie, która dotknęła naszą rodzinę, a której nasz ojciec nie mógł przeżyć... Ale już dosyć tej rozmowy! Dosyć.

— Nie, nie dosyć — zawołał Henryk, wstrzymując Różę, która chciała odejść. — Przez miłość dla ciebie wyrzekłem się wszelkich innych pragnień, dążeń i nadziei. Dziś nie mogę ofiarować ci wybitnego stanowiska wśród błyszczącego świata, pełnego obłudy i podstępu, w którym żyjąc, człowiek rumieni się tylko na widok rozpanoszenia rzeczy hańbiących i niegodnych. Dziś ofiarować ci mogę tylko dom rodzinny, ognisko domowe, nic ponadto.

— Co to ma znaczyć? — szepnęła.

— To znaczy, że po naszej ostatniej rozmowie postanowiłem usunąć wszelkie sztuczne przeszkody, które nas dzieliły i twój świat uczynić moim, skoro mój twoim być nie może. I uczyniłem to. Dawniejsze moje otoczenie odwróciło się z tego powodu ode mnie, potwierdzając słuszność twoich przekonań. Wszyscy dostojni protektorzy, wszyscy możni i ustosunkowani krewni, którzy niedawno uśmiechali się do mnie, dziś witają mię zimno i wyniośle. Ale w najżyźniejszej prowincji naszego kraju są uśmiechnięte pola i falujące drzewa, a wśród nich wiejski kościół, z dworkiem w pobliżu. Tam jest moja godność i moje stanowisko, tam zamieszka szczęście, tysiąc razy większe od wszystkich zaszczytów, których się wyrzekłem. Oto co składam dziś u twoich stóp!

— Wielkie to poświęcenie, zaiste, czekać z wieczerzą na zakochanych — mruknął pan Grimwig, ocknąwszy się ze snu i zdejmując chustkę z głowy.

Uwaga jego była słuszna. Wieczerza czekała już od dawna, lecz ani pani Maylie, ani Róża, ani Henryk nie zjawiali się długo w pokoju jadalnym.

— Doprawdy, moi państwo — rzekł pan Grimwig, gdy stanęli przed nim wszyscy troje — przygotowywałem się zupełnie serjo do połknięcia własnej głowy w obawie, że nic innego nie dostanę do jedzenia. Za karę muszę pocałować narzeczoną.

To rzekłszy pan Grimwig wykonał niezwłocznie groźbę, składając pocałunek na czole zarumienionej Róży, a za jego przykładem poszli skwapliwie pan Brownlow i doktór Losberne.

Byli tacy, którzy twierdzili, że to samo uczynił przedtem Henryk Maylie w sąsiednim ciemnym pokoju, inni jednak dowodzili, że to jest wierutne oszczerstwo, jako że podobnego czynu nie mógł się dopuścić człowiek młody, a w dodatku pastor.

— Oliwerze, co tobie, dziecko? — zapytała pani Maylie — gdzieś ty był i dlaczego jesteś taki smutny? Czemu płaczesz? O co chodzi?

Świat jest pełen zawodów: zawodzi on nieraz najukochańsze nadzieje i te, które przynoszą zaszczyt naszemu charakterowi.

Biedny Dick już nie żył!

Rozdział pięćdziesiąty drugi.

Ostatnie chwile Fagina.

Salę sądową wypełniła szczelnie publiczność. W każdym kącie błyszczały oczy, płonące gorączkową ciekawością, zwrócone w to miejsce, gdzie znajdował się Fagin.

Z przodu i z tyłu, z prawej i lewej strony, nad nim i obok niego — zewsząd otaczał go jakby strop niebieski, usiany rojem lśniących oczu. On zaś stał, w pełnem świetle, z jedną ręką opartą o poręcz

drewnianej barjery, drugą koło ucha, z głową i korpusem naprzód pochylonym, łowiąc chciwie każde słowo prokuratora, który oskarżał go przed Sądem Przysięgłych. Czasem rzucał bystre spojrzenie na sędziów, chcąc wyczytać z ich twarzy, jakie wrażenie wywiera na nich jakaś bagatelka, przemawiająca na jego korzyść, jeżeli prokurator jednak przytaczał dowody, które potępiały go bezlitośnie, wówczas zwracał błagalny wzrok na adwokata, usiłując tym sposobem pobudzić go do podjęcia obrony. Poza temi ruchami głowy całe jego ciało zresztą było jakby stężałe. Nie drgnął prawie od początku rozprawy i teraz, gdy prokurator skończył swoje zarzuty, stał wciąż w jednakiej postawie, z ręką przy uchu, z oczyma wpatrzonemi w oskarżyciela, jakby słuchając go w dalszym ciągu.

Szmer, który powstał na sali, wrócił mu przytomność. Potoczywszy okiem dokoła, spostrzegł, że przysięgli naradzają się pocichu nad wyrokiem. Spojrzał na galerję i zauważył, że ludzie wspinali się jedni przez drugich, wychylając głowy, aby go zobaczyć; niektórzy przypatrywali mu się przez lornetki, inni wskazywali palcami z wyrazem wstrętu i grozy. Pewna część publiczności nie zwracała na niego uwagi i przyglądała się jedynie sędziom, dziwiąc się, że ociągają się z wyrokiem. Na żadnej twarzy, nawet na twarzach kobiet, nie mógł dostrzec najmniejszego śladu litości; wszystkie potępiały, na wszystkich wyraźnie niemal widniał surowy wyrok.

Zrozumiawszy nastrój ogólny, potoczył dokoła dzikim wzrokiem. Zauważył wówczas, że wśród śmiertelnej ciszy sędziowie zwrócili się do przewodniczącego, przedstawiając mu konieczność ustąpienia na naradę. Patrzał w twarz każdego z sędziów, gdy zabierali się do wyjścia, jakby chcąc wyczytać w nich koleje swego przyszłego losu.

Dozorca więzienny trącił go w ramię i poprowadził na koniec ławy oskarżonych. Fagin udał się tam pokornie, siadł machinalnie i zwrócił znów oczy na galerję. Wiele osób pokrzepiało się przyniesionem z domu jedzeniem, większość chłodziła twarz chustkami, w sali bowiem było duszno i gorąco.

Wśród publiczności Fagin zauważył młodego człowieka, który szkicował jego postać w notatniku, i zaczął nad tem rozmyślać, czy też ów portret będzie podobny. Gdy rysownik temperował złamany ołówek, Żyd przyglądał mu się z zaciekawieniem leniwego widza.

Potem skierował wzrok na sekretarza, i zastanawiał się nad krojem jego ubrania, usiłował odgadnąć cenę materjału i czas noszenia.

Tuż naprzeciwko niego siedział jakiś otyły jegomość. Wyszedł on przed pół godziną i teraz powrócił na dawne miejsce. Fagin starał się odgadnąć, czy ten jegomość był na objedzie, a jeżeli był, to co jadł i gdzie mianowicie.

Przenosząc oczy z przedmiotu na przedmiot, znajdował coraz nowe tematy do rozmyślań. Mimo to, świadomość grobu, otwierającego się pod nogami, nie opuszczała go ani na chwilę. Było to jednak uczucie mgliste, niewyraźne, niezdolne do skupienia jego myśli na jednym punkcie. I nawet wtedy, gdy groza śmierci przejmowała go lodowatym dreszczem, lub uderzała gorącem do głowy, nawet wtedy liczył pręty żelaznej kraty, otaczającej ławę oskarżonych, i zastanawiał się nad tem, kiedy zakończenie jednego z nich zostało ułamane i kiedy krata będzie naprawiona. A potem zaraz myślał o grozie szubienicy i szafotu, i obserwował człowieka, kropiącego dla chłodu podłogę, i znów wracał do poprzedniej myśli.

Wtem padł rozkaz, zalecający ciszę, i wszyscy z zapartym oddechem skierowali oczy na drzwi, pro-

wadzące do sali obrad. Sędziowie szli powoli na swoje miejsca tuż koło niego. Fagin wpił oczy w ich twarze, lecz nie zdołał z nich nic wyczytać. Rysy ich były poważne, kamienne.

Głęboka cisza zaległa salę, publiczność wstrzymała dech w piersiach.

— Winny!

Sala zadrżała od ogłuszających okrzyków... Powtórzyły się one jeszcze raz, i jeszcze raz, a zawtórował im radosny wrzask, pozostających na ulicy tłumów i witających w ten sposób nowinę, że zbrodniarz poniesie śmierć w poniedziałek.

Hałas uciszył się, przewodniczący zapytał skazanego, czy ma co do powiedzenia, on stał ciągle w tej samej pozycji, nie obejmując znaczenia ogłoszonego wyroku.

Przewodniczący powtórzył pytanie po raz drugi i wówczas dopiero Fagin wyjąkał, że jest stary, bardzo stary i zamilkł znowu, wypowiedziawszy szeptem ostatnie słowo.

Przewodniczący włożył beret na głowę, a Żyd stał wciąż w tej samej podstawie, z tym samym wyrazem twarzy

Jakaś kobieta, przejęta uroczystością chwili, zaczęła krzyczeć przeraźliwie. Żyd spojrzał w jej stronę, jakby oburzony, że śmie w ten sposób zamącać spokój, i pochylił się naprzód z większą uwagą. Wyrok brzmiał uroczyście i złowrogo.

A on wciąż stał bez ruchu, jak skamieniały. Twarz miał wyciągniętą naprzód, dolną szczękę opuszczoną, oczy błędne.

Dozorca więzienia położył rękę na jego ramieniu, aby wyprowadzić go z sali. Spojrzał na dozorcę bezmyślnie i usłuchał bez oporu.

Dozorca sprowadził go po schodach do wielkiej sali, gdzie czekało na swoją kolej wielu innych

oskarżonych. Sala przylegała do korytarza i zamiast drzwi miała żelazną kratę, za którą stały gromadki krewnych i przyjaciół oskarżonych. Do Fagina nikt się nie zwrócił, nikt się do niego nie odezwał. Gdy przechodził, więźniowie usuwali się, aby ludzie za kratą mogli go widzieć; złorzeczono mu, przeklinano i lżono. Fagin pogroził zaciśniętą pięścią i byłby plunął im w oczy, ale dozorca pociągnął go dalej.

Minąwszy wąski korytarz, oświecony kilku rzucającemi słabe światło lampami, dozorca wprowadził skazanego do celi. Tutaj zrewidowano go starannie, czy nie ma przy sobie jakiego narzędzia, którem mógłby uprzedzić wykonanie wyroku, a nie znalazłszy nic podobnego, zamknięto go na dwa spusty i zostawiono w samotności.

Usiadł naprzeciwko drzwi na kamiennej ławie, która służyła jednocześnie za łoże, zwiesił głowę i, wlepiwszy przekrwione oczy w ziemię, usiłował zebrać rozproszone myśli.

Po chwili przypomniał sobie kilka ustępów wyroku, którego, jak mu się zdawało w pierwszej chwili, nie słyszał zupełnie. Teraz powoli przychodziły same do głowy, łączyły się ze sobą i tworzyły straszną całość.

Ma być powieszony za szyję i wisieć dopóki nie skona...

Powieszony za szyję... Wisieć dopóki nie skona...

Gdy się ściemniło, zaczął przypominać sobie tych wszystkich znajomych, którzy skończyli życie na szubienicy. Wielu z nich zginęło dla jego celów. Postaci tych zebrał się tłum tak wielki, że Fagin nie mógł ich zliczyć...

Wielu stracono w jego oczach, a on drwił z tych, którzy umierali z modlitwą na ustach. Z jak

strasznym hałasem usuwała się deska z pod stóp... Jak szybko ci ludzie, pełni życia i siły, przeistaczali się w bezładne kupy łachmanów. Niejeden może w tej samej celi spędził ostatnie dni, siedział na tej samej ławie... Już bardzo ciemno — dlaczego nie przynoszą światła?

Ta cela pamięta dawne lata. Dużo ludzi musiało w niej oczekiwać śmierci. Faginowi wydało się nagle, że znajduje się w wielkim grobowcu, napełnionym trupami, a każdy ma na głowie kaptur, stryczek na szyi i ręce i nogi związane i twarz konwulsyjnie skrzywioną mękami konania. Widział te twarze, chociaż były zasłonięte kapturem. Światła!... Światła!

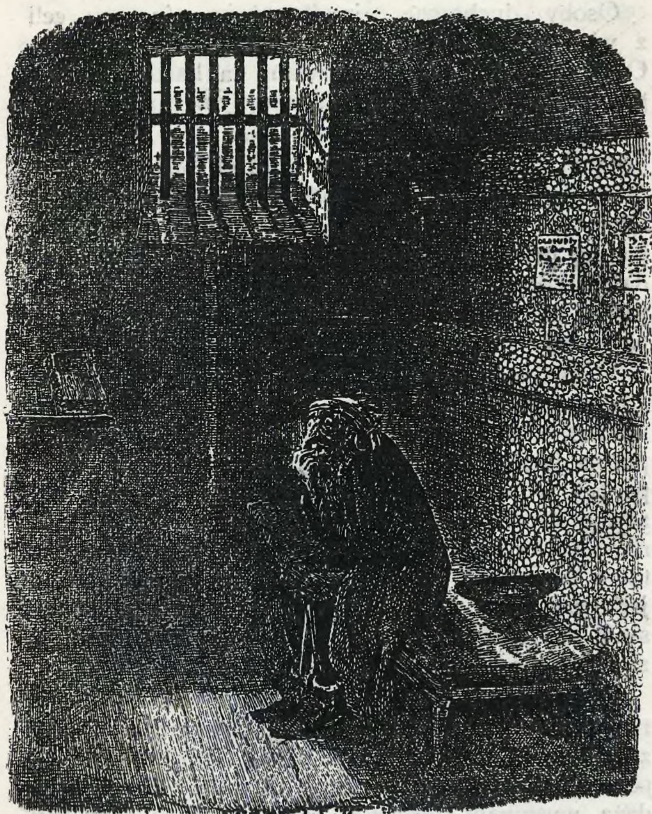
Zerwał się, zaczął bić pięściami we drzwi i ściany.

Niebawem zjawiło się dwuch ludzi. Jeden miał świecę, którą osadził w żelaznym lichtarzu, przytwierdzonym do ściany, drugi dźwigał materac, na którym sam się wyciągnął, gdyż więzień musiał zostawać po wyroku pod ścisłym dozorem.

Nadeszła noc: ciemna, ponura, milcząca.

Inni ludzie, którzy czuwają w nocy, słyszą bez zgrozy bijące godziny, gdyż mówią one o życiu i nadchodzącym dniu. Fagina każde uderzenie zegara wprowadzało w rozpacz, wpadało do jego uszu niby przeraźliwa groźba, zwiastująca zbliżanie się śmierci... Gwar uliczny, przedzierający się rano przez mury więzienne, był również jakby odgłosem pogrzebowego dzwonu.

Dzień minął. Dzień? Nie było go wcale. Zaledwie się rozwidniło, już nadeszła noc. Noc niezmiernie długa i niezmiernie krótka zarazem. Wydłużała ją do nieskończoności grobowa cisza, skracały szybko następujące po sobie godziny.


George Cruikshank

Fagin chwilami wpadał w szaleństwo — zrywał się, miotał bluźnierstwa; to znowu wył i wyrywał sobie włosy z głowy.

Osoby duchowne zjawiły się u niego w celi z własnego popędu, aby pomodlić się przy nim. Odtrącał ich z przekleństwami za każdym razem, gdy przychodziły z tym miłosiernym zamiarem.

Sobotni wieczór... Już tylko noc jedną żyć będzie... Gdy myślał o tem, nastał świt.

Niedziela! Godziny upływały szybko, nadszedł wieczór. Fagina dręczyło coraz większe przygnębienie, popadał w coraz większą rozpacz. Wprawdzie nie liczył nigdy na żadne dla siebie względy, na żadną łaskę, ale nie przypuszczał nigdy, że śmierć przyjdzie tak prędko.

Z dwoma dozorcami, którzy czuwali przy nim kolejno, rozmawiał bardzo mało — oni również rzadko rzucili mu jakie słowo. Siedział pół we śnie, pół na jawie. Od czasu do czasu zrywał się, rzucał po celi w przystępie takiej rozpaczy, że nawet dozorcy, obyci z podobnemi rzeczami, cofali się przed nim ze zgrozą. Ostatecznie szał jego przybrał takie rozmiary, że dwuch dozorców przesiadywało jednocześnie w celi. Po jednym z takich ataków, siadł na kamiennem łożu, zwiesił głowę i w myśli zaczął przebiegać swoją przeszłość.

Kiedy schwytano go i prowadzono do więzienia, rozjuszony tłum ciskał w niego kamieniami. Jeden z tych pocisków zranił go w głowę, którą miał z tego powodu obwiązaną płócienną chustką. Z pod bandaża wysuwały się rude włosy i spadały na wybladłą twarz; brodę miał zwichrzoną, oczy krwią nabiegłe płonęły gorączkowo, wzdrygał się nerwowo co chwila.

Ósma... dziewiąta... dziesiąta...

Jeżeli to nie był podstęp w celu nastraszenia go, to czas w samej rzeczy płynął zdumiewająco szybko. — Gdzież będzie jutro o tej porze? Jedenasta!...

Za godzinę rozpocznie się ostatni dzień jego życia.

O ósmej będzie jedynym człowiekiem uczestniczącym w swoim własnym pogrzebie, a o jedenastej...

W ponurych murach więzienia Newgate odgrywały się przecież najokropniejsze tragedje, jakich umysł człowieka nie może sobie nawet wyobrazić — ale tragedja Fagina przechodziła wszelkie inne.

Ci, co stawali przed więzieniem, usiłując odgadnąć, jak spędza ostatnie chwile zbrodniarz, który ma być nazajutrz powieszony, — ci wszyscy z pewnością przez całą noc nie zmrużyliby oka, gdyby go wówczas byli zobaczyli.

Od wczesnego wieczora do samej północy dowiadywano się o Fagina. Obawiano się, czy egzekucja nie została przypadkiem odłożona. Ci, którzy otrzymali zapewnienie, że nie zaszła pod tym względem żadna zmiana, udzielali pomyślnej wiadomości innym ciekawym, snującym się mniejszemi lub większemi gromadkami nieco opodal. Wówczas gromadki przystawały, a znający się na rzeczy objaśniali nieświadomych, którędy zbrodniarz będzie wyprowadzony i gdzie zostanie wzniesiona szubienica.

O północy jednak nie było nikogo przed gmachem więzienia.

Zaczęto czynić przygotowania do egzekucji, odgrodzono plac mocnemi, czarnemi barjerami, dla zabezpieczenia się od naporu tłumów, kiedy do furty więziennej zapukał pan Brownlow w towarzystwie Oliwera. Po okazaniu dozorcy pozwolenia na wi-

dzenie się z Faginem, zostali wpuszczeni natychmiast do środka.

— Czy i ten panicz wejdzie do skazanego? — zapytał dozorca pana Brownlow. — Zdaje się, że to nie jest widok odpowiedni dla dzieci.

— Masz rację, przyjacielu — potwierdził pan Brownlow. — Ale interes, jaki mam do skazanego, jest ściśle związany z osobą chłopca. A ponieważ ten młodzieniec widział w dodatku zbrodniarza wówczas, gdy ten broił bezkarnie, nie będzie źle, jeśli zobaczy go teraz, choćby odbyło się to kosztem cierpienia i strachu.

Rozmowa ta była prowadzona na stronie tak, że Oliwer jej nie słyszał.

Dozorca dotknął ręką kapelusza i spojrzał ze zdziwieniem na Oliwera, poczem poprowadził ich ciemnemi, krętemi korytarzami do celi Żyda.

— Tędy będą wiedli go na szubienicę — objaśnił po drodze, wskazując boczny korytarz, gdzie kilku robotników czyniło w milczeniu pewne przygotowania — stanąwszy w tem miejscu, będziecie mogli przypatrzyć mu się dobrze.

Zaprowadził ich potem do wielkiej kuchni więziennej i wskazał drzwi, w których znajdowało się małe okienko.

Okienko wychodziło na podwórze, zapełnione teraz ludźmi, którzy, rozmawiając między sobą, zbijali szubienicę dla Fagina.

Minęli jeszcze wiele korytarzy i schodów, wreszcie znaleźli się przed wąskiemi drzwiami, obwarowanemi żelaznemi szynami. Dozorca zapukał do tych drzwi. Znajdujący się wewnątrz dozorcy otworzyli je natychmiast i, rozmówiwszy się ze swoim kolegą, wpuścili pana Brownlow z Oliwerem do celi.

Fagin siedział skulony na ławie, kołysząc się z boku na bok. Twarz miał straszną, wykrzy-

wioną przerażeniem, siną, drgającą konwulsyjnie. Wciąż mruczał, dręczony wizjami przeszłości, które tak zlewały się w jego umyśle z rzeczywistością, że nie mógł tych pierwszych od drugiej oddzielić.

— Karolek dobry chłopiec... zręczny chłopiec — mamrotał — doskonale się spisał... I Oliwer także... Ha, ha! Oliwer także. Ten Oliwer... Ho, ho! Wygląda, jak panicz... Zaprowadźcie go do łóżka...

Dozorca ujął Oliwera za rękę, szepcąc, aby nie obawiał się niczego i patrzał w milczeniu na skazańca.

— Zaprowadźcie go do łóżka! — wołał Żyd. — Słyszycie? Zaprowadźcie go do łóżka... On jest przyczyną wszystkiego... Wart dużo, dużo pieniędzy. Dobrze! Dobrze! To gardło Boltera, Billu! Niech cię ta dziewczyna nie obchodzi.... Poderżnij gardło Bolterowi — głębiej! Jeszcze głębiej! A najlepiej oderżnij mu głowę...

— Fagin! — odezwał się dozorca.

— Fagin? Fagin to ja! — podchwycił Żyd, przybierając postawę taką, jaką miał w sądzie. — Jestem stary człowiek, moi panowie, bardzo, bardzo stary...

— Fagin! — powtórzył dozorca, wstrząsając nim — ci panowie chcą z tobą pomówić... Opamiętaj się, jesteś przecież mężczyzną!

— Niedługo już będę nim — westchnął Fagin, z wyrazem wściekłości i grozy na twarzy. — Zamordujecie ich wszystkich! Jakiem prawem oni chcą odebrać mi życie?

Teraz dopiero zauważył pana Brownlow i Oliwera.

Patrzył na nich przez chwilę, a potem, usunąwszy się na przeciwny koniec ławy, zapytał:

— Czego oni chcą ode mnie?

— Korzystajcie z chwili przytomności — szepnął dozorca, przytrzymując go na ławie — rozmówcie się z nim jak najprędzej, bo za moment chwyci go znowu obłęd. Z każdą chwilą jest gorzej.

— Fagin — odezwał się pan Brownlow, zbliżywszy się do Żyda — masz u siebie papiery, które Monks dał ci do przechowania?

— To kłamstwo — zaprzeczył Fagin. — Nie mam żadnych papierów, żadnych, żadnych!

— Na Boga — przemówił pan Brownlow uroczyście — powiedz prawdę... Wszak stoisz jedną nogą w grobie... Gdzie są te papiery? Wiesz, że Sikes nie żyje, a Monks wszystko wyznał... Co zyskasz, ukrywając prawdę? Gdzie są papiery?

— Oliwer... — rzekł Żyd, kiwając palcem na chłopca — chodź do mnie... powiem ci do ucha...

— Ja się nie boję — rzekł Oliwer, puszczając rękę pana Brownlow.

— Papiery są w płóciennym woreczku nad kominkiem we frontowej izbie — mówił Fagin, przyciągając Oliwera do siebie. — Chciałbym z tobą pogadać... Mam z tobą do pogadania...

— Nie odchodzę, Fagin — rzekł Oliwer. — Zmówmy razem modlitwę, klęknijmy razem, pomódlmy się. Potem będziemy rozmawiali do rana.

— Nie tu... Nie tu... na podwórku — odpowiedział Fagin, popychając chłopca ku drzwiom i patrząc błędnie przed siebie. — Powiedz im, że usnąłem... oni ci uwierzą... Tym sposobem uwolnisz mię... No, dalej... dalej!

— O Boże, przebacz temu nieszczęśliwemu! — zawołał Oliwer z płaczem.

— Tak, tak... dobrze... — mruczał Żyd — to najpewniej nam pomoże... Naprzód te drzwi. Nie zważaj wcale na to, że będę drżał i chwiał się na nogach,

gdy przejdziemy koło szubienicy... Biegnij co sił... Teraz! Teraz! Teraz!

— Czy pan chcesz się go jeszcze o coś zapytać? — zagadnął dozorca pana Brownlow.

— Już nie — rzekł pan Brownlow. — Gdyby można doprowadzić go do zrozumienia jego sytuacji...

— To zupełnie daremne — rzekł dozorca, potrząsając głową. — Najlepiej będzie, jeżeli zostawicie go w spokoju...

Pan Brownlow z Oliwerem zwrócili się ku drzwiom.

— Prędzej! Prędzej! — krzyczał Fagin. — Jeszcze czas... Ale ostrożnie... cicho... Prędzej!

Dozorcy chwycili go za barki i, uwolniwszy Oliwera z jego uścisku, odepchnęli go w głąb celi. Chwilę szamotał się z nimi, wrzeszcząc tak przeraźliwie, że słychać było w odległych korytarzach.

Oliwer, opuściwszy celę, prawie zemdlał i godzina upłynęła zanim siły odzyskał.

Świtało, gdy wyszli z więzienia. Przed gmachem zebrały się już gromady ludzi, spragnione widoku egzekucji. Dla skrócenia oczekiwania jedni palili fajki i grali w karty, inni posilali się, inni czytali dzienniki. Wszystko naokoło mówiło o życiu i ruchu i odbijało dziwnie od czarnego rusztowania i wysokiego słupa, na którego szczycie kołysał się stryczek.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci
i ostatni.

Niewiele już mamy do powiedzenia o losach głównych osób naszej powieści.

Po upływie trzech miesięcy, Róża Fleming i Henryk Maylie stanęli przed ołtarzem w tym samym kościółku, w którym Henryk rozpoczął pracę ka-

płańską. Po ślubie nowożeniec wprowadził małżonkę do skromnego, szczęśliwego domu.

Pani Maylie zamieszkała przy młodem małżeństwie, by w pozostałych latach swego życia cieszyć się tem, co daje nam wiek podeszły i zasługa, a mianowicie patrzeć na szczęście ukochanych, których w ciągu szlachetnego żywota otaczała miłością i staraniem.

Okazało się, że Monks i jego matka nadwerężyli znacznie fortunę Edwina Leeford. Z ogromnych sum zostało zaledwie 6.000 funtów. Według brzmienia testamentu, cały ten kapitał powinien był dostać się Oliwerowi, lecz pan Brownlow, nie chcąc wydziedziczyć zupełnie starszego syna a tem samem pozbawić go środków utrzymania i możności poprawy, zaproponował Oliwerowi równy podział, na co poczciwy chłopiec zgodził się z największą radością.

Monks, nosząc wciąż przybrane nazwisko i zabrawszy część majątku, ofiarowanego mu przez Oliwera, przeniósł się do Ameryki, gdzie wkrótce wszystko zmarnował i wpadł w ostatnią nędzę. Prowadził w dalszym ciągu nikczemne życie i ostatecznie zmarł w więzieniu, podczas ataku konwulsji.

Pan Brownlow usynowił Oliwera i przeniósł się wraz z nim i nieodłączną panią Bedwin w sąsiedztwo probostwa, zarządzanego przez Henryka Maylie. Spełniły się tedy najżywsze pragnienia Oliwera: pędził życie w gronie swoich dobroczyńców i przyjaciół, życie o tyle szczęśliwe, o ile może ono być na tym zmiennym świecie.

Doktór Losberne, po ślubie Henryka Maylie z Różą, wrócił do Chertsey, zamierzając tam w dalszym ciągu prowadzić praktykę lekarską. Ale niedługo wytrzymał. Już po kilku tygodniach zaczął się uskarżać, że nie służy mu powietrze, i ostatecznie, oddawszy swoich chorych młodszemu kole-

dze, wynajął sobie dom w pobliżu probostwa Henryka Maylie i osiedlił się tam na stałe. Praktyką już się nie zajmował, natomiast z zamiłowaniem uprawiał ogrodnictwo, rybołówstwo, ciesiołkę i inne działy wiejskiego gospodarstwa. Pracował zaś z właściwym sobie temperamentem i niebawem zasłynął w okolicy, jako doskonały znawca na tem polu.

Pan Grimwig odwiedzał go często i dopomagał w zajęciach, wprowadzając bardzo często dosyć dziwne, ale niepraktyczne inowacje, które jednak uważał za szczyt doskonałości, i kłócił się o nie z przyjacielem zawzięcie. W niedzielę słuchał z uwagą kazań młodego pastora, a potem przy obiedzie krytykował je surowo, gdy zostawali jednak sam na sam z panem Losberne, to mówił w sekrecie, że kazania pastora Maylie są świetne, lecz nie należy ich chwalić w obecności samego kaznodziei.

Z panem Brownlow staczał po dawnemu walki o lada drobiazg. Pan Brownlow zawsze mu przypominał uprzedzenia względem Oliwera, a zwłaszcza tę chwilę, kiedy obaj siedzieli przy stole, patrząc na leżący przed nimi zegarek. Pan Grimwig jednak z wielkim zapałem utrzymywał, iż się co do Oliwera wówczas nie pomylił, gdyż chłopiec bądź co bądź wtedy nie wrócił. Wyrazy te wypowiadał z naciskiem i spoglądał triumfująco na pana Brownlow.

Noe Claypole ze względu na to, że przyznał się do winy i okazał skruchę, otrzymał stosunkowo małą karę. Odsiedziawszy więzienie, doszedł do wniosku, że rzemiosło złodziejskie nie jest tak bezpieczne, jakby się zdawało. Postanowił tedy zmienić zawód na bezpieczniejszy i nie tak ciężki. Jakoż został tajnym ajentem. Nie ściga on rzezimieszków i zbrodniarzy, obrał sobie inną specjalność. Wiadomo, że w niedzielę nie wolno szynkować. Otóż każdej nie-

dzieli udaje się na miasto z Karoliną, która mdleje przy drzwiach każdego szynku. Towarzysz wtedy dobija się do szynku i prosi gospodarza na litość Boga, aby mu sprzedał wódki za kilka pensów, dla otrzeźwienia nieszczęśliwej kobiety. Wzruszony szynkarz chętnie czyni zadość prośbie. Dzieje się to oczywiście przy świadkach. Nazajutrz Noe denuncjuje szynkarza w policji i otrzymuje połowę kary, którą płaci tamten. Czasem role się zmieniają: Noe mdleje, lecz skutek jest zawsze ten sam.

Pan i pani Bumble, usunięci ze swych stanowisk z Domu Roboczego, wpadli z biegiem czasu w taką nędzę, że udali się wkońcu do Domu Roboczego i z wdzięcznością przyjęli miejsce stałych pensjonarzy, utrzymywanych na koszt gminy. Słyszano, jak pan Bumble opowiadał, że wskutek poniżenia i biedy nie ma nawet sił na radość z powodu rozstania z zacną małżonką.

Giles i Britles pozostali na swoich stanowiskach. Zmienili się o tyle, że pierwszy z nich wyłysiał, drugi dobrze posiwiał, chociaż wciąż jeszcze nosi miano „chłopca". Obaj ci poczciwcy mieszkają wprawdzie u pastora Maylie, lecz równie chętnie i gorliwie służą jego przyjaciołom, tak, że ludzie obcy nie wiedzą, do którego właściwie należą gospodarstwa.

Z pomocników Fagina ocalał tylko Karolek Bates. Przerażony zbrodnią Billa, zaczął się zastanawiać: czy życie spokojne i uczciwe nie jest czasem lepsze od zbrodniczego? Strona moralna tego chłopca nie była jeszcze doszczętnie zmarnowana i to go zbawiło. Przekreśliwszy przeszłość, zerwał z dawnem życiem, ze wszystkiemi dawnemi znajomościami, i szczerze wziął się do pracy. Szło mu z początku bardzo ciężko, lecz silna wola zwyciężyła. Pracował naprzód na wsi, jako parobek; później woził pro-

dukty wiejskie do miasta. Wreszcie został najweselszym handlarzem wołów w całym okręgu Northamptonshire.

Doprowadziłem powieść do końca... Ręka mi drży i słabnie... A jednak snułbym chętnie dalsze dzieje moich bohaterów...

Przedstawiłbym wam Różę Maylie w całym majestacie wdzięku młodej, uroczej mężatki, rozsiewającej dokoła siebie pogodę i spokój, przedstawiłbym ją, królującą w kółku przyjaciół, zebranych podczas długich wieczorów zimowych przy wesoło płonącym ogniu na kominku, a w lecie w ogrodowej altanie; widzielibyście ją na przechadzkach rannych, w blaskach wschodzącego słońca; słuchalibyście jej miłego głosu przy srebrnem świetle księżyca; śledzilibyście ją, odwiedzającą chaty wiejskie i spełniającą gorliwie w swoim domu obowiązki gospodyni; przedstawiłbym wam miłość wzajemną, łączącą ją z synem rodzonej siostry; przedstawiłbym wam ją w otoczeniu prześlicznej, rozkosznej dziatwy, dla której była wzorową, nad wyraz troskliwą matką; przypomniałbym wam jej głos wdzięczny, jej uśmiech miły, jej uroczą łzę współczucia dla niedoli bliźnich, jej ruchy powabne, jej dowcip, bystrość umysłu.

A dalej opowiedziałbym, z jaką starannością pan Brownlow pracował nad rozwojem umysłu swego przybranego syna, jak przywiązywał się do niego coraz bardziej, widząc, że chłopiec wyrasta na dzielnego obywatela, który nie zawiedzie jego nadziei, przyniesie pożytek społeczeństwu.

Opowiedziałbym, jak Oliwer zapatrywał się coraz poważniej na świat i ludzi, coraz silniej odczuwał obowiązki, a pamiętając swoje przeżycia w latach dziecięcych, starał się przy każdej sposobności nieść ulgę nędznym i opuszczonym, zwracać na prawą drogę błądzących. Opowieść moja przekonałaby was,

że jest na świecie szczęście, lecz osiągnąć je można tylko sercem gorącem, pełnem współczucia, miłością do Tego, którego zasadą jest miłosierdzie, a największym przymiotem dobroć dla wszelkich żyjących stworzeń.

Opowieść moja jednak przeciągnęłaby się zbyt długo — poprzestaję na powyższym zarysie.

W kościele pastora Maylie, w pobliżu ołtarza, wmurowano tablicę, na której widnieje jeden tylko wyraz: Agnieszka.

W grobowcu niema trumny i wiele lat upłynie zapewne, zanim nowe imię przybędzie na tablicy.

Jeżeli dusze zmarłych zjawiają się na tym świecie, aby odwiedzić miejsca, uświęcone ich miłością silniejszą niż śmierć, to wierzę, że cień nieszczęśliwej matki Oliwera nawiedza często pusty grobowiec. Wierzę w to niemniej i dlatego, że grobowiec stoi w kościele i że była ona słaba i zbłąkana.

KONIEC.



OLIWER
TWIST
II